

NAŚLADOWNICTWO NAJWYŻSZĄ FORMĄ UZNANIA

**Jak Donald Tusk próbuje udawać
Jarosława Kaczyńskiego**



TYGODNIK LISICKIEGO

**NR 3/612 13-19 STYCZNIA 2025
CENA 12,90 Zł (W TYM 8% VAT)**

DO RZECZY

**Rafał A. Ziemkiewicz
o fabryce nienawiści
Jerzego Owsiaaka**

W DRODZE PO WŁADZĘ?

**FRANCUSKA
NARODOWA PRAWICA
PO ŚMIERCI
JEANA-MARIE LE PENA**



**Wierzącym w Boga
łatwiej się mierzyć
z problemami psychicznymi**

UKRAIŃCY MAJĄ DOŚĆ?



**Coraz więcej żołnierzy dezerteruje,
a prorosyjscy politycy w Kijowie wychodzą z cienia**

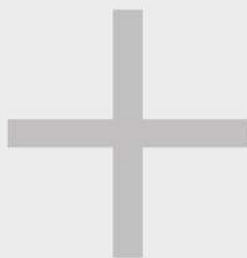
ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829
9 772299 850000
Nakład: 44 500 egzemplarzy

Uwaga: nowe ceny na rok 2025

TYGODNIK LISICKIEGO

**DO
RZECZY**

PÓŁROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY”



W PREZENCIE

KSIĄŻKA

STANISŁAW STABRYŁA: ZNAK,
KTÓREMU SPRZECIWIĄĆ SIĘ BĘDĄ

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA



~~560~~ ZŁ

272,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 288 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

ORLE PIÓRO S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: **SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL**

WIĘCEJ INFORMACJI

E-MAIL: prenumerata@mpmg.pl

TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)

INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl da76df8fbf



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Nowa Wiosna Ludów

Choć trudno dziś przewidzieć, jakie będą skutki objęcia rządów w Waszyngtonie przez Donalda Trumpa, to jedna rzecz wydaje się nie podlegać dyskusji. Po wielu latach niczym domek z kart wali się lewicowo-liberalny porządek Zachodu. Z dnia na dzień niemal znikają jego najważniejsze symbole – globalistyczni politycy, którzy przy pomocy narzędzi inżynierii społecznej próbowali wznosić lewicową utopię.

Pierwszą ofiarą zmian w Waszyngtonie został, trudno się dziwić, premier Kanady Justin Trudeau, który stracił stanowisko, jeszcze zanim prezydent Trump na dobre wprowadził się do Białego Domu. Płaczliwy polityk z Kanady był przez lata znakiem firmowym lewicowo-liberalnego zamordyzmu. Nikt z taką zaciekłością nie tresował posusznych skądinąd Kanadyjczyków, nikt nie pokazywał równie mocno, jak daleko może się posunąć liberalne państwo w walce z przejawami niesubordynacji, wolności, tradycji. Trudeau był zawsze w pierwszym szeregu postępu, wymachując ile wlezie flagą politycznej poprawności. Zawsze po linii i na bazie stał się prawdziwym pupilkim magów z Davos, a to wprowadzając drańskie, autorytarne metody walki z tzw. pandemią, a to promując zieloną rewolucję, imigracjonizm czy, nade wszystko, genderyzm.

Jednak upadek wieloletniego cudownego dziecka lewicy to jedynie pierwszy efekt ruchów tektonicznych, wywołanych zmianą w amerykańskim imperium. Skoro lud obalił liberalną oligarchię w jego centrum, to dlaczego nie w prowincjach, również tych zamorskich? Nic zatem dziwnego, że zaraz po upadku pana Trudeau (myśląc o nim, nie mogę się jakoś powstrzymać przed przypomnianiem sobie obrazu kanadyjskiego płaczusia lepiącego pierogi z polskim „konserwatywnym” premie-

rem z czerwca 2023 r.) przyszła kolej na pozostałych, tym razem europejskich, obrońców „wspólnych zachodnich wartości”.

Pierwszym, który podał tyły, okazał się kanclerz Niemiec, Olaf Scholz, przedstawiany przez Joe Bidena jako najbliższy i najwierniejszy współpracownik USA w Europie. Otóż kanclerz, któremu jeszcze w marcu 2023 r. ówczesny prezydent USA dziękował za „silne, mocne, trwałe przywództwo, które ogromnie zmieniło rzeczywistość”, już w lutym 2025 r. najprawdopodobniej odejdzie na polityczną emeryturę. Trudno się dziwić. Realizując z podziwu godnym uporem szaleńcze wizje ideologii Zielonego Ładu, podejmował wiele decyzji, które to doprowadziły Niemcy, a wraz z nimi dużą część europejskiej gospodarki, na brzeg katastrofy. Doprawdy wykończyć za jednym zamachem takie marki jak Porsche, Audi czy Volkswagen to wielka zasługa socjaldemokratycznego przywódcy.

Owszem, nie on jeden się w tym zasłużył, ale pech chciał, że na niego padło. Co więcej, podobnie jak w niektórych innych państwach zachodnich, w Niemczech pierwszy raz mogą dojść do głosu realne siły suwerenistyczne, czyli odwołujące się do kategorii interesu narodowego. AfD ante portas!

Wnie mniejszych opalach niż wielki kanclerz znajduje się inny wybitny przywódca namaszczoney w Davos, a więc Emmanuel Macron. Można o nim powiedzieć to samo, co o Trudeau, tyle że wylał mniej łez. Jego największym osiągnięciem jest wprowadzenie do konstytucji prawa do aborcji (czyli do zabijania bezbronných dzieci w łonie matek). Wprawdzie trudno sobie wyobrazić, jak miałyby wyglądać jego dymisja, ale obecny Macron to cień dawnego siebie. Skrupulatnie podkreśla, ile zostało mu do końca kadencji (bodajże 29 miesięcy), i deklaruje, że sam wcześniej nie

odejdzie. Być może. Podobnie jak w Niemczech, nad Sekwaną największym zwycięzcą może zostać (ile można straszyć elektorat opowieściami o faszyzmie?) partia suwerenistyczna, czyli Zjednoczenie Narodowe.

Dokładnie to samo zjawisko – odwrótu od imigracjonizmu, klimatyzmu i genderyzmu – można zaobserwować w całej Europie. Nawet w Wielkiej Brytanii (nazywanej słusznie przez niektórych Tęczową Brytanią) polityczna śmierć zaczęła zagłądać w oczy premierowi Keirowi Starmerowi – o dziwo, do opinii publicznej stopniowo przebija się wiedza o ogromnej skali ukrywania przez służby policyjne procedury, którym było gwałcenie dzieci przez imigranckie gangi.

Wszystko to nie dzieje się samo z siebie. Nie da się ukryć, że nowy duch wolności pojawił się dzięki aktywności najbliższego współpracownika Trumpa, Elona Muska. Ujawniane przez niego fakty, które dzięki X mają szansę wreszcie dotrzeć do zaszczadzonych polityczną poprawnością głów Europejczyków, wywołują wstrząs i wściekłość. Tę drugą oczywiście u obrońców dotychczasowego systemu.

W naszej części Europy liderami zmian okazują się Węgry Viktora Orbána i Słowacja Roberta Ficy. Obaj politycy, przy wszystkich różnicach, kierują się bowiem dewizą Trumpa, tyle że przeniesioną na grunt ich państw: występują jako obrońcy interesu narodowego odpowiednio Węgier i Słowacji. A Polska? Cóż, Polska Donalda Tuska buduje „bezpieczną i silną Europę”. Bo kto by sobie tam tamał głowę „silną, bezpieczną” Polską? Tusk to pogrobowiec dawnej liberalnej klasy panującej. Jest kwestią czasu, gdy razem z całą resztą podobnych mu budowniczych zostanie zmieciony przez uruchomiony w USA impuls suwerenistyczny. ©



TEMAT TYGODNIA

14 MACIEJ PIECZYŃSKI
UKRAIŃCY NIE CHCĄ WALCZYĆ
Coraz więcej żołnierzy dezertuje

KRAJ

20 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
OSTATNIE TANGO Z OWSIAKIEM
Czarne chmury nad WOŚP

22 ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA
STUDENCI Z PRETENSJAMI

25 ŁUKASZ WARZECHA
INDOKTRYNACJA NA ZDROWIE

28 ŁUKASZ ZBORALSKI
ZABIERZ SMARTFONA NASTOLATCE

KULTURA

30 GRZEGORZ KONDRASIUŁ
TEATR W OKŁADCE
Książki o Dejmku, Grotowskim, Warmińskim

33 KRZYSZTOF MASŁOŃ
BARDOWIE – ANDRZEJ KOŁAKOWSKI

34 PIOTR GOCIEK
**ZNANY, CZYLI NIEZNANY. FILMOWA
OPowieść o BOBIE DYLANIE**

NIE PRZEGAP

36 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, GRA

OPINIE

40 JAN FIEDORCZUK
SPISIEŃ TUSKA
Uczeń przerósł mistrza

43 WOJCIECH GOŁONKA
**ZNIENAWIDZONY PATRIARCHA
PRAWICY NARODOWEJ**

46 PIOTR SEMKA
CZY GAZA TO NOWY AUSCHWITZ?

48 KRYSZTOF KRATIUŁ
**SEKRET ZDROWIA PSYCHICZNEGO.
WIARA W BOGA?**

HISTORIA

52 RAFAŁ ŁATKA
**NADAĆ SOLIDARNOŚCI
KATOLICKI CHARAKTER**
Wpływy Kościoła na ruch społeczny (1980–1981)



ŚWIAT

56 CEZARY GMYZ
**REPUBLIKA ALPEJSKA
NA POLITYCZNYM ROLLERCOASTERZE**
Nowy rząd w Austrii

58 JAN BOGATKO
CZY CDU POPEŁNI SAMOBÓJSTWO?

60 PIOTR WŁOCZYK
GRA O GRENLANDIĘ

62 AGNIESZKA GOŁAŃSKA-BAULT
NOTRE DAME. WSTĘP PŁATNY

EKONOMIA

66 ROZMOWA Z DR. INŻ. TOMASZEM WÓJCIKIEM
WĘGLOWE KŁAMSTWO
Cała konstrukcja Zielonego Ładu
jest fałszywa

70 JACEK PRZYBYLSKI
REWOLUCJA NA KOŁACH

PODRÓŻE

74 JACEK PAŁKIEWICZ
**W RENIFEROWYCH ZAPRZĘGACH
NA BIEGUN ZIMNA**
Syberyjska przygoda

ADRES: Tygodnik DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Radosław Wojtas (II sekretarz redakcji), **Filip Memches**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:

Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka,
Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:

Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz,
Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić (*Brusela*),
Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Łukasz Czarnecki,
Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Marek Jurek,
Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalcuk (*Rzym*),
Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk,
Monika Małkowska, Gabriel Michalik, Andrzej Nowak, Jacek Pałkiewicz,
Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz,
Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta,
Błażej Torzański, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Dariusz Wieromiejczyk,
Jakub Wozniński, Tomasz Wróblewski, Tomasz Zbigniew Zapert

PORTAL DORZECZY.PL redaguje Karol Gac z zespołem: Zuzanna Dąbrowska-
Pieczyńska, Małgorzata Puzry, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin
Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid
Sienkowski, Łukasz Żygado

STUDIO GRAFICZNE: Wojciech Niedziółko (kierownik studia),
Marta Michałowska, Jakub Tański (skład), Jacek Nadratowski (obrobka zdjęć)
Fotoedytacja: Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk
Korekta: Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska,
Agata Błaszczyk-Stefaniak

RYSUJĄCY: Andrzej Krauze, Cezary Krzysztopa
Okładka: Marek M. Berezowski/AA/Abaca/East News

WYDAWCA: Orle Pióro SA
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, Orle Pióro SA, wchodzi w skład Grupy
Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.



Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Orle Pióro SA:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: Piotr Pech tel.: +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzecki, a.borzecki@pmpg.pl, +48 500 112 424

DRUK: Walstead Starachowice

PRENUMERATA WYDAWNICZA:

Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:

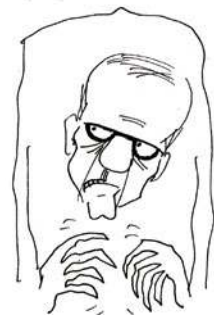
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl
Garmond tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumerataprasy@poczta.pl,
www.poczta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl
Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829 Nakład: 44 500 egzemplarzy

Sprzedż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena
detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji
tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa
autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie
materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.
© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem
autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie
artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania
materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Nie wydaje wam się, że Donald Tusk
przed inauguracją prezydentury Donalda Trumpa
jest jakiś nieswoj?..



Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy
za wszystkie
Państwa
listy i e-maile.
Przypominamy, by
korespondencję
elektroniczną
kierować na adres:
listy@dorzeczy.pl.

Żeby nie było za późno

Jan Pospieszalski
ślusnie bije na
alarm „Konfesjo-
nały w likwidacji”,
„DRz” nr 2/2025
– przyp. red.), bo
naganna hucpa,
która się rozkręca,
ma na celu nie
tylko likwidację
konfesyjonałów.
Szatański zakaz
spowiedzi dzieci
uniemożliwi im
przyjęcie Pierwszej
(i każdej następnej)
Komunii Świętej
oraz sakramentu
bierzmowania.
Całość życia
sakramentalnego
katolików byłaby
więc odłożona
przynajmniej do
18. roku życia, czyli

ad Kalendas Gra-
ecas. Żadna inna
religia nie pozwoli
na coś podobnego!
Autorzy i zwolenni-
cy petycji wymy-
ślonej przez grono
ludzi zaczadzonych
ateizmem i wrogo-
ścią wobec Kościoła

niech spróbują
podważyć obrzeza-
nie niemowląt czy
obrzędy bar micwa
lub bat micwa
w rodzinach wy-
znawców judaizmu
albo obrzezanie
chłopców w isla-
mie.

Mamy do
czynienia z tym
samym rozmiękcza-
niem świadomości,
które przewaliło się
kilkanaście lat temu
podczas wprowa-
dzenia ideologii
LGBT. Miała być ona
„niczym groźnym”...

Petycja powinna
być natychmiast
odrzucona, a po-
stowie niech się
zajmują tym, czym
naprawdę powin-
ni. Również głos
Kościoła ma być tak
dobitny, żeby ten
i inne schorowane
projekty nie skut-
kowały powolnym
gniciem chrześci-
jańskich sumień
i wrażliwości.

ks. prof. Waldemar
Chrostowski

NEKROLOG

Otoczony opieką rodziny odszedł



Andrzej Klimczak

wybitny Artysta,
śpiewak operowy, reżyser, współtwórca
i wieloletni dyrektor Polskiej Opery Królewskiej.
Patriota i Chryścijanin.
Ciepły, skromny, dobry człowiek.
Przyjaciół.

Cześć Jego Pamięci!

Piotr Gliński

NA PIERWSZY OGIEŃ

Internet utrapieniem Owsiaaka



PIOTR SEMKA

Jeśli dożyję do jutra” – ta dramatyczna wypowiedź Jerzego Owsiaaka, który poinformował o groźbach śmierci pod swoim adresem, jednych Polaków poruszyła, innych skłoniła do przekornej irytacji. Faktem jest, że Owsiaak ogłosił z ogromnym dramatyzmem otrzymanie gróźb po paru starciach z dziennikarzami pytającymi go o szczegóły jego gospodarowania pieniędzmi oraz po zaproponowaniu przez Telewizję Republika, by w dniu zbiórki Owsiaaka zbierać także pieniądze na TV Republika. Przyjazne Owsiaakowi media podbiły bębenka, głosząc, że „hejt wobec Jurka Owsiaaka przypomina nagonkę na Pawła Adamowicza”.

Parę lat temu Owsiaak uchylał się od odpowiedzi na tego typu pytania. Wskakiwał w trakcie konferencji na stół i poruszając się po nim na czworakach, wykrzykiwał: „Gdzie ja tu mam niby te schowane pieniądze?”. W tym roku Owsiaak zachowuje się jeszcze bardziej nerwowo. W mediach pojawiły się informacje, że coraz trudniej jest współpracownikom showmana rekrutować młodzież szkolną do roli zbieraczy

datków do skarbonek Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy.

Skąd więc bierze się ten kryzys Owsiaakowej idei? Zastanawiając się nad tym, doszedłem do być może mało odkrywczego wniosku. Złote czasy „Jurasa” to lata 90. i pierwsza dekada XXI w., kiedy to lidera WOŚP chronił niemal szczelnie medialny parasol mediów, w tym głównych telewizji – tej największej państwowej i tych dwóch komercyjnych: Polsatu i TVN. Kiedy jakimś cudem telewizja publiczna nie była w rękach liberalnych elit, Owsiaak przekakiwał do TVN, a większość prasy papierowej i tak prezentowała go jako herosa III RP. Początek końca tej Owsiaakowej dominacji zaczął się w momencie, kiedy młodzież szczególnie mu oddana, w wieku ok. 14–25 lat, przestała najpierw czytać gazety, a potem oglądać klasyczną telewizję. A na Twitterze czy TikToku młodzi stykali się już z o wiele bardziej spluralizowanym przekazem. I tam właśnie pytania o transparentność wielkiego maga Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy pojawiały się nieporównanie częściej niż w dawnym, niemal

domkniętym świecie ładu medialnego Polski Kwaśniewskiego czy Tuska.

I wtedy zaczął się powolny schyłek wielkiego Jerzego Owsiaaka. Mimo że showman przywykł do tego, iż jest zawsze w awangardzie, to tej akurat zmiany jakoś nie zauważył na czas. Podobnie zresztą jak Donald Tusk, który uznał, że obdarowanie Jurka zadaniem zorganizowania pomocy dla powodzian to świetny wist propagandowy. Nic jednak nie stoi w miejscu. I dzisiaj neurotyczne reakcje Owsiaaka na pytania o jego finanse odbijają się znacznie bardziej negatywnym echem w sieci niż jeszcze 20 lat temu.

Całą tę historię można by było uznać za kolejny przykład specjalnych praw, które wymusza dla siebie Jerzy Owsiaak, gdyby nie jeden niepokojący fakt: 10 stycznia minister Gawłowski zadeklarował, że zatrzymanie osoby, która groziła śmiercią Owsiaakowi, może być punktem wyjścia do odebrania koncesji Telewizji Republika. Czyżby o to naprawdę chodziło w tej całej awanturze? © ©



FOT. ANI OHA/ON, GOVERNMENT PRESS OFFICE OF ISRAEL

SPRAWA NETANJAHU: POLSKA SIĘ OŚMIESZYŁA

Premier Donald Tusk oświadczył, że rząd zapewni wolny i bezpieczny udział władzom Izraela w obchodach rocznicy wyzwolenia obozu Auschwitz i że żaden przedstawiciel izraelskich władz nie zostanie zatrzymany. W czwartek rząd przyjął uchwałę w tej sprawie. Ma ona związek z apelem wystosowanym przez prezydenta Andrzeja Dudę o zapewnienie ochrony przed aresztowaniem premierowi Izraela Benjaminowi Netanjahu, który podlega nakazowi aresztowania wydanemu przez Międzynarodowy Trybunał Karny w związku z oskarżeniem o zbrodnie wojenne w Strefie Gazy.

„Obaj panowie stanęli na wysokości zadania. I Andrzej Duda, i Donald Tusk równo zabiegali o to,

żeby ich aktywność została dostrzeżona i pochwalona, zarówno przez Izrael, jak i USA [...]. Efekt jest taki, jaki mamy. Moim zdaniem, szczerze mówiąc, Polska się ośmieszyła” – ocenił redaktor naczelny „Do Rzeczy” Paweł Lisicki na kanale tygodnika na YouTube.

Sprawę krytycznie komentowali również politycy. – Teatrzyk dla małych dzieci. Andrzej Duda się wygłupił, a rząd popełnił błąd – stwierdził Leszek Miller na antenie PR24. – Jeśli zgodzimy się na to, by zapewnić bezpieczeństwo Benjaminowi Netanjahu z okazji rocznicy wyzwolenia Auschwitz, to czemu również nie zaprosić Władimira Putina? – pytała zaś wicemarszałek Senatu, kandydatka Nowej Lewicy na prezydenta, Magdalena Biejat. © ©

To, co lubimy najbardziej w kampanii: badania. Wiewiórki z Nowogrodzkiej ćwierkają, że dwie trzecie wyborców Sławomira Jerzego Mentzena w dru-
giej turze zagłosuje na Karola Tadeusza Nawrockiego. To nas w sumie nie dziwi. Bardziej zdziwiło nas, że spora grupa wyborców waha się między Mentzenem a Hołownią. Ludzie, serio?

Tymczasem lista kandydatów prawicowych daleka jest od zamknięcia. Wystartować na prezydenta chce niejaki Dawid Jackiewicz, niegdyś PiS. Co ciekawe, Dawid Bohdan Jackiewicz dysponuje ponoć sporymi środkami na kampanię. Dysponuje również niechęcią zarówno do Mentzena, jak i Kaczyńskiego.

Portugalscy Węgrzy powrócili. Tym samym historia zatoczyła koło, bo przecież półtora roku temu informowaliśmy, że mogą być siłą napędową nowej telewizji z sercem po prawej stronie. No i są – Euronews w wersji polskiej rusza 15 stycznia.

Najbardziej ciekawi nas osoba jednego z kluczowych ludzi funduszu Alpca, który to wszystko finansuje i jest zaprzyjaźniony z Budapesztem. Nie dość, że to syn trenera futbolowego Fernanda Santosa, to jeszcze po Universidade Católica Portuguesa. Oczekujemy, że Euronews będzie bardziej católica niż portuguesa. Zwłaszcza w kampanii.

Wświętecznej krzątanie uwadze większości umknęła epokowa operacja dokonana na języku polskim przez Wandę Nowicką. Otóż ogłosiła ona, że kandydatka Lewicy na prezydenta, Magdalena Biejat, jest już nawet nie czarnym koniem wyścigu, ale „czarną kłaczą”. Jak rozumiemy, idąc tym tropem, rzadka książka to już nie biały kruk, lecz biała kruczyca.

Ponadto deklaracja Nowickiej pomaga w porządkowaniu stanu rzeczy. Skoro Biejat to czarna kłaczą, to zapewne Rafcio Trzaskowski jest czarnym ogierem. Jak w tej sytuacji określić Karola Tadeusza Nawrockiego? Otóż wiemy: Mustang z Dzikiej Doliny. Nie wierzyć? To przeczytajcie streszczenie

tego filmu: „Spirit, młody, dziki mustang, wyrusza na wyprawę pełną przygód. Musi dokonać rzeczy niemal niemożliwych: uratować swą ziemię i odzyskać wolność”. Pasuje, prawda?

Skoro już o porównaniach ze świata natury, to przypominamy, że Piotr Zgorzelski z Peezelu ogłosił kiedyś, że Trzecia Droga to sojusz „świnek z kurkami”. Szymonowi Hołowni pozostawiamy więc decyzję, czy w wyścigu kłaczy, ogiera i mustanga jest świnka czy kurka.

GazWyb” twierdzi, że list prezydenta Andrzeja Sebastiana do Złego Donalda z Sopotu w sprawie Beniamina Netanjahu był intrygą antytuskową. Ale wiecie, jak to z „GazWybem” – nic nie kumają albo jak kumają, to i tak napiszą po swojemu. Otóż nie było tak, że Netanjahu się nie wybierał na rocznicowe obchody do Auschwitz. Otóż wybierał. Po cichu do Polski przyjechała nawet niedawno delegacja izraelskiego Likudu, partii premiera Beniamina, którego zamknąć do ciupy chciał podobno – jak podejrzewano – rząd Donalda. Czemu szczegółów tych rozmów nie ujawnicie, koledzy?

Nasz kolega szkolny, gen. Jarosław Stróżyk, po kokardę ma misji w Służbie Kontrwywiadu Wojskowego. Jak donoszą wiewiórki, chciałby czmychnąć na placówkę dyplomatyczną. Jest tylko jeden problem: na wysłanie w ambasadory musi się zgodzić prezydent RP. A za rządów obecnego to się nie wydarzy. Za następnego też nie.

Zapewne interesuje was, dlaczego nazywamy gen. Stróżyka naszym szkolnym kolegą. I słusznie. Przez lata nie mieliśmy pojęcia, że Stróżyk chodził do tej samej lubińskiej podstawówki co

jeden z panów G. Aż do chwili, w której w nasze łapy wpadł kwit. Otóż kiedy Stróżyka odwoływano z placówki w Waszyngtonie, gdzie był attaché wojskowym, przypomniał sobie, że ma jednego jedyne znajomego o konserwatywnych poglądach. Chciał się więc w swej obronie na niego powołać. Był to Gmyz. Który, dodajmy, w ogóle człowieka nie kojarzył.

Znacie kogoś, kto brał ślub w czwartek? My też nie znaleźliśmy. Normalnie ludzie, aby zawrzeć związek małżeński, wybierają sobotę, ewentualnie piątek. Tymczasem posłanka Aleksandra Wiśniewska wybrała czwartek. Złe języki mówią, że to nie ona wybrała, a jej ojciec. Do niedawna jeden z najbogatszych ludzi w Łodzi. Tylko do niedawna – bo obecnie bankrut. Szanujemy tę oszczędność. Wiemy, ile w weekend trzeba zapłacić za weselisko.

Ślubu Wiśniewskiej udzielała sama prezydent miasta Łodzi, niejaka Hanna Zdanowska. Tak jej się spodobało, że postanowiła wystawić swoje usługi ślubne na licytację u Jurasa Owsiaka. A dodatkowo zareklamować to w gronie swoich współpracowników na mediach społecznościowych. Nie ukrywamy, że oglądając klip, myśleliśmy, że to reportaż ze zjazdu absolwentów Collegium Humanum.

Mżem Aleksandry Wiśniewskiej został człowiek o imieniu Sławosz, przedstawiany jako drugi po Mirosławie Hermaszewskim polski astronauta. Jest jednak jeden problem. Hermaszewski był kosmonautą. Termin „astronauta” był zastrzeżony dla Amerykanów.

Jesteśmy skonsternowani. Może pamiętacie, jak na wiecu wyborczym Kamala Jusłyszła z publiki hasło: „Jesus is king”? Odpowiedziała wtedy: „Jesteś na niewłaściwym wiecu!”. Teraz natomiast okazało się, że Kamala Harris jednak się modli. Przyczyna zmiany jest następująca: wielkie pożary w Kalifornii zaczęły pożerać domy celebrytów i milionerów. Uważamy, że jesteśmy na tropie dobrego hasła wyborczego dla demokratów: „Jeśli już musisz się modlić, to módl się za bogaczy”. ©



FOT. ROBERT CAROZYŃSKI



RAFAŁ A.
ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Koniec neutralności

Słowa wicemarszałka Sejmu z Konfederacji, Krzysztofa Bosaka, o prawnikach robiących u Donalda Tuska za „prostytki prawne”, wywołały dziką furję prorządowych „autorytetów”. Przeważnie przedstawiali je oni jako bezzasadną obelgę w stylu: „Bosak nazwał prostytutkami prawników, z którymi się nie zgadza”. To kłamstwo, Bosak zaadresował oskarżenie precyzyjnie: prostytuują się prawnicy, którzy na użytek łamiącego prawo rządu, zapewne nie za darmo, produkują propagandowe „wykładnie”, wiedząc doskonale, że kłamią. To np. sytuacja byłego rzecznika praw obywatelskich, który, dopóki nim był, dopóty mówił, pisał i robił diametralnie

co innego, niż gdy teraz został ministrem. Przede wszystkim jednak to wiele pomniejszych „ekspertów”, którzy doskonale wiedzą, jak jest naprawdę, ale robią to, co robią, bo wiedzą też, że za „opinię prawną”, zwłaszcza wygłoszoną w telewizji, nie ponosi się żadnej odpowiedzialności. Pójść siedzieć może co najwyżej ten, który opierając się na lewej opinii, wyda konkretne, bezprawne decyzje.

Zaskoczenie wywołał więc chyba nie merytoryczny sens wypowiedzi Bosaka, bo tu nie ma o czym gadać, ale użycie przez niego tak mocnej, „pisowskiej” retoryki. Ale to logiczne – zwłaszcza w kontekście niewiele wcześniej wypowiedzi Bosaka, że wy-

bory prezydenckie wygrać musi „każdy, byle nie Trzaskowski”. Konfederacja długo się broniła przed zajęciem pozycji po jednej ze stron rozdzierającego Polskę sporu, ale w momencie, gdy PO poszła w polityczny bandytyzm, zanegowała konstytucję i porządek prawny, powołując się na zmyślone przez własną propagandę „konieczności” stanu przejściowego, „demokracji walczącej” i „przywracania praworządności”, nie można zachować neutralności. Nawet nie ze względów moralnych, po prostu bezprawie Tuska uderza nie tylko w PiS, lecz także w każdego. Sytuacja sprzed pięciu lat, gdy połowa wyborców Konfederacji poparła Trzaskowskiego, nie jest już możliwa. © ©



MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

O istocie bodnaryzmu

Minister Bodnar nie podał się do dymisji po ujawnieniu szczegółów brutalnych śledztw przeciwko ks. Olszewskiemu i paniom z Funduszu Sprawiedliwości, choć przecież nie chodziło o jakąś rutynową sprawę, ale o polityczną, forsowaną i nadzorowaną przez władze, szeroko relacjonowaną przez media. W odwrotnej sytuacji Bodnar nie tylko żądałby odwołania odpowiedzialnych ministrów, lecz także uznałby, że podane fakty (parunastogodzinne przesłuchanie skutego kajdankami więźnia, mężczyzna przeprowadzający rewizję osobistą kobiety) dezawuuują w całości demokratyczny i praworządny

charakter państwa, w którym to się dzieła.

Dlaczego teraz udaje, że w niczym nie dotyczy to jego własnej odpowiedzialności? Zwykły oportunizm (punkt widzenia zależy od punktu siedzenia) czy słabość charakteru (nie potrafi w żaden sposób przeciwstawić się Tusko-wi)? Te potoczne interpretacje jednak spływają problem.

Bodnar z pewnością szczerze uważa, że takie Guantanamo byłoby naganne w stosunku do terrorystów. Im, jako przeciwnikom państwa i społeczeństwa, przysługują Prawa Człowieka. Ale w wypadku rewanżu na władzy i środowiskach zwalczanych przez prawoczołwiczizm użyte środki śledcze to po

prostu dalszy ciąg walki o Prawa Człowieka, tylko innymi metodami. Jak więc widać – od prawoczołwie-kisty do czekisty tylko jeden krok. Zresztą i w historycznej Czeku nie brakowało pacyfistów, abolicjonistów, a nawet (tak, to fakt udokumentowany) anarchistów.

Opisana tu dialektyka należy wręcz do istoty Praw Człowieka. Artykuł 30 Powszechnej Deklaracji rozstrzyga, że jej przepisy nie przysługują „państwowym, grupom i jednostkom”, które mogłyby „zmierzać” do podważenia jej zasad. A o tym, czy do tego „zmierzają”, najlepiej decydują kompetentne instytucje ogłaszające i egzekwujące Prawa Człowieka. Bo nie ma wolności dla wrogów wolności! © ©

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

Jerzy Obciach



cezar y k r y s z t o p a

PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O sylwestrze w Mediolanie

Na ogromnym placu przed jedną z największych katolickich świątyń, gotycką katedrą Narodzin św. Marii w Mediolanie, na sylwestrowe spotkanie umówiła się migrancka młodzież, głównie młodzieńcy urodzeni w Italii. Zebrali się wokół cokołu ogromnego konnego pomnika Wiktora Emanuela II, jednego z bohaterów walki o zjednoczenie i niepodległość Włoch. Na placu katedralnym odbywają się najważniejsze uroczystości religijne i świeckie miasta. To tam świętują zwycięstwa swoich drużyn kibice Interu i Milanu. Wraz z wytworną XIX-wieczną galerią handlową plac jest bijącym sercem Mediolanu.

Uczniowie i absolwenci włoskich szkół, kwiat medio-

lańskiej młodzieży migranckiej, wymachiwali flagami państw, z których do Italii przybyli ich rodzice, przede wszystkim Tunezji i Maroka. Za udzieloną im i ich rodzicom gościnę we Włoszech podziękowali skandowaniem wulgarnego hasła: „Wyp……. Italio!” i gestem wyprostowanego środkowego palca. Natomiast chroniący porządku nieliczni karabinierzy pozdrowieni zostali okrzykami: „Gówniana policja!”. Hasłem sylwestrowej nocy na placu stał się wrzask: „Allahu akbar”, co przed fasadą najważniejszej chrześcijańskiej świątyni miasta trudno nie nazwać prowokacją. Filmiki ilustrujące te budujące sceny młodzi Arabowie z dumą wrzucali do Internetu. Autor jednego z nich z radością oznajmił: „Mediolan nasz! Tu nie

ma żadnego Włocha!”. Dopiero dwa dni później dowiedzieliśmy się, że młodzi islamisci dopuścili się również ataków na tle seksualnym na młode turystki z Belgii i Niemiec. Na szczęście do gwałtów nie doszło. Słowem: przybysze z Afryki zintegrowali się aż miło.

Lewicowy burmistrz miasta, Giuseppe Sala, fanatyk kultu św. Migranta, do tej pory nie zdobył się na komentarz. A przecież to on i podlegające mu służby są odpowiedzialni za kwestie bezpieczeństwa i wszystko, co dzieje się w mieście. Milczą też włoskie feministki, jak najśluszej bardzo aktywne na barykadach walki o prawa kobiet, gdy niewiastę zaatakują Włoch. ©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.



ZUZANNA
DĄBROWSKA-
-PIECZYŃSKA

GWIAZDOBZDUR

APARTAMENCIK PRAWEM, NIE TOWAREM

Mieszkanko na Florydzie dla każdego? Czemu nie! Przynajmniej według Zenona Martyniuka. Gwiazdor disco polo podzielił się przemyśleniami na temat dostępności takiej inwestycji dla przeciętnego Polaka. No bo skoro jego sytuacja finansowa na to pozwala, to przecież każdy ma tak samo. – To jest moje marzenie, żeby mieć tam swój apartamencik czy jakiś mały zgrabny domek – snuje plany osiedlenia się na Florydzie muzyk. Według Martyniuka zakup nieruchomości w tym słonecznym stanie USA jest na wyciągnię-



FOT. PAMEŁ WODZIŃSKI/EAST NEWS

cie ręki (albo sięgnięcie do portfela) wielu Polaków. – Oczywiście, że stać Polaka na kupno. Różne są ceny, to nieprawda, że są jakieś tam ceny wygórowane. Oczywiście nowoczesne budownictwo, jeżeli chce się kupić taki apartament, gdzie można samochodem wjechać prawie do samego apartamentu, to wiadomo, że to kosztuje kilka milionów dolarów, ale taki przeciętny apartamencik – ok. 500 tys. dol., czyli równowartość 2 mln zł. Podobne ceny chyba jak w Polsce, mieszkania w Warszawie – przekonywał piosenkarz w rozmowie z Show News. To co? Kiedy lecimy?

ROZLICZENIE ZE WSIĄ

Ceniony nie tylko w kraju aktor Marcin Dorociński udzielił obszernego wywiadu magazynowi „Zwierciadło”. Przyznał, że choć udało mu się zrobić karierę za granicą, to długo walczył z kompleksami dotyczącymi pochodzenia. „Zawsze powtarzam, że jestem tylko aktorem. Chłopakiem ze wsi, szczęśliwym, że może uprawiać ten zawód. Bo on daje mi wiele radości. Jednocześnie mogę być normalnym, zwykłym facetem, odwożącym dzieci do szkoły, pijącym kawę w kawiarni, wyprowadzającym psa koło domu. Długo myślałem, że muszę zabić w sobie te wiejskie korzenie, tę prostotę, którą uwielbiam i której nie chciałbym nigdy stracić. Traktuję swoje pochodzenie jako moją siłę i coś, co mnie ukształtowało. Wyszedłem już z kompleksu wsi” – zapewnia Dorociński. Jednocześnie aktor wyznał, że kręcenie zdjęć poza Polską nadal kosztuje go wiele nerwów. „To zabawne, bo za każdym razem, gdy jadę za granicę, trzęsą mi się portki. Powtarzam sobie: »Boże, żeby tylko nie przynieść wstydu«. Przede wszystkim sobie, a w dalszej kolejności – rodzinie oraz krajowi. Ja się zawsze denerwuję [...]”. Czasami mnie to za dużo kosztuje” – twierdzi aktor. Pięćdziesięciodziesięcioletek opowiedział o pracy na planie filmu „Mayday”. „Ostatnio pracowałem z Kennethem Branaghem w filmie »Mayday«, mieliśmy zdjęcia w Kanadzie, na Węgrzech. Cudowny był moment kręcenia sceny przesłuchania z nim i Ryanem Reynoldsem. Gram tam oczywiście groźnego gościa – więcej nie mogę niestety powiedzieć. Długa scena, pełna gadania, nagrywaliśmy ją dwa dni – najpierw kamery na nich, potem na mnie. I nagle w samym środku ujęcia pojawia mi się taki obraz, że jestem w moim rodzinnym Kłodzku na boisku, mam 15 lat i myślę sobie, co będę robił w życiu. Uśmiechnąłem się, co świetnie koresponowało z tym, że gram faceta, który zaraz komuś zrobi krzywdę. Po scenie Branagh mówi do mnie: »Ale super to było z tym uśmiechem! O czym wtedy pomyślałeś?«. »O dzieciństwie – odpowiedziałem. – Ja wtedy nawet nie marzyłem, że będę z tobą

kiedykolwiek grał«” – powiedział Marcin Dorociński. Gwiazdor dodaje, że czuje się już międzynarodowym aktorem, choć jego tożsamość pozostaje taka sama. „Ale... generalnie to ze wsi jestem” – podsumował. No i bardzo dobrze. Powaga.

NADCHODZI BURZA

Wieloletni reporter „Faktów” TVN Cezary Grochot ogłosił odejście ze stacji. Dziennikarz zajmował się tematyką zagraniczną. Witając nowy rok w mediach społecznościowych, poinformował o decyzji. „Wszystkiego dobrego w 2025 roku! Dla mnie będzie to z pewnością ciekawy rok, ponieważ po tylu latach w jednej firmie z końcem 2024 zakończyłem współpracę z TVN. 27 lat. Sam nie wiem, kiedy to minęło” – wskazuje. „Co dalej? Wiele osób przekonuje mnie, żeby podzielić się wspomnieniami. Trochę się tego uzbierało. Od chwili powstania »Faktów« byłem w centrum wydarzeń. Mnóstwo pozytywnych wspomnień i masa mrocznych historii, z których większość nigdy nie ujrzała światła dziennego. Także z ostatnich lat. Więc tak. Chyba warto to wszystko opisać. Cdn.” – napisał enigmatycznie. Już zacieramy ręce.

TĘCZOWA SZPILKA

Projektant mody Dawid Woliński, który jest jednocześnie jurorem w show TVN „Top Model”, wypowiedział się niepochlebnie na temat kolegi z planu, Michała Piroga (co istotne, obaj panowie to homoseksualiści). W podcaście „Wojewódzki & Kędzierski” przypomniano dawną wypowiedź Piroga, który powiedział, że „nienawidzi ukrywających się gejów”. – Michał jest osobą wymagającą dużej tolerancji, ale nie dającą jej innym. Jak przyszedłem do programu, miałem z nim dużo przygód. Pamiętam słynne wypowiedzi, na które nigdy nie zareagowałem. On wiedział, z kim sypiam, wypowiadał się oficjalnie. I to o wszystkich. Co uznałem finalnie za komplement – że „Dawid jest głupiotki jak Paris Hilton i zawsze musi u mnie błyszczeć kryształek”. Nikt z nas na to nie reagował, bo uważam, że Michał jest osobą, która potrzebuje dużo empatii, a najmniej jej daje z nas wszystkich – wskazał. Taka to tolerancja. ©@





ARMAGEDON W KALIFORNII

Co najmniej 10 ofiar śmiertelnych, 180 tys. ewakuowanych, ponad 10 tys. spalonych domów, budynków użyteczności publicznej i elementów infrastruktury, wiele spalonych samochodów oraz ponad 330 tys. pozbawionych dostępu do energii elektrycznej

– to wstępny bilans trzech tragicznych pożarów, z którymi w ubiegłym tygodniu walczyło w hrabstwie Los Angeles ponad 8 tys. strażaków.

Ogień strawił luksusowe posiadłości takich gwiazd filmowych jak Billy Crystal,

Paris Hilton, Jamie Lee Curtis czy Eugene Levy oraz wiele modnych restauracji w Los Angeles. Żywił zagroził również słynnym atrakcją turystycznym, a także wielu zabytkom. Gdy zamykałmy to wydanie tygodnika, wstępne straty szacowano na ponad 50 mld dol. **(jap)** ©

Ukraińcy nie chcą walczyć



Maciej Pieczyński

Zmęczenie wojną zaczyna przeważać nad wolą walki z agresorem. Żołnierze masowo dezertują, a prorosyjscy politycy wychodzą z cienia, czekając na swoje zbliżające się „pięć minut”. Ukraińcy powoli przyzwyczajają się do myśli o pokoju i ustępstwach

Jeszcze przed chrztem bojowym z nowo utworzonej 155. Brygady Zmechanizowanej „Anna Kijowska” zdezerterowało 1,7 tys. żołnierzy. Zaraz po bitwie dowódca stracił stanowisko, a jeden z oficerów odpowiedzialnych za sformowanie oddziału zmarł na zawał serca. Te sensacyjne informacje za sylwestra opublikował znany ukraiń-

ski dziennikarz śledczy Jurij Butusow. Brygada powstała w zeszłym roku, miała składać się z 4,5 tys. żołnierzy. Częściowo sformowana i wyszkolona została we Francji. Już na etapie jej formowania za granicą jej szeregi miało opuścić 50 osób. Była działaczka partii Sługa Narodu, znana z kontrowersyjnych wypowiedzi parlamentarzystka Mariana Bezuhła,

nazwała oddział „brygadą zombie”. „Lepiej już opuścić jednostkę. Jeśli mnie złapią, to drzwi więzienia prędzej czy później się otworzą, a wieko trumny – już nigdy” – tak swoje i swoich kolegów postępowanie tłumaczył w anonimowej rozmowie z ukraińską redakcją Radia Swoboda jeden z dezertorów z brygady „Anna Kijowska”.



**Od momentu inwazji
rosyjskiej do 1 grudnia
2024 r. odnotowano 114 280
przypadków dezercji
z ukraińskiego wojska**

cych dezercji lub samowolnego opuszczenia jednostki wojskowej. Dla porównania: w październiku takich spraw było „jedyne” 9487, a w styczniu 2024 r. – 3448. Ogółem od momentu inwazji rosyjskiej do 1 grudnia 2024 r. odnotowano 114 280 wypadków ucieczki z wojska. Do dezercji dochodzi nawet poza granicami kraju. Jak pod koniec ubiegłego roku informował „Financial Times”, co miesiąc 12 ukraińskich żołnierzy ucieka podczas ćwiczeń na terenie Polski. To przecież doskonała okazja dla tych, którzy nie chcą ginąć na froncie – nie muszą płacić łapówek swoim pogranicznikom ani ryzykować życia podczas przeprawy przez rzekę Cisę.

ZMĘCZENI I ZDEMOTYWOWANI

Dezercja oznacza ostateczną ucieczkę z wojska. Samowolne opuszczenie jednostki oznacza, że żołnierz oddalił się od swojego oddziału na okres od jednego do trzech dni dwukrotnie w ciągu trzech miesięcy służby. Za dezercję grozi od pięciu do 12 lat więzienia. Za samowolkę – od pięciu do 10. Ukraiński dziennikarz Wołodmyr Bojko szacuje, że oficjalne dane z listopada są mocno zaniżone. Jego zdaniem 19 tys. to „granica fizycznych możliwości rejestracji tego rodzaju przestępstw”. A to dlatego, że w każdym takim wypadku dowódca jednostki wojskowej musi na początku przeprowadzić śledztwo, potem zatwierdzić jego rezultaty, wysłać zawiadomienie o popełnieniu przestępstwa do Państwowego Biura Śledczego (DBR) albo do prokuratury wojskowej, a tam zawiadomienie powinno zostać rozpatrzone, a dane na temat śledztwa powinny zostać wpisane do specjalnego państwowego rejestru. Droga służbowa jest zatem bardzo długa i żmudna. Biorąc pod uwagę to, jak wielka może być skala dezercji, Bojko prognozuje, że wiosną 2025 r. „armia po prostu się rozpieczę”. W ocenie dziennikarza największym problemem nie jest sama dezercja,

Były żołnierz twierdzi, że szkolenie wojskowe w brygadzie było traktowane po macoszemu i absolutnie niewystarczające. Nawet ci, którzy przechodzili je we Francji (w tym rozmówca Radia Swoboda), niewiele mogli się nauczyć. Przyszły dezerner, mimo braku odpowiedniego przeszkolenia, został mianowany dowódcą plutonu. „Powinniśmy

znaleźć jakieś podejście do ludzi. Zapewnić im odpowiednie szkolenie. Wychodzi na to, że wszyscy milczą, przychodzi jakiś rozkaz z góry, który trzeba wykonać. Choć jakkolwiek, ale trzeba wykonać [...]. A ludzie są niewyszkoleni” – przekonuje rozmówca Radia Swoboda.

Tylko w listopadzie 2024 r. wszczęto 19 tys. nowych spraw karnych dotyczą-

FOT. DMYTRO SKOLENIKO/UIGRINFORM/EAST NEWS

■ tylko „szabuning”. Czyli uchylanie się żołnierzy od służby wojskowej w porozumieniu z dowódcami. „Szabuning” – jak wyjaśnia Bojko – jest wtedy, kiedy w plutonie formalnie jest 30 osób, a faktycznie – 12–13, bo reszta siedzi w domu. To zjawisko wyjaśnia, dlaczego z miliona zmobilizowanych na froncie realnie przebywa ok. 200–250 tys. Samo słowo „szabuning” pochodzi od nazwiska szefa Centrum Walki z Korupcją Witalija Szabunina, który teoretycznie odbywał służbę w wojsku, a w praktyce się od niej uchylał. Państwowe Biuro Śledcze w marcu ubiegłego roku wszczęło w tej sprawie śledztwo. Szabunin twierdzi, że poszedł do wojska na ochotnika już w pierwszych dniach wojny, wiadomo jednak, że jak dotąd nie podjął służby. Sprawa na razie ucichła.

Ukraińcy są coraz bardziej sfrustrowani i zniechęceni. Wielkimi krokami zbliżają się rozmowy pokojowe i jakiś rodzaj porozumienia

Dlaczego Ukraińcy tak masowo uciekają z wojska? Rosyjska redakcja BBC, powołując się na rozmowy z wysoko postawionymi urzędnikami w Kijowie, podaje dwie najważniejsze przyczyny: zmęczenie i „busyfikację”. „Busyfikacja” to inaczej przymusowa mobilizacja. Polega ona na wyłapywaniu wprost na ulicach mężczyzn podlegających obowiązkom służby wojskowej i ładowaniu ich do busa. Okopy porzucają więc z reguły albo ci, którzy zostali zmobilizowani siłą i wysłani na front bez odpowiedniego przygotowania, albo ci, którzy walczą od samego początku pełnoskalowej wojny, więc są wykończeni psychicznie. Żołnierze nie są rotowani, nie mają urlopów, a okres ich służby nie jest jednoznacznie określony – to wszystko jeszcze dodatkowo pogłębia zmęczenie.

„Nie mam już siły tak aktywnie walczyć” – tak w rozmowie z BBC 25-letni Denys tłumaczy swoją decyzję o samowolnym oddaleniu się z jednostki. Służy w wojsku już ponad pięć lat, czyli niemal całe swoje dorosłe życie. W 2019 r. pod-

pisał kontrakt na trzy lata. Z początkiem inwazji okres jego służby został przedłużony do końca obowiązywania stanu wojennego. Denys nie ma nic przeciwko powrotowi do wojska, ale nie chce trafić na pierwszą linię frontu. Nie boi się też odpowiedzialności karnej. „Uważam, że zbyt długo walczę, żeby mnie wsadzać do więzienia” – mówi.

Zdaniem Romana Lichaczowa, prawnika z Centrum Pomocy Weteranom, są jeszcze dwie inne możliwe przyczyny tak wielkiej skali dezercji. Po pierwsze, błędy dowództwa, które prowadzą do nadmiernie wysokich strat. Po drugie, niewykorzystanie potencjału poborowych. Chodzi dokładniej o to, że zmobilizowany nie otrzymuje przydziału zgodnego z wykształceniem. Na przykład inżynier, który mógłby przydać się do bardziej zaawansowanych technicznie zadań, zostaje skierowany do piechoty. Konflikt z dowództwem był zresztą jedną z przyczyn oddalenia się z jednostki żołnierza o pseudonimie Kaban. Jak opowiada w rozmowie z BBC, w pierwszym roku wojny „fajnie było walczyć”, bo oficerowie i podoficerowie wtedy jeszcze szanowali podkomendnych, ci ostatni byli zatem bardziej zmotywowani. „Kaban” walczył na pierwszej linii frontu przez cały 2022 r. Potem komisja lekarska uznała, że jest on w stanie wykonywać zadania jedynie na tyłach. Wbrew orzeczeniu (które, jeśli wierzyć wersji żołnierza, zostało wydane uczciwie i za darmo) dowódca wysłał go z powrotem na front. Wtedy „Kaban” się zbuntował i samowolnie opuścił jednostkę.

Co istotne, we wrześniu 2024 r. Rada Najwyższa przegłosowała ustawę, zgodnie z którą żołnierz nie podlega karze, jeśli zdezerterował lub opuścił jednostkę po raz pierwszy. W ten sposób władze chcą zachęcić uciekinierów do zmiany decyzji o ucieczce. Warunkiem uniknięcia odpowiedzialności karnej jest jednak powrót w szeregi oddziału. Jeśli żołnierz chce skorzystać z takiej możliwości, to musi o tym poinformować prokuratora, śledczego lub sędziego. Konieczna jest też zgoda dowódcy. I tu pojawia się problem. Dowódcy dość często takiej zgody nie wyrażają. Wolą, żeby dezenter poszedł siedzieć, niż żeby wrócił pod ich komendę. Szczególnie jeśli ucieczka była rezultatem konfliktu.

„W niektórych okresach liczba tych, którzy porzucili jednostkę, była większa niż liczba poległych i rannych. Około 10 proc. wróciło” – to nie jest cytata z rosyjskiej propagandy, tylko anonimowa wypowiedź jednego z ukraińskich dowódców liniowych, przytoczona przez „Gazetę Wyborczą”, a w ślad za nią – przez najważniejsze media nad Dnieprem. Zjawisko dezercji jest w Siłach Zbrojnych Ukrainy tak powszechne, że mówi o nim głośno nawet ci, którzy jeszcze niedawno podawanie podobnego rodzaju informacji uważali za działanie na rzecz Kremla.

W pierwszych miesiącach wojny można było odnieść wrażenie, że absolutna większość Ukraińców jest zdeterminowana, by walczyć o niepodległość i integralność terytorialną. Trudno jednak ocenić, na ile to był prawdziwy obraz sytuacji, a na ile myślenie życzeniowe i efekt medialnej narracji, dominującej zarówno nad Dnieprem, jak i w Polsce czy na Zachodzie. Sporym zaskoczeniem był już sam fakt, że Wołodymyr Zełenski nie uciekł z kraju, a Siły Zbrojne Ukrainy podjęły w ogóle walkę z agresorem. Z czasem jednak przyszło zmęczenie wojną. Widać wyraźnie, że ani Rosja nie jest w stanie podbić Ukrainy, ani Ukraińcy nie są w stanie odzyskać wszystkich okupowanych terenów. Jedni i drudzy ponoszą ciężkie straty w ludziach, ale Moskwa ma o wiele większy potencjał ludnościowy, a zatem możliwości niemal nieograniczonego uzupełniania strat. A ponadto ma dostęp do taniego mięsa armatniego w postaci chociażby żołnierzy północnokoreańskich. Ukraińcy są coraz bardziej sfrustrowani i zniechęceni. Wielkimi krokami zbliżają się rozmowy pokojowe i jakiś rodzaj porozumienia.

UKRAINA GOTOWA NA USTĘPSTWA?

Paradoksalnie być może niebawem to Ukraińcom bardziej będzie zależało na pokoju niż Rosjanom, którzy na froncie odnotowują postępy. W 2024 r. zdobyli sześciokrotnie większe terytorium niż przez cały rok 2023. Na Zachodzie propozycja ustalenia granicy na obecnej linii frontu interpretowana jest jako pomysł antyukraiński i prorosyjski zarazem. Tymczasem dla Putina to i tak może być za mało, skoro może zdobyć jeszcze więcej.

W warunkach pokoju – choćby wynikającego ze zgniłego kompromisu – potrzebny będzie polityk pokojowo nastawiony do Rosji, a nie wojujący patriota

Natomiast Ukraińcy powoli zaczynają dojrzywać do myśli o konieczności kompromisu z Moskwą. Wyraźnie widać to w badaniach Kijowskiego Międzynarodowego Instytutu Socjologii (KMIS), przedstawiających dynamikę gotowości do ustępstw terytorialnych. Respondentom dano do wyboru dwie tezy. Pierwsza brzmi: „Celem jak najszybszego osiągnięcia pokoju i zachowania niepodległości Ukraina może zrezygnować z niektórych swoich terytoriów”. Druga: „W żadnym wypadku Ukraina nie może zrezygnować z żadnych terytoriów, nawet jeśli w efekcie wojna trwać będzie dłużej i pojawi się zagrożenie dla zachowania niepodległości”. W maju 2022 r. pierwszą opcję wybrało 10 proc., drugą – 82 proc. (pozostali zaznaczyli wariant „trudno powiedzieć”). W kolejnych badaniach odsetek chętnych walczyć do końca o wszystkie ziemie jeszcze urósł. W szczytowych momentach (wrzesień 2022 r., luty 2023 r.) było to nawet 87 proc. Tendencja zmieniała się od końca 2023 r. W listopadzie 2024 r. już tylko 58 proc. Ukraińców kategorycznie wykluczyło ustępstwa, a aż 32 proc. wzięło je pod uwagę.

Podpisanie jakiegokolwiek porozumienia z Rosją najprawdopodobniej oznaczałoby zniesienie stanu wojennego na Ukrainie. A wówczas nad Dniepr wróciłaby normalna walka polityczna, wolna od ograniczeń wynikających z cenzury wojennej. Argument typu „nie krytykujmy władzy, bo trwa wojna” straciłby rację bytu. Przede wszystkim władze musiałyby przeprowadzić wybory – parlamentarne i prezydenckie. Z jednej strony, oprócz dwóch najważniejszych obozów (Zełenskiego i Poroszenki), spore szanse miałyby w nich nowe siły polityczne, stworzone na bazie czy to bohaterów wojennych, czy to wolontariuszy.

Jednak ustępstwa terytorialne wzmocniłyby również pozycję sił prorosyjskich na Ukrainie. Okazałoby się bowiem, że zwyciężyła opcja „kompromisowa”, że Zełenski i inni „podlegacze wojenni” muszą przyznać rację tym, którzy apelowali o ugodę z Rosją. Politycy przestaliby się licytować na wojujący patriotyzm, który w takim wypadku znalazłby się w odwrocie. Owi wojujący patrioci, sfrustrowani ustępstwami, przestaliby być bohaterami walczącymi z agresorem, zaczęliby natomiast (prawdopodobnie) protestować przeciwko zdrazieckiej władzy, która się na ustępstwa zgodziła. Obóz proukraiński pograżałby się we wzajemnych oskarżeniach i wewnętrznych konfliktach. I wtedy – jak to ironicznie określił polityk partii Poroszenki Mykoła Kniażycki – pojawiłoby się zapotrzebowanie na „prorosyjskiego Mesjasza”. Czyli na polityka, który znormalizuje relacje z Moskwą.

PROROSYJSKA OPCJA

W warunkach pokoju – choćby wynikającego ze zgniłego kompromisu – potrzebny będzie polityk pokojowo nastawiony do Rosji, a nie wojujący patriota. Tę szansę dostrzegł już Jurij Bojko (zbieżność nazwisk z Wołodymyrem Bojką przypadkowa), niegdyś jeden z liderów Platformy Opozycyjnej Za Życie (OPZZ), prorosyjskiej ukraińskiej partii, która w 2019 r. w wyborach parlamentarnych zdobyła 13 proc., zajmując drugie miejsce za zwycięską partią Sługa Narodu. Po inwazji Rosji na Ukrainę ugrupowanie znalazło się ze zrozumiących przyczyn na cenzurowanym. W końcu partię zdelegalizowano, a ci spośród jej członków, którzy nie uciekli z kraju, nadal zasiadali w parlamencie, siedzieli cicho, nie wychylali się, często przy tym głosując zgodnie z interesem Sługi Narodu.

Piąta kolumna Kremla była dla Zełenskiego użyteczna (jako maszynka do głosowania), więc jej do końca nie likwidował. Byli członkowie OPZZ utworzyli zresztą nową frakcję w Radzie Najwyższej – Platformę Za Życie i Pokój. Jej przewodniczącym został właśnie Bojko. W połowie grudnia w mediach społecznościowych opublikował oświadczenie prezentujące narrację prorosyjską. Krytykował w nim „radykałów”, którzy

„zaczęli w całym kraju burzyć pomniki, zmieniać nazwy miast, zabraniać ludziom mówić w ich języku ojczystym (czyli po rosyjsku), chodzić do tej Cerkwi, do której chcą chodzić (czyli do Ukraińskiej Cerkwi Prawosławnej Patriarchatu Moskiewskiego)”. Burzenie pomników sowieckich i rosyjskich porównał do burzenia pomników Krzysztofa Kolumba w USA. „Widzimy, że ten ruch jest kontynuowany, przemoc wobec ludzi jest nadal stosowana. Dlatego coraz więcej ludzi nas popiera – tych, którzy opowiadają się przeciwko przemocy, za jednością kraju, za wsparciem dla ludzi” – mówił Bojko.

Następnie działacz opublikował kolejne wideo, w którym dookreślił, że mówiąc o radykałach i zakazie mówienia w języku ojczystym, miał na myśli prezydenta Petra Poroszenkę i grupy paramilitarne (zapewne oddziały ochotnicze). W efekcie został przesłuchany przez SBU, po czym opublikował wideo z przeprosinami, w którym nazwał Putina zbrodniarzem wojennym. Zapewnił, że nie chce, aby jego wypowiedź została potraktowana jako usprawiedliwienie agresji na Ukrainę.

Z pewnością jednak Jurij Bojko nie zmienił poglądów, a jedynie taktycznie się wycofał ze swoich słów, bo obawiał się konsekwencji. Nadal jest zwolennikiem porozumienia z Moskwą i spełniania jej żądań. Pięć dni po publikacji prorosyjskiego oświadczenia polityk został odwołany z parlamentarnej komisji praw człowieka, deokupacji i reintegracji tymczasowo okupowanych terytoriów Ukrainy, mniejszości narodowych i stosunków międzyetnicznych. Przy czym decyzja ta zapadła dopiero za drugim podejściem – w pierwszym głosowaniu zabrakło dziewięciu głosów.

Bojko, jako lider OPZZ w chwili delegalizacji tej partii, stanął na czele komisji likwidacyjnej ugrupowania. Jedyne ta jedna formalna kwestia uniemożliwiła prorosyjskiemu politykowi start w jakichkolwiek wyborach. Ale – jak na początku stycznia poinformowały ukraińskie media – Bojko tę przeszkodę usunął, wyznaczając na szefa komisji kogoś innego. To kolejny dowód, że lider opcji prorosyjskiej wraca do gry.

Jak zauważa politolog Wiktor Bobyrenko, elektorat Bojki to ci, którzy uważają, że choć Putin „przesadził”, wywołując wojnę, to jednak Ukraina „nie jest

■ bez winy”. „Trzeba było się dogadać. A poza tym nie można dzieciom zabierać bajek Puszkina, a dorosłym – Czechowa i Bułhakowa” – tak myślenie zwolenników Bojki rekonstruuje Bobyrenko, nawiązując do empatii, którą rosyjskojęzyczny Bojko darzy kulturę rosyjską.

Potencjał tego elektoratu politolog ocenia na maksymalnie 15 proc. Przy czym większy potencjał zagospodarowania tej grupy potencjalnych wyborców dostrzega u Ołeksija Arestowycza, który po odejściu z ekipy Zełenskiego pozycjonuje się nie tyle jako polityk prorosyjski, ile krytyk rządu w Kijowie, nawołujący do realistycznego spojrzenia na wojnę z Rosją. Były doradca szefa biura prezydenta jest młodszy niż Bojko, o wiele lepiej radzi sobie w mediach społecznościowych, poza tym bije na głowę byłego lidera OPZZ pod względem charyzmy.

ROSJI ZALEŻY NA CHAOSIE

Zagrożenie ze strony obu polityków – a także ich naśladowców – dostrzega Mykoła Kniażycki. Słusznie zauważa, że podczas ukraińskich wyborów w 2019 r. Rosja nie tyle popierała Zełenskiego (co błędnie sugerowało wielu komentatorów), ile występowała przeciwko Poroszenko. Swoją cel zrealizowała, bo kandydat „patriotyczny” przegrał. W kolejnych wyborach – jak przekonuje Kniażycki – Rosja będzie przeciwko zarówno Poroszenko, jak i Zełenskiemu. Jego zdaniem nie oznacza to jednak, że Moskwa poprze któregoś z „prorosyjskich” polityków. „To naiwność” – pisze Kniażycki. Putin wykorzysta Bojkę „czy innych arestowiczów” do zdobycia władzy na Ukrainie, po czym swoich stronników porzuci, bo żadnemu z nich nie zaufa na tyle, żeby powierzyć stery rządów w podbitym kraju. Nawet ci, nad Dnieprem uważani za zdrajców, politycy są w optyce Kremla zbyt „proukraińscy” – tu wypada się zgodzić z Kniażyckim. „Rosjanie chcą chaosu, a nie zwycięstwa Bojki w wyborach” – pisze z kolei, również przekonująco, politolog Wadym Denysenko. Im większe nad Dnieprem będą spory między opcją patriotyczną a opcją prorosyjską, tym bardziej wiarygodnie będzie brzmieć kremlowska propaganda o konieczności „obrony swoich” na Ukrainie.

Część ukraińskich komentatorów sugeruje, że w ożywieniu opcji proro-

Zwycięstwo „opcji pokojowej” na Ukrainie otwiera nowe możliwości przed Putinem, który może wrócić do prób politycznego (a nie militarnego) podboju Ukrainy

syjskiej palce maczali współpracownicy Zełenskiego. Parlamentarzyści dawnej OPZZ są zakładnikami ekipy rządzącej. Formalnie nie są w żadnej koalicji ze Sługą Narodu, ale popierają partię prezydencką w obawie przed konsekwencjami prawnymi. Można założyć, że bez zgody Bankowej (przy ul. Bankowej w Kijowie mieści się siedziba prezydenta) Bojko nie odważyłby się na wznowienie politycznej aktywności. Być może więc Sługa Narodu szykuje sobie „koncesjonowaną opozycję”, którą będzie można pokazywać palcem jako prawdziwą „piątą kolumnę”, swego rodzaju chłopca do bicia w sytuacji, gdy Zełenski pójdzie na ustępstwa wobec Moskwy.

Im bliżej do pokoju, tym większe będzie poparcie dla takich polityków jak lider Platformy Za Życie i Pokój. Wątpliwe, by opcja prorosyjska wygrała przyszłe wybory prezydenckie czy parlamentarne (niezależnie od tego, czy Moskwa chce jej zwycięstwa czy też jej głównym celem jest pogłębianie podziałów nad Dnieprem). Ale może z pewnością namieszać i zdobyć spore poparcie, głosząc nie tyle prorosyjskie, ile pokojowe hasła. Jurij Bojko i jemu podobni (jak chociażby wspomniany Arestowycz, który jest raczej „realistą” niż „agentem wpływu” Rosji) mogą liczyć na poparcie nie tylko zdunów (czyli czekających na „wyzwolenie” przez Moskwę rosyjskojęzycznych mieszkańców południa i wschodu kraju), lecz także dezertów czy uchylantów (tak nazywani się ci, którzy uchylają się od służby wojskowej), którzy może i kiedyś byli patriotami, ale „wyleczyło ich” z tego ich własne państwo tym, w jaki sposób ich potraktowało.

W pierwszych miesiącach wojny w ukraińskich mediach dominował nastrój patriotycznego uniesienia. Informowano głównie o bohaterstwie obrońców

ojczyzny, zatrzymujących zewnętrznego agresora. Stopniowo coraz częściej mówiło się także o tych, którzy albo nie chcą walczyć, albo wręcz czekają na „wyzwolenie” przez Rosję. Mówiło się w tonie albo jednoznacznie krytycznym, albo prześmiewczym. Narastające zmęczenie wojną wiele, jeśli nie wszystko, zmieniło. Dziś media nad Dnieprem ze współczuciem piszą nawet o dezertach, szukając winy nie w nich, ale w błędach dowódców i polityków. Prowadzenie wojny w celu odzyskania utraconych terytoriów przestaje być wartością samą w sobie, ideą, za którą godzi się oddać życie. Ukraińcy są już mentalnie absolutnie gotowi do rozmów o pokoju. Bo za pełne patologii, zarządzane przez skorumpowanych urzędników państwo coraz mniej z nich chce umierać.

PRZEGRANI NA DWÓCH FRONTACH

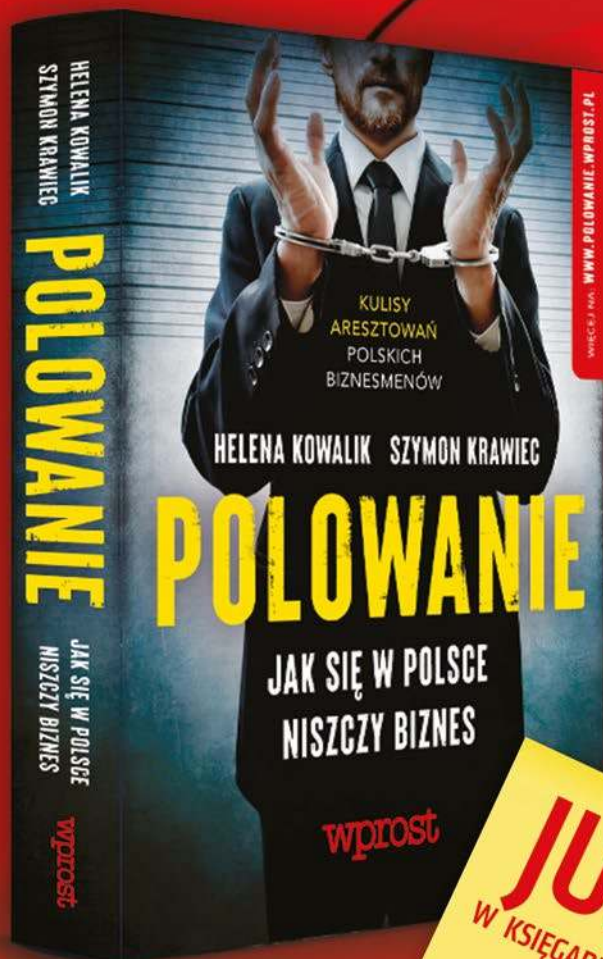
Zwycięstwo „opcji pokojowej” na Ukrainie otwiera nowe możliwości przed Putinem, który może wrócić do prób politycznego (a nie militarnego) podboju Ukrainy. Może znów, jak przed 24 lutego 2022 r., wierzyć, że uzyska wpływ na Kijów poprzez swoje marionetki, a nie poprzez swoje rakiety. Paradoksalnie nie musi to być zła wiadomość dla Kijowa. Państwo mniej ucierpi, zmagając się (po utracie części ziem i zniesieniu stanu wojennego) z „piątą kolumną” prorosyjskich partii niż z kolejnymi kolumnami rosyjskich czołgów. Zwłaszcza że, jak widać, sami Ukraińcy wolą służyć w „batalionie Warszawa” (ironiczne określenie bogatych uchodźców, przebywających w Polsce) niż na froncie, broniąc ojczyzny przed owymi czołgami.

Według świeżych danych Ministerstwa Jedności Narodowej za granicą przebywa obecnie od 20 do 25 mln Ukraińców, w kraju – jedynie 32 mln.

Żołnierze opuszczają szeregi armii, a obywatele opuszczają granice państwa. Nie tylko dlatego, że nie chcą umierać na wojnie, lecz także dlatego, że nie widzą perspektyw życia w kraju, który nie radzi sobie ani na froncie zewnętrznym z Rosją, ani na froncie wewnętrznym – z korupcją i polityczną patologią. Nawet trwały pokój nie musi być wystarczającą zachętą do powrotu.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

SENSACYJNA, OPARTA NA FAKTACH



KULISY
GŁOŚNYCH
SPRAW
I ARESZTOWAŃ

WSTRZĄSAJĄCE
RELACJE

ROZMOWY
Z EKSPERTAMI
I LUDŹMI
Z WYMIARU
SPRAWIEDLIWOŚCI

PONAD
500
NAZWISK
I FIRM

AUTORAMI SĄ
DOŚWIADCZENI
DZIENNIKARZE
ŚLED CZY

JUŻ
W KSIĘGARNIACH

Bezprawne areszty, popisowe zatrzymania, stawianie zarzutów bez pokrycia w dowodach. Tasiemcowe rozprawy sądowe, prawdziwe historie o twardym zetknięciu się z więziennymi realiami.

Bohaterami tej książki są ludzie sukcesu, rozpoznawalni biznesmeni z pierwszych stron gazet, jedni z najbogatszych Polaków, którzy w jednej chwili znaleźli się w środowisku zupełnie dla siebie obcym, znanym im dotąd jedynie z filmów kryminalnych.



Zamawiając książkę wraz z PDF na stronie

KSIAZKA.WPROST.PL

Otrzymasz gratis praktyczny poradnik stworzony w oparciu o porady adwokatów i osobiste relacje osób zatrzymanych.

W przypadku chęci zakupu większej liczby książek, prosimy o kontakt
+48 539 953 631, +48 508 040 664



PARTNERZY:



Polska
Rada
Biznesu



ZPP
Związek Przemysłowców
i Pracywłókiarzy



WEI
Wielkopolski
Entertainment
Institute



Fundacja
Court Watch Polska



FUNDACJA
POMYŚL
O PRZYSZŁOŚCI

Comparic.pl



MY
COMPANY



BRIEF



Rafał A. Ziemkiewicz

Twórca WOŚP zbudował model charytatywnego biznesu, z którego mógł wraz z rodziną żyć dostatnio „do końca świata i dzień dłużej”. Wszystko to w ostatnich latach zużył w polityce na otwarte, gorliwe wspieranie formacji, która teraz, jeśli straci władzę, pogrzyży go ze sobą

Przed nami, jak się zdaje, „wojna serduszek”. Telewizja Republika poinformowała, że poparła „społeczną inicjatywę” swoich widzów, czyli akcję „zamiast na Owsiaka daję na Republikę”. Szczegóły akcji nie są jeszcze jasne. Chodzi chyba o to, by wydrukować własne serduszka Telewizji Republika i naklejać je tym, którzy wrzucą pieniądze do puszek „pisowskiej”, a nie „peowskiej”, co swoją drogą może spowodować mniej lub bardziej cywilizowane akty konfrontacji pomiędzy oznakowanymi serduszkami czerwonymi i niebieskimi.

Ale mniejsza o szczegóły. Sama informacja, że Telewizja Republika jest przeciw WOŚP (choć to przecież żadna nowina), pobudziła do gwałtownej reakcji premiera Donalda Tuska, który w emocjonalnym wpisie w mediach społecznościowych nazwał telewizję Tomasza Sakiewicza „nowotworem” i oskarżył ją o sianie nienawiści. Sam Jerzy Owsiak w charakterystycznym dla siebie, megalomańsko-histerycznym stylu podniósł alarm, że wskutek „hejtu” dostaje groźby, porównał się z Pawłem Adamowiczem i zaapelował, by, „jeśli nie dożyje jutra”, wszyscy pamiętali, kto będzie moralnie odpowiadał za dokonany na nim mord.

Można by powiedzieć: „Wciąż to samo, tylko bardziej”. Podobnie przecież pajacował Owsiak, gdy TVP Info pokazało w satyrycznym programie Barbary Pielni parodiującą go plastelinową figurkę – wtedy porównał swe męczeństwo do Holocaustu. Podobnie „bronią” Owsiaka przed „prawicową nienawiścią” i sam Tusk, i inni politycy PO oraz Lewicy, co

Jerzy Owsiak do wizerunku powszechnie lubianego, bo uznawanego za apolitycznego, społecznika już nie wróci

FOT. ŁUKASZ GDAK/EAST NEWS



Ostatnie tango z Owsiakiem

roku powtarzając mem: „Jurek ratuje życie dzieciom i organizuje nas do czynienia dobra, a prawicowi nienawistnicy przeszkadzają”. Czasy, gdy „orkiestra” Owsiaka udawała przedsięwzięcie apolityczne i ponadpartyjne, skończyły się już dawno temu. Od lat on sam występuje z lempartowskimi piorunkami bądź tęczowymi chorągiewkami, miotając mniej lub bardziej niewybredne bluzgi na Radio Maryja, Kościół w ogóle i prawicowych polityków. A na organizowanych corocznie rockowych festiwalach indoktrynuje przybyłych, sprasząc do wygłaszania prelekcji kwiat „autorytetów” i liderów obozu lewicowo-liberalnego oraz

zachęcając publiczność do skandowania „je.ać PiS” czy do „wypierolenia w kosmos Krystyny Pawłowicz”. Głosy, by nie dawać pieniędzy Owsiakowi, także podnoszą się po umownej „prawej” stronie debaty publicznej od wielu lat, prowokując nieodmiennie podobne do Tuskowych kaznodziejskie uniesienia po stronie przeciwej.

PRZEWAGA EMOCJI NEGATYWNYCH

Niby więc nic nowego. Ale jednak tym razem „coś pękło, coś się skończyło”. Wyspecjalizowana w badaniu internetowych nastrojów Polityka w Sieci pokazała, że po raz pierwszy w dziejach sentyment

negatywny wobec WOŚP i Owsiaka zdecydowanie przewyższa w mediach społecznościowych pozytywne wpisy na jej temat – a szczególną złość wzbudza sam Owsiak.

Nie może to dziwić, gdyż w ostatnim roku przekroczył on granicę, za którą dalsze udawanie „apolitycznego” dobroczyńcy jest już po prostu niemożliwe. Obstawienia całej Polski billboardami ewidentnie namawiającymi do głosowania przeciwko PiS (szacując według cenników firm „outdoorowych” WOŚP musiała na to wydać co najmniej kilkadziesiąt milionów złotych) nie da się wyjaśnić w żaden uczciwy sposób. Trzeba dużej dozy złej woli i tupetu, by upierać się, że naprawdę chodziło tu o uświadomienie społeczeństwu wagi walki z sepsą. Czegoś takiego jak „profilaktyka sepsy” nie ma, zresztą opracowanie graficzne plakatów i ich „kompatybilność” z wyborczą retoryką PO były tak oczywiste, że wyjaśnienia Owsiaka powszechnie odebrano, i słusznie, jako „różnięcie głupa”. To, że pieniądze zbierane przez wolontariuszy, w większości dzieci, na cel charytatywny przeznaczone zostały na partyjną propagandę, zostawiło pierwszą tak potężną rysę na wizerunku „świeckiego świętego”, ugrunтовуwanym od lat przez lewicowo-liberalną potęgę medialną. Nawet jeśli nie złamano przy tym prawa – a przecież pod rządami Tuska i Bodnara trudno uwierzyć, żeby ktoś miał odwagę to rzetelnie zweryfikować.

Rysa pogłębiła się w trakcie powodzi, kiedy to Owsiak nie tylko rzucił się jako „specjalista od pomagania ludziom” ratować wizerunek Tuska, fatalnie naruszony nierozważnym „prognozy nie są przesadnie alarmujące”, lecz także wyciągnął rękę po państwowe pieniądze dla powodzian. Nie sposób godziwie wyjaśnić, po co w ogóle państwu pośrednik do przekazywania pomocy, którą przekazać ofiarom żywności ma obowiązek i której im nie przekazało. Owsiak zresztą nie przekazał jej do dziś. Choć dostał grube miliony „dla powodzian”, m.in. od fundacji PZU (która ma w statucie pomoc ofiarom klęsk żywiołowych – a WOŚP nie) i od PKP, to nie chciał odpowiedzieć na proste pytanie dziennikarki „Tygodnika Solidarność” Moniki Rutke (tej samej, która „zagięła” kiedyś premiera Tuska przypomnieniem jego oszczerstw wobec Donalda Trumpa i za

karę przestała być wpuszczana do KPRM), gdzie te pieniądze się podziwiają i ile ich jest. Padają tu różne kwoty, od 24 mln do 50 mln, i różne wyjaśnienia – zostały w większości przekazane (ale nie podamy konkretnych), są w trakcie przekazywania, w ogóle ich nie było, bo stanowiły tylko „ofertę fundacyjną”... Jedno jest pewne: sromotna ucieczka przed rzeczowym pytaniem dziennikarki, a potem agresja i histeria, że jest atakowany tak jak Adamowicz, „a wiemy wszyscy, jak to się skończyło”, nadszarpniętego wizerunku Owsiaka nie poprawiają.

„Jurek” nie od dziś zwykł reagować histerycznie nie tylko na wszelkie próby podważenia należnej mu – we własnym przekonaniu – czci, takie jak figurka z plasteliny, lecz także na pytania o to, jak gospodaruje pieniędzmi WOŚP i, przede wszystkim, jakie relacje łączą WOŚP z jego spółkami Złoty Melon i Czwierć Mrówki. Blogera Piotra Wielguckiego, gdy ten wprost zarzucił mu nadużycia, pozwał do sądu, ale gdy sąd – chyba ku zaskoczeniu samego Owsiaka – zamiast uwierzyć „Jurkowi” na słowo, zażądał dokumentów księgowych fundacji i obu spółek, wołał wycofać oskarżenie i przegrać proces, niż żądanie to wypełnić.

Skądinąd wiadomo, że nie jest człowiekiem ubogim, jeździ i mieszka jak prosperujący biznesmen, zatrudnia członków swej rodziny. Gdy swego czasu zapędził się i krytykując podniesienie przez PiS, w ramach Polskiego Ładu, składki zdrowotnej, poskarżył się, że Morawiecki „ukradł mu” ponad 1 tys. zł miesięcznie, publicysta Krytyki Politycznej wyliczył, że w takim razie Owsiak pobiera musi miesięcznie co najmniej 20 tys. zł.

Dostatnie życie dzięki WOŚP nie wymaga, w żadnym wypadku, niczego sprzecznego z prawem. Fundacje zgodnie z prawem mają prawo do przeznaczania części wpływów na kosza własne – każde zebrane 100 mln to więc, powiedzmy, ok. 10 mln „na działalność”, zatrudnianie pracowników, ekspertów, zlecanie różnych prac etc. (może to być i dwa razy więcej, przy spełnieniu określonych wymogów). Kwotę ze zbiorów trzeba też powiększyć o odsetki bankowe – zdaniem analizujących działania WOŚP pieniądze, zanim zostaną wydane na sprzęt medyczny, zwykle leżą na kontach fundacji ponad rok. Poza tym sprzęt medyczny

to bardzo specyficzny towar, bardzo kosztowny, a mający bardzo niewielu nabywców. Firmy handlujące nim działają trochę podobnie jak firmy zbrojeniowe, oferują wysokie prowizje i różne sposoby „odwdzięczania się”, choćby przez zlecenie powiązanym z nabywcą podmiotom lukratywnych kontraktów na szkolenia albo kampanie PR-owskie.

DROGI WSTECZ JUŻ NIE MA

Poza tym wszystkim coraz trudniej obronić coroczny charytatywny cyrk, który daleko odszedł od pierwotnych założeń, niegdyś budzących powszechną aprobatę. Polskiej medycynie od dawna już nie brak sprzętu – brak lekarzy i pielęgniarek do jego obsługi. WOŚP stał się zaś wielkim kartelem korzystających z pieniędzy samorządów, instytucji państwowych, pieniędzy za reklamowanie biznesowych gigantów, takich jak mBank czy Play. A teraz jeszcze rząd Tuska obdarowuje go długoletnimi umowami sponsorskimi z Orlenu i PZU oraz zleceniem z ministerstwa na prowadzenie w całej Polsce zajęć w szkołach, w czym trudno nie widzieć odwdzięczania się Tuska za pomoc w odebraniu PiS władzy.

Przez 30 lat stworzył Owsiak unikalny na skalę świata, genialnie pomyślany model charytatywnego biznesu, z którego mógł wraz z rodziną żyć dostatnio „do końca świata i dzień dłużej”, pławiąc się jednocześnie w sławie dobroczyńcy dzieci i społeczeństwa. Wszystko to w ostatnich latach zużył w polityce na otwarte, gorliwe, wspieranie formacji, która teraz, jeśli straci władzę, pogrąży go ze sobą. Być może zdecydowały o tym problemy osobowościowe, nieokiełzana żądza, by stać się metapolitycznym „kingmejerem” i posiadaczem „rządu dusz”, a być może został do tych działań zobowiązany dla odwdzięczenia się za pomoc w „zamieceniu” współodpowiedzialności za śmierć Pawła Adamowicza, do której przecież nie doszłoby, gdyby nie granicząca ze zbrodnią bez troska „Jurka” w podejściu do organizacji imprez masowych i elementarnych norm bezpieczeństwa podczas nich.

Pewnie się tego kiedyś dowiemy. Jedno jest pewne – drogi wstecz, możliwości powrotu do wizerunku powszechnie lubianego, bo uznawanego za apolitycznego i bezinteresownego, społecznika, już Jerzy Owsiak nie ma.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Studenci z pretensjami



Zuzanna
Dąbrowska-Pieczyska

Nieuzasadniona roszczeniowość studentów zza wschodniej granicy czy zawyżone wymagania? Sprawa zwolnienia wykładowcy poznańskiego Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza budzi wiele wątpliwości

22

Poczułem się jak śmieć – mówi dr hab. Jan Wawrzyniak, który wykladał filozofię i aksjolingwistykę w Instytucie Filologii Wschodniosłowiańskich i w Katedrze Metodologii Lingwistyki UAM. Posadę stracił w grudniu 2023 r. – po 43 latach pracujących na uczelni – jednak o jego zwolnieniu głośno zrobiło się dopiero w ostatnich tygodniach. Zwolnienie było efektem m.in. negatywnej oceny okresowej wykładowcy za rok akademicki 2022/2023.

Według naukowca prawdziwą przyczyną wyrzucenia go z pracy jest

„erozja jakości i etosu nauczania”. Ma mieć ona źródło w odejściu uczelni wyższych od przeprowadzania egzaminów wstępnych na studia, a następnie w napływie studentów zza wschodniej granicy, który to napływ nasilił się po agresji Rosji na Ukrainę z lutego 2022 r. – Obecni studenci IFW to w znacznej mierze przybysze z Ukrainy, którzy zapisują się np. na filologię rosyjsko-angielską, żeby nauczyć się za darmo języka angielskiego, zanim na dobre wyjadą na Zachód – powiedział dr hab. Wawrzyniak „Gazecie Wyborczej”. Wieloletni wykładowca przekonuje, że



Według Jana Wawrzyniaka problemem jest też ignorowanie zjawiska przez uczelnię, która ma szczególnie pobłażliwie podchodzić do studentów, którzy mają na swoim koncie osiągnięcia sportowe. Na liście problemów, które sygnalizuje dr Wawrzyniak, znalazł się także samorząd studencki – jego zdaniem ma on na tyle silną pozycję, że może czynić z władz UAM „zakładnika swoich roszczeń”, co przekłada się na lekceważącą postawę niektórych studentów. – Demonstracyjnie bojkotują zajęcia, np. rozmawiają w tym czasie przez telefon lub na nim grają. Jednocześnie nie ukrywają swoich pretensji do otrzymania zaliczenia. W tym celu posunęli się nawet do formułowania gróźb. Strach od nich wymagać, bo mszczą się absurdalnymi, kłamliwymi i oszczerczymi wpisami w anonimowych ankietach – dodaje zwolniony nauczyciel filozofii.

ZAWYŻONE STATYSTYKI

Nie bez znaczenia jest to, że zapisujący się licznie na filologię wschodniosłowiańską młodzi ludzie z krajów takich jak Ukraina, Rosja i Białoruś po prostu zawyżają statystyki rekrutacyjne, a dzięki temu opłacalne finansowo jest utrzymanie kierunku. To z kolei przekłada się na utrzymanie posad wykładowców. Badacz zapewnia, że zwracał uwagę na sytuację ówczesnemu prodziekanowi do spraw studenckich, jednak nie spotkał się z reakcją.

Doktor habilitowany Jan Wawrzyniak twierdzi, że bezpośrednim powodem wyrzucenia go z pracy jest to, że od roku akademickiego 2022/2023 część studentów pierwszego roku filologii rosyjskiej nie musiała w pierwszym semestrze zapisywać się na wykłady. W efekcie wielu nie zdawało kolokwium semestralnego, „a na obowiązkowych w drugim semestrze konwersatoriach ci studenci nie dysponowali niezbędną podstawą pojęciową”. Z sylabusa przedmiotu filozofia, który w roku akademickim 2022/2023 na I roku filologii wschodniosłowiańskiej prowadził dr hab. Jan Wawrzyniak, wynika, że był on realizowany w języku polskim. Wśród celów przedmiotu wskazano „zaznajomienie studentów ze specyfiką myślenia filozoficznego, problematyki filozoficznej, podstawową

terminologią, najważniejszymi nurtami i systemami filozoficznymi, ze szczególnym uwzględnieniem filozofii języka i filozofii nauki”. Słaba znajomość języka polskiego faktycznie może realnie utrudnić studentowi przyswojenie obiektywnie niełatwego materiału. – Dodatkowo, nie czytając lektur, nie byli w stanie aktywnie uczestniczyć w konwersatoriach i ich zaliczyć. Taki problem miało ok. 25 osób. I to one właśnie zaczęły pisać na mnie skargi do władz Wydziału Neofilologii – mówi.

Wawrzyniak wskazuje, że ze studenckich ankiet wynikało, iż „zajęcia są za trudne”, że prowadził je „w sposób wywołujący »ogromny stres i mękę«, że straszył brakiem zaliczeń, że wprowadzał „nerwową atmosferę”, że dyskredytował studentów. – Były też pretensje o konotacje seksistowskie i nacjonalistyczne – zaznacza.

Wśród części byłych współpracowników dr. Wawrzyniaka panuje podobna, niepochlebna opinia na jego temat. W maju 2023 r. przyszła ocena okresowa za pięć lat pracy. Była pozytywna, jednak zastrzeżono, że po roku powinna być ona jeszcze raz przeprowadzona z uwagi na braki i niejednoznaczność suboceny dydaktycznej. – Jednak krótko potem ta ocena została zmieniona na negatywną i taka pojawiła się w moich aktach osobowych. Ówczesny dziekan stwierdził, że ta pierwotna ocena została wystawiona „przez pomyłkę” – opowiada zwolniony badacz. Jan Wawrzyniak podkreśla, że od poprzedniej oceny okresowej jednoznacznie negatywnych ocen od studentów było 68 – tymczasem przez pięć lat prowadził zajęcia dla prawie 2 tys. osób. Co istotne, ankiety są anonimowe. Nie jest więc możliwe zweryfikowanie zawartych w nich zarzutów. Dodatkowo przeprowadzone w tym okresie hospitage wypadły pozytywnie. – Trzykrotnie studenci specjalnie dziękowali mi za zajęcia. Raz nawet przyszli z kwiatami – zauważa naukowiec. Wawrzyniak nie ukrywa, że zwolnienie z pracy było dla niego niezwykle bolesne, i uważa je za niesprawiedliwe. Teraz sprawę bada sąd pracy.

NEGATYWNA OCENA KOŃCOWA

Uniwersytet im. Adama Mickiewicza odpowiada ustami swojej rzecznik,

studenci ci mają problem z językiem polskim, co de facto uniemożliwia poprawną realizację toku studiów. Do tego dochodzą swoista roszczeniowość i intelektualne lenistwo. – To są osoby, które nie znają frazeologizmów i idiomów, nie rozumieją metafor, kontekstów kulturowo-literackich, nie potrafią nawet robić notatek. Oczekują podania gotowych odpowiedzi na kolokwium, pozostają intelektualnie bierne i nie uczestniczą w kulturze wysokiej, a nawet często nie znają języka polskiego, stąd nie są w stanie czytać lektur – relacjonuje zwolniony badacz.

■ że w przypadku dr. hab. Jana Wawrzyniaka podstawą rozwiązywania umowy o pracę była negatywna ocena okresowa wystawiona na podstawie negatywnej oceny działalności dydaktycznej. – Praca dydaktyczna jest oceniana przez właściwe komisje, biorąc pod uwagę całość przebiegu procesu dydaktycznego. Kryteria oceny dydaktycznej sprowadzają się m.in. do właściwej realizacji programu kształcenia czy też prowadzenia zajęć zgodnie z zasadami określonymi w sylabusie – przekazała „Wyborczej” Małgorzata Rybczyńska. Rzecznika UAM zarzuca, że „wykładowca nie realizował również zajęć zgodnie z programem studiów”.

Jednocześnie Wawrzyniak nie jest jedynym pracownikiem, którego zwolniono z powodu negatywnej oceny. Od 2018 r. obowiązuje zarządzenie rektora, z którego wynika, że negatywna ocena częściowa nauczyciela akademickiego skutkuje negatywną oceną końcową. Od tego czasu w takim trybie pracę straciło 10 osób. Rybczyńska podkreśla, że studenckie ankiety, choć są ważne, nie mają decydującej roli. – Nigdy nie są jedynym źródłem informacji i są zawsze dodatkowo weryfikowane przez osoby odpowiedzialne za dydaktykę na wydziale – tłumaczy rzecznik. – Bierzemy pod uwagę wypowiedzi studentów z wielu lat, w tym przypadku powtarzały się uwagi o dyskryminującym studentów sposobie zachowania profesora i o nieprzestrzeganiu uniwersyteckich standardów polityki antydyskryminacyjnej oraz równościowej – wylicza rzecznik poznańskiej uczelni. Na UAM działa pełnomocnik rektora do spraw równego traktowania. Jak czytamy na stronie Uniwersytetu, „pełnomocnik stoi na czele Komisji do spraw Przeciwdziałania Dyskryminacji, która zajmuje się przypadkami nierównego traktowania m.in. ze względu na płeć, orientację seksualną, wiek, pochodzenie etniczne, wyznanie, poglądy polityczne czy przynależność związkową”.

Małgorzata Rybczyńska odpiera też zarzut Wawrzyniaka o to, że studenci z krajów sąsiadujących z Polską od wschodu nie mają wystarczających kompetencji językowych, przez co nie radzą sobie z programem studiów. Informuje,

Słaba znajomość języka polskiego może realnie utrudnić studentowi przyswojenie obiektywnie niełatwego materiału

że wszyscy chcący uzyskać dyplom UAM obcokrajowcy muszą mieć odpowiednio certyfikaty lub muszą zdać egzamin z języka polskiego na poziomie B2. To zmiana, ponieważ w 2021 r. lokalne media donosiły o kontrowersjach wokół systemu rekrutacji obcokrajowców na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. „Powodem było równorzędne traktowanie wyników polskiej matury i egzaminów w krajach na Wschodzie. Takie rozwiązanie sprawiło, że wielu obcokrajowców znalazło się na szczytach list rankingowych najbardziej obleganych kierunków. Dodatkową szansę dla cudzoziemców stworzyła pandemia. UAM nie weryfikuje ich znajomości językowej, także w przypadku kandydatów i przyjętych na kierunki prowadzone w języku polskim” – opisywało wtedy Radio Poznań.

– Z uwagi na sytuację związaną z COVID-19 w trakcie rekrutacji na rok akademicki 2021/2022 nie wymagamy przedłożenia certyfikatu, który potwierdzałby poziom znajomości języka, i nie przeprowadzamy egzaminu znajomości języka – przekazała wtedy Agnieszka Książkiewicz z biura prasowego UAM. Uczelnia rekomendowała jedynie (bez weryfikacji) znajomość języka polskiego na poziomie B2. W 2021 r. cudzoziemcy stanowili ponad 12 proc. wszystkich przyjętych na studia dzienne na UAM. W grupie 741 osób 449 to byli Białorusini, a 141 – Ukraińcy.

WYŚCIG Z NATIVE SPEAKERAMI

„Z logicznego, a co za tym idzie – z prawnego punktu widzenia zwolnienie pracownika na podstawie zawartych w ankietach ocen jest niedopuszczalne, bo nieweryfikowalne. Nie wiadomo nawet, kto jest twórcą publikowanych informacji oraz w jakim stanie psychicznym (np. pod wpływem środków odurzających) były tworzone. Nie zachowa-

no też podstawowych zasad metodologii badań statystycznych, tj. w szczególności konieczności reprezentatywności, która powinna się opierać na dwóch zasadniczych kryteriach: losowości oraz liczebności próby badawczej” – to stanowisko radcy prawnego Przemysława Dziubaka z Kancelarii Prawa Pracy Lexstrada, który reprezentuje Jana Wawrzyniaka przed poznańskim sądem pracy. Rozstrzygnięcie sprawy dr. Wawrzyniaka przed nami.

Czy zarzuty formułowane przez zwolnionego badacza z Poznania znajdują potwierdzenie na innych polskich uczelniach? Według rozmów przeprowadzonych przez „Do Rzeczy” faktycznie zdarza się, że osoby przychodzące na kierunki rusycystyczne to coraz częściej Ukraińcy i Białorusini. Zdarza się, że nie przykładają się do zajęć, wychodząc z założenia, że znajomość języka rosyjskiego lub ukraińskiego jest wystarczająca do zaliczenia całości. To sprawia, że polscy studenci muszą włożyć więcej pracy, często z lepszymi niż native speakerzy efektami. Co nie oznacza, że każdy native speaker to roszczeniowy student chcący uzyskać dyplom minimalnym nakładem pracy.

– Z reguły Ukraińcy i Białorusini język polski znają dość dobrze. Na pewno na poziomie spraw organizacyjnych – rozumieją, co się do nich mówi po polsku. Choć możliwe, że bardziej skomplikowane treści na zajęciach w języku polskim sprawiają im trudności. Jednak to nie powinien być problem wykładowcy, tylko studenta – bo jeśli przedmiot w sylabusie jest oznaczony jako przedmiot po polsku, to ma być po polsku – podkreśla nasz rozmówca dobrze zaznajomiony z tematem.

Ośrodek Przetwarzania Informacji opublikował w 2023 r. raport „Cudzoziemcy na uczelniach w Polsce”. Publikacja zawiera dane za rok akademicki 2022/2023. Z dokumentu jasno wynika, że agresja Rosji na Ukrainie spowodowała wzrost zainteresowania cudzoziemców ofertą edukacyjną polskich uczelni. W roku akademickim 2022/2023 liczba studentów z Ukrainy wzrosła aż o ponad 12 119 osób – było ich wtedy 48 150, co stanowiło 47 proc. wszystkich studiujących nad Wisłą obcokrajowców. Białorusinów było 12 014.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Indoktrynacja na zdrowie



Łukasz Warzecha

Edukacja zdrowotna, która ma zostać wprowadzona do polskich szkół, to nie tylko projekt masowej seksualizacji dzieci. To znacznie więcej: zakrojony na ogromną skalę program indoktrynacji, gdzie podstawa programowa daje bazę do podważenia wartości, które dzieciom i młodym ludziom będą chcieli wpoić w domach rodzice

Zaplanowana przez Ministerstwo Edukacji od przyszłego roku szkolnego edukacja zdrowotna – która ma być obowiązkowa – jest po stronie konserwatywnej krytykowana przede wszystkim jako przedmiot seksualizujący dzieci. Słusznie, ale też jest to po prostu najbardziej wyraziste i najefekowniejsze. W cieniu pozostają inne aspekty podstawy programowej tego przedmiotu, które powinny budzić nie mniejszy, a może nawet większy niepokój. Układają się bowiem w program przemyślanej i przebiegłej indoktrynacji.

Przedmiot został zaprojektowany bardzo sprytnie. Sama jego nazwa – edukacja zdrowotna – ma budzić pozytywne skojarzenia. Któż nie chciałby, żeby dzieci były zdrowsze i żeby wiedziały, jak o własne zdrowie dbać? A jeśli ktoś się wprowadzeniu tego przedmiotu do szkół sprzeciwia, to najwyraźniej woli, aby dzieci chorowały i cierpiały. Manipulacja to prymitywna, ale w jakiejś mierze skuteczna.

Rzecz w tym, jak rozumie się pojęcie zdrowia. Podstawy programowe, zawarte w dwóch dokumentach – projektach

rozporządzeń MEN, które obecnie są po etapie opiniowania – definiują zaś zdrowie niezmiernie szeroko, daleko szerzej niż tylko sfera fizjologiczna. Mowa jest zatem o zdrowiu psychicznym, społecznym czy środowiskowym – i tam właśnie pojawiają się pomysły, treści i wymagania, które powinny nas zaalarmować.

PRANIE MÓZGÓW

Podstawę programową dla klas IV–VI otwierają „wartości i podstawy”. Czytamy tam w opisie wymagań ogólnych, że uczeń „okazuje szacunek sobie i rozwija poczucie własnej wartości; okazuje szacunek i empatię w relacjach międzyludzkich i jest gotów przyjąć perspektywę drugiego człowieka”, a także „prezentuje postawę optymizmu życiowego, sprzyjającego zdrowiu”. Brzmi to jak klasyczny beztreściowy bełkot i zapewne tak zostanie potraktowane przez większość nauczycieli. Nie są to jednak wymagania obojętne.

„Rozwijanie poczucia własnej wartości” to jeden z kluczowych wątków współczesnej manipulacji, prowadzonej

na masową skalę. „Poczucie własnej wartości” zostało wyniesione przez lewicę na piedestał, a zwolennicy postępu przekonują, że powinno ono być całkowicie niezależne od własnych osiągnięć czy sposobu, w jaki jesteśmy oceniani przez otoczenie – co oczywiście sprzyja atomizacji społecznej i skrajnym egoizmom.

Czym z kolei miałyby być przyjmowanie perspektywy drugiego człowieka i właściwie dlaczego uczeń miałby być edukowany w takich kwestiach? Co to ma wspólnego ze zdrowiem? Jak w ramach przedmiotu, który ma się nim zajmować, można wymagać od ucznia czegoś, co dotyka czułej sfery światopoglądu? Jak takie zalecenie ma się do obrony własnych zapatrywań – co także jest wartością?

Wreszcie – czym jest ów „optymizm życiowy”? Czy uczeń ma być przekonany, że nie powinien patrzeć na życie jak realista, ale jak optymistą? Wszystko to są zagadnienia, które nie należą do sfery edukacji zdrowotnej, ale do ścisłej sfery wychowania w rodzinie, i rodzicom powinny być pozostawione.

W tym samym dziale „Wartości i podstawy”, tyle że dla szkoły ponadpodstawowej, czytamy, iż uczeń „rozumie, że godność ludzka i szacunek wobec człowieka wykluczają wszelkie formy dyskryminacji ze względu na różnorodność ludzkiej natury”. Nie trzeba chyba tłumaczyć, że jest to klasyczny wstęp do lewicowej indoktrynacji. Zastosowano tutaj bowiem słowa klucze, które wypełnione konkretną treścią staną się narzędziem prania mózgu: dyskryminacja – którą lewica rozciąga na praktycznie każdą

■ krytykę postępowych w swoim mniemaniu trendów – oraz „różnorodność ludzkiej natury”, pod którym to pojęciem lewica rozumie rozmaite destrukcyjne upodobania i zachowania.

Podstawa programowa poszerza pojęcie zdrowia o „zdrowie psychiczne” oraz „zdrowie społeczne”. W tym pierwszym dziale w programie dla szkoły podstawowej znajdziemy np. następujący wymóg: uczeń „omawia pojęcie pozytywnej samooceny i pozytywnego obrazu siebie, a także wymienia sposoby ich budowania w swoim życiu”. Szkoła próbuje tutaj wkraczać w kwestie, które nie powinny jej obchodzić. Zasady tego, jak dziecko samo ma się oceniać, to sfera wychowania przez rodziców. Minister Nowacka – choćby poprzez uporczywe trwanie przy absurdalnym skasowaniu prac domowych – pokazuje, że jednoznacznie opowiada się po stronie podejścia, które samooceny ucznia nie uzależnia od jakichkolwiek obiektywnie mierzonych osiągnięć. Tymczasem rodzice mogą mieć dla dziecka inny plan i mogą chcieć wychować je inaczej, uważając, że brak samokrytycyzmu i wpajanie przekonania o konieczności wiecznego samozadowolenia zabijają ambicję oraz sprawią, że młody człowiek będzie nieprzygotowany do wejścia w brutalną często dorosłość.

Jeszcze ciekawsze rzeczy znajdziemy w podstawie dla klas VII–VIII szkoły podstawowej w dziale „zdrowie społeczne”. Uczeń „rozpoznaje manipulację w środowisku społecznym i rodzinnym oraz asertywnie na nią reaguje”. Czym jest manipulacja w środowisku rodzinnym, a tym bardziej – czym jest „asertywna” reakcja na nią? I dlaczego szkoła ma się tym w ogóle zajmować? Ten punkt podstawy programowej brzmi jak nawiązanie wprost do komunistycznej indoktrynacji w czasach PRL: uczeń ma być uodporniony na wraże przekazy płynące od rodziców i ma na nie odpowiednio reagować. Najlepiej zapewne donosem do szkolnego psychologa.

W podstawie programowej dla szkoły ponadpodstawowej czytamy w tym samym dziale: uczeń „[...] nawiązuje bezpieczne relacje interpersonalne, zachowując uważność na siebie i drugiego człowieka; wyraża wdzięczność”; w wymaganiach fakultatywnych zaś: „rozpoznaje i zaznacza swoje granice i przestrzeń psychiczną; omawia pojęcie



nadodpowiedzialności; szanuje granice innych osób przez adekwatne reagowanie na potrzeby i komunikaty od innych”.

Nietrudno zauważyć, że edukacja zdrowotna w tych aspektach wkracza znów w bardzo czułą i wrażliwą dziedzinę rozwoju psychicznego dojrzewającego człowieka. I nie wkracza neutralnie – o ile to w ogóle jest możliwe – ale ze z góry przyjętymi założeniami. Wszystkie zawarte w podstawie programowej sformułowania należy bowiem odczytywać w połączeniu z ideologicznym nastawieniem obecnej ekipy zasiadającej w MEN. „Uważność na siebie i drugiego człowieka” to sformułowanie kompletnie elastyczne i samo w sobie nic niemówiące, chyba że podstawi się pod nie wokeistowski nakaz poszanowania obsesji każdego, kto przejawia jakieś idiosynkrazje na dowolnym punkcie. Czym jest „adekwatne reagowanie na potrzeby innych”? Nie wiadomo, ale wiadomo jedno: że ze zdrowiem w ścisłym sensie tego pojęcia nie ma to zgoła nic wspólnego.

MIŁOŚĆ, RODZINA, KLIMAT

W dziale „zdrowie społeczne” indoktrynacja zaczyna się już od podstawówki. Uczeń „wyjaśnia pojęcia: koleżeństwo, przyjaźń, zauroczenie, zakochanie, miłość, a także rozpoznaje niewłaściwe zachowa-

nia w tych relacjach” oraz „omawia modele rodzin”, a także „zna prawa dziecka i obowiązki rodziców względem dziecka”. W szkole ponadpodstawowej uczeń zaś „wymienia kompetencje, które pomagają w prowadzeniu świadomego i szczęśliwego dorosłego życia”, „odróżnia zachowania prawidłowe od przemocowych w relacjach, w tym wymienia cechy przemocy fizycznej, psychicznej i ekonomicznej”, a w ramach wymagań fakultatywnych – „z szacunkiem formułuje komunikaty dotyczące decyzji innych osób związane z życiem rodzinnym, partnerskim i rodzicielskim, w tym dotyczące decyzji o związku formalnym, nieformalnym, niepozwstawianiu w związku, separacji, rozwodu, rozstania, rodzicielstwa, rodzicielstwa adopcyjnego i zastępczego, bezdzietności”.

Nie tylko więc szkoła zamierza narzucać uczniom określone rozumienie pojęć, które kształtują nasze widzenie świata i których tłumaczenie bez najmniejszych wątpliwości należy wyłącznie do rodziców, takich jak przyjaźń czy miłość. Dodatkowo dziecko ma być nauczane o „modelach” rodzin, czyli o tym, co faktycznie rodziną z definicji nie jest, jest jednak tak traktowane przez lewicowych ideologów.

Kompletnie niepojęte jest, na jakim podstawie szkoła rości sobie prawo do



FOT. ANDRZEJ STOK

Indoktrynacja kryje się nawet tam, gdzie pozornie chodzi tylko o zdrowie sensu stricto. Tak jest w przypadku szkoły podstawowej i działu „zdrowie fizyczne”. W klasach VII–VIII uczeń „omawia, czym są ruchy antyszczepionkowe, czym jest dezinformacja o szczepieniach i jak ją rozpoznać”. I znów – nie trzeba specjalnej przenikliwości, żeby umieścić te wymagania w kontekście tego, jak środowisko polityczne Nowackiej zachowywało się podczas pandemii COVID i jak reagowało na, jak się dzisiaj okazuje, słuszne zastrzeżenia, dotyczące jakości oferowanych szczepionek. Oraz jak wszystkich, którzy sprzeciwiali się ogólnej psychozie, wrzucano do jednego worka z napisem „antyszczepionkowcy”.

Lewicowa ideologia ma być sprzedawana już potencjalnie 10-letnim dzieciom. W klasach IV–VI uczeń (dział „zdrowie seksualne”) „wymienia stereotypy płciowe oraz wyjaśnia ich negatywny wpływ na funkcjonowanie człowieka”. To kolejne jaskrawe wdarcie się szkoły w prawo rodziców do wychowania dzieci zgodnie ze swoim światopoglądem. „Stereotyp płciowy” to bowiem nic innego jak rola społeczna, inna dla kobiety i mężczyzny. Szkoła ma więc już do głów 10-latków wciskać przekonanie, że role społeczne odrębne dla kobiet i mężczyzn to zło i szkodliwy „stereotyp płciowy”.

pouczania uczniów na temat „świadomego i szczęśliwego dorosłego życia”, ostentacyjnie po raz kolejny wkraczając w sferę najściślejszych kompetencji rodzicielskich. W tej sytuacji wprowadzenie pochodzącej wprost z lewicowej ideologii kategorii „przemocy ekonomicznej” nawet już niespecjalnie zaskakuje.

Z kolei ostatni opisany wymóg jest tylko jednym z wielu przykładów, jak nowy przedmiot ma wtłoczyć uczniom do głów konieczność relatywizacji własnych poglądów i odwieść ich od przekonania o słuszności własnych racji. Mgliste pojęcie „formułowania komunikatów z szacunkiem” na temat cichych wyborów życiowych – w tym wyboru bezdzietności – ma zapewne wykluczyć krytykę lansowanej przez lewicę rezygnacji z posiadania dzieci, będącej skutkiem fanaberii, egoizmu, a prowadzącej do katastrofy demograficznej Zachodu, w tym zwłaszcza Polski.

Mamy wreszcie dział „zdrowie środowiskowe”. Uczeń w szkole średniej „rozpoznaje dezinformację dotyczącą zmian klimatu oraz ich wpływu na zdrowie i rozpoznaje wiarygodne i rzetelne źródła informacji na ten temat”. Nie trzeba chyba mówić, co zostanie uznane za „wiarygodne i rzetelne”, a co za manipulację.

nowego przedmiotu, mam jednak trochę pretensji. Edukacja zdrowotna to nie tylko projekt masowej seksualizacji dzieci. To znacznie więcej: zakrojony na ogromną skalę program indoktrynacji, gdzie podstawa programowa – która będzie musiała zostać wypełniona zatwierdzanymi przez MEN treściami podręczników i szczegółami – daje bazę do podważenia wartości, które dzieciom i młodym ludziom będą chcieli wpoić w domach rodzice. Począwszy od tego, na podstawie jakich kryteriów oceniają sami siebie i co będą w przyszłości uznawać za miarę swojego sukcesu, poprzez odebranie pewności siebie, gdy idzie o własny światopogląd i jego obronę wobec ataków, na kwestionowaniu samej władzy rodzicielskiej skończywszy. Niestety, ten aspekt edukacji zdrowotnej został przyćmiony. Ja natomiast zaryzykowałbym tezę, że dla Nowackiej i jej środowiska te aspekty nowego przedmiotu są nawet ważniejsze niż wprowadzana tymi samymi rozporządzeniami edukacja obywatelska. W przypadku edukacji zdrowotnej wątki ideologiczne są bowiem sprytnie zamaskowane, a jako zasłona dymna mogą służyć przyciągające masową uwagę kwestie seksualizacyjne.

Nie ma najmniejszych wątpliwości, że tak pomyślany przedmiot stoi w rażącej sprzeczności z art. 53 ust. 3 polskiej konstytucji, który mówi, że „rodzice mają

Lewicowa ideologia ma być sprzedawana już potencjalnie 10-letnim dzieciom

Już tylko dla porządku trzeba przypomnieć, że właśnie w tym dziale na poziomie i szkoły podstawowej, i ponadpodstawowej mieszczą się pozycje najbardziej drastyczne i właśnie najczęściej przytaczane w debacie, takie jak choćby (klasy VII–VIII) omówienie pojęcia „orientacji psychoseksualnej i kierunku jej rozwoju (heteroseksualna, homoseksualna, biseksualna, aseksualna)”.

NIEKONSTYTUCYJNE ZASTĘPOWANIE RODZICÓW

Do kręgów konserwatywnych, które skupiły się wyłącznie na kwestiach związanych z indoktrynacją seksualną w ramach

prawo do zapewnienia dzieciom wychowania i nauczania moralnego i religijnego zgodnie ze swoimi przekonaniami”.

Podczas niedawnego wywiadu prowadzonego przez Bogdana Rymańskiego minister oznajmiła: „Uważam, że edukacja zdrowotna powinna być obowiązkowa, ale rozważamy wszystkie możliwe scenariusze”. Być może zatem opór rodziców daje jakiś skutek. W tej samej rozmowie minister podkreśliła, że przedmiot zawiera również inne komponenty – nie tylko „zdrowie seksualne”. Przypomnienie to, jakiegokolwiek stałyby za nim intencje, jest w tym wypadku kluczowe.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Nieświadomego rodzica można dziś poznać po tym, że jego małe, który czasem jeszcze nie mówi, trzyma w dłoni smartfona i gapi się w niego, podróżując w wózek. To oczywiście ułatwia opiekę – dziecko zajmuje się samo sobą. Jednak nie wpływa dobrze na rozwój.

To z tego powodu Skandynawowie wykonują właśnie ogromny zwrot w systemie edukacji. Najpierw, zachłyni technologią, pakowali ją do szkół bez opamiętania, schodząc z używaniem tabletów aż do przedszkoli. Od Polaków różnią się tym, że starają się naukowymi badaniami sprawdzać efekty swoich systemowych decyzji. I odkryli, że nowe technologie w szkołach wcale nie pomagają, a wręcz szkodzą. Na podstawie takich dowodów natychmiast zaproponowali odejście od wykorzystywania w procesie edukacyjnym tabletów czy smartfonów. Nauczyciel musi tam udowodnić, że telefony będą mu potrzebne w procesie kształcenia (może to być przecież powtórka wiadomości przy pomocy quizu na smartfonach), i dopiero wówczas ma prawo z nich skorzystać w klasie.

CORAZ WIĘCEJ ZAKAZÓW

Podobny wydźwięk miał także raport ONZ na ten temat, który opublikowano w ubiegłym roku. Badania w nim przytaczane wskazywały, że usunięcie smartfonów ze szkół w Wielkiej Brytanii, Hiszpanii i Belgii poprawiło wyniki nauczania. Zyskali zwłaszcza uczniowie, którzy uczą się najslabiej.

Nie chodziło oczywiście jedynie o aspekt zdobywania wiedzy i umiejętności. „Widzieliśmy dzieci w wieku zaledwie dziewięciu lat proszące o smartfony i było oczywiste, że te dzieci nie były gotowe emocjonalnie, aby poruszać się po zawiłościach tych urządzeń i cyfrowego świata” – mówiła cytowana w dokumencie Rachel Harper, dyrektorka szkoły podstawowej St. Patrick’s Primary School w Greystones w hrabstwie Wicklow w Irlandii, która zakazała używania smartfonów w swojej szkole.

Tego rodzaju szkolne zakazy są na świecie coraz bardziej powszechne. Jak przytacza ONZ – prawie co czwarty kraj na świecie wprowadził już ograniczenie w korzystaniu ze smartfonów w szko-

Zabierz smartfona nastolatce



Lukasz Zboralski

Od dawna już wiemy, że smartfon w ręku małego dziecka ogranicza jego rozwój. Teraz wiemy również, że zabranie nastolatkom smartfonów w szkołach powoduje, iż rzadziej potrzebują pomocy psychologów i psychiatrów

łach. Częściej zakazy te są wprowadzane w Azji.

Zakazy są zróżnicowane. Na przykład Bangladesz czy Singapur zakazują korzystania ze smartfonów w klasie, ale już nie w ogóle w szkole. Z kolei Francja zakazała korzystania ze smartfonów podobnie do Norwegów – z wyjątkiem, gdy ich użycie ma ścisły cel pedagogiczny lub może być np. sposobem wspierania nauki dzieci niepełnosprawnych.

Niektóre kraje zakazały jedynie korzystania z określonych aplikacji w placówkach edukacyjnych. Tu powodem są obawy dotyczące prywatności dzieci. I tak Dania oraz Francja zakazały Google

Workspace, a Niemcy w niektórych landach nie dopuszczają w szkołach produktów Microsoft. W Stanach Zjednoczonych niektóre szkoły i uniwersytety zaczęły zakazywać używania chińskiego TikToka.

Krajów, które ograniczają używanie tych urządzeń w klasach, wciąż przybywa. 18 grudnia tego roku brazylijski Senat przyjął ustawę zakazującą uczniom używania smartfonów w szkołach. Zakaz obejmie zarówno placówki publiczne, jak i prywatne. „Wpływ nadmiernego korzystania z telefonów komórkowych i mediów społecznościowych przez dzieci i młodzież wykracza poza wyniki w nauce i prowadzi do problemów ze

Krajów, które ograniczają używanie smartfonów w klasach, wciąż przybywa

średnich (w tym kraju to dzieci w wieku 13–16 lat). Pod lupę wzięta ponad 400 placówek.

Należy nadmienić, że w Norwegii każda szkoła sama może podjąć decyzję o zakazie używania smartfonów podczas zajęć. Nie może jednak zabronić w ogóle przynoszenia ich do budynku, bo dzieci mają prawo korzystać z nich w czasie wolnym (idąc do szkoły czy wracając do domu). Gdy uczeń nie przestrzega regulaminu szkoły, nauczyciel może mu zarekwirować telefon i oddać dopiero po zajęciach.

Wnioski, do których doszła norweska badaczka, powinni szczególnie wziąć pod uwagę rodzice nastoletnich dziewcząt. Wyniki badania Sary Abrahamsson wskazały bowiem, że zakaz w szkołach prowadził do znaczącego spadku liczby konsultacji związanych z diagnozą i leczeniem objawów zaburzeń zdrowia psychicznego nastolatek. W przypadku opieki specjalistycznej spadek ten sięgał 60 proc., a w przypadku podstawowej opieki zdrowotnej – 29 proc. „Tak więc zakaz smartfonów prowadzi do zmniejszenia zapotrzebowania dziewcząt na opiekę związaną z problemami zdrowia psychicznego” – pisze Abrahamsson.

Przy egzaminach zewnętrznych okazało się zaś, że po zakazaniu smartfonów w szkołach dziewczęta lepiej radzą sobie z zadaniami z matematyki. Są również bardziej skłonne do uczęszczania na zajęcia w szkole średniej (wzrost o 4–7 punktów procentowych), „co sugeruje, że zakaz używania smartfonów prowadzi do poprawy wyników edukacyjnych dziewcząt w połowie semestru”.

Badaczka wskazała jednocześnie, że na ograniczeniu używania smartfonów w szkole najbardziej zyskują dziewczęta z rodzin o niskim statusie społeczno-ekonomicznym. One bardziej rozpraszają się tymi nowymi technologiami i najbardziej tracą na edukacji. Z kolei nie odnotowano negatywnych skutków używania

technologii dla uczennic z rodzin o wysokim statusie społeczno-ekonomicznym. Wyniki tego badania pokazały również, że szkolne zakazy smartfonów nie mają właściwie wpływu na chłopców.

Autorka zaznaczyła też, że choć są solidne dowody na wpływ zakazu smartfonów na dobrostan i wyniki uczniów, to nie da się jeszcze przeanalizować ich dalekosiężnych skutków, takich jak zdrowie psychiczne już w wieku dorosłym czy ostateczny poziom wykształcenia czy radzenia sobie na rynku pracy. „Niemniej jednak zakaz korzystania ze smartfonów w klasie jest niedrogim narzędziem o znacznym wpływie na zdrowie psychiczne uczniów i wyniki edukacyjne” – podkreślono w raporcie.

BRAK DEBATY W POLSCE

Debata o tych aspektach edukacji jest w zasadzie w Polsce nieobecna w głównym nurcie debaty. W marcu tego roku Instytut Spraw Obywatelskich wystosował apel do rządu, w którym domagał się wprowadzenia zakazu używania w szkołach telefonów komórkowych, wskazując, że urządzenia te uzależniają młodych ludzi i powodują m.in. problemy z koncentracją.

W Polsce nie ma jednak na razie żadnych planów legislacji w tej sprawie. Pytana o tę sprawę na Campusie Polska Przyszłości w Olsztynie w sierpniu 2024 r. wiceminister edukacji Paulina Piechna-Więckiewicz odpowiedziała PAP wymijająco – że to w szkołach „należy rozmawiać o zagrożeniach i o możliwych rozwiązaniach”. To samo mówiła rzeczniczka praw dziecka Monika Horna-Cieślak. Uważała, że o takich zakazach trzeba najpierw porozmawiać... z polskimi dziećmi.

Szkoły mogą jednak same wprowadzać ograniczenia używania smartfonów i wiele podstawówek już to zrobiło. Napotykać jednak wiele problemów – m.in. na rodziców, którzy uważają, że to „ograniczenie praw dziecka”. Trudno też takie zakazy kontrolować. Jednym z popularnych uników stosowanych przez uczniów jest twierdzenie, że muszą na przerwie skorzystać ze smartfona, by skontaktować się z rodzicem, a takiego kontaktu nauczycielom czy dyrektorom utrudniać dziecku nie wolno.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

zdrowiem psychicznym związanych z lekami” – powiedział popierający ustawę senator Alessandro Vieira.

Brazylijczycy się nie mylą. Są naukowe dowody na to, że ograniczenie używania smartfonów pozytywnie wpływa nie tylko na proces uczenia, lecz także na dobrostan dzieci.

DZIEWCZĘTA TRACĄ NAJWIĘCEJ

W tym roku opublikowano badanie „Zakazy smartfonów, wyniki uczniów i zdrowie psychiczne”. Jego autorka – Sara Abrahamsson z Norweskiego Instytutu Zdrowia Publicznego – przejrzała dane dotyczące uczniów szkół

U mówmy się – biografistka teatralna nie należy do księgarskiego mainstreamu. Może jeszcze w rankingu chwilowych bestsellerów dobrze się czuje dział z celebrytami, czyli zapiski Wielkich Postaci Sceny, wywiady rzeki z Wielkimi Postaciami Sceny oraz sylwetki Wielkich Postaci Sceny. Kiedy jednak minniemy tę półkę, idąc nieco dalej, dotrzemy do naprawdę wartościowej literatury, przez czytelników bezinteresownych często omijanej z powodu przypisania do jednego tematu i jednego środowiska. Tymczasem znajdują się tam książki nieprzypadkowe, zaskakujące, przynoszące efekty wieloletnich poszukiwań, ocalające kawałek świata do tej pory nieopisanego, także w przypadku postaci, które doczekały się swojej notki w encyklopedii. Portret artysty i jego środowiska jest w nich jedynie punktem wyjścia do szerszej, zniuansowanej opowieści. Leżą przede mną na stoliku trzy takie książki, trzy warianty historii osobistej na tle życia artystycznego i politycznego PRL, zmuszające także do postawienia wielu całkiem współczesnych pytań.

„DEJMEK” MAGDALENY RASZEWSKIEJ

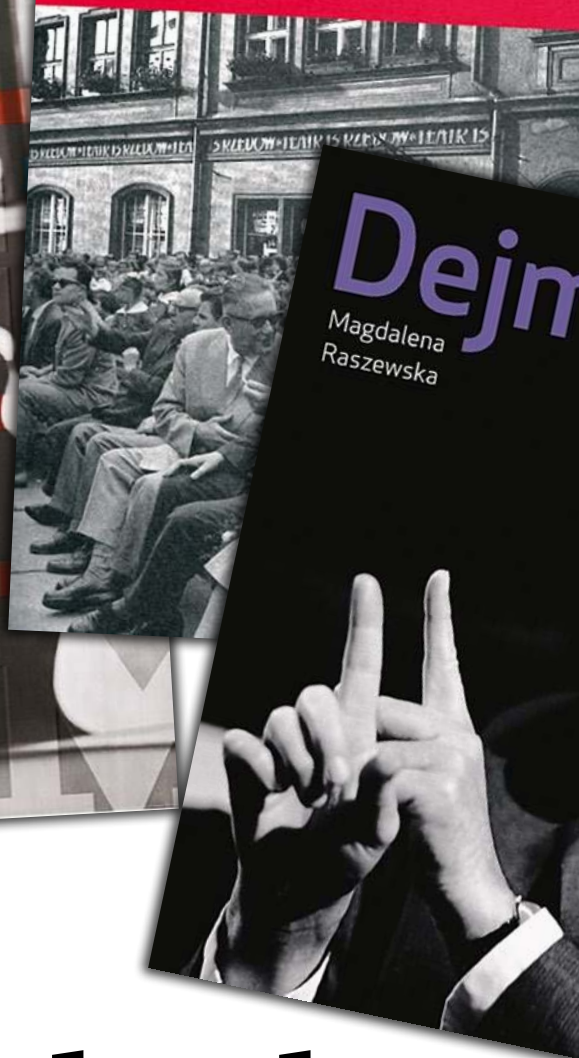
Książka pod każdym względem wzorцова. Wypełniająca lukę, pierwsza – i od razu kompletna – biografia Kazimierza Dejmka, jednego z najważniejszych twórców XX-wiecznego polskiego teatru. Splatająca to, co najbardziej osobiste (Kazimierz Dejmek przyjaźnił się z ojcem autorki, prof. Zbigniewem Raszewskim) z powinnościami historyka. Efekt kwerendy totalnej, zrobionej w kilkunastu archiwach Europy, korespondencji ze zbiorów prywatnych, niezliczonych rozmów ze świadkami i współpracownikami. To właśnie z ogromnej liczby autentyków utkana jest ta opowieść oparta na przeświadczeniu, że dokument z epoki, opatrzone krytycznym komentarzem, powiedzieć może najwięcej, przybliżając do prawdy.

Jest więc „Dejmek” wyrazem fascynacji – Magdalena Raszevska ofiarowała swo-



GROTOWSKI
POLITYCZNY

Agnieszka
Wojtowicz



Teatr w okładce



Grzegorz Kondrasiuk

W tych trzech książkach o Dejmku, Grotowskim, Warmińskim portret artysty i jego środowiska jest jedynie punktem wyjścia do szerszej opowieści. Zmusza także do postawienia wielu całkiem współczesnych pytań



jemu bohaterowi kilka, jeśli nie kilkanaście lat pracowitego życia – ale fascynacji takiej, jakiej uległ umysł krytyczny i zdystansowany, z alergią na wszelkie klisze i komunały zwyczajowo używane w momencie pisania o postaciach historycznych. Bo przecież Dejmekowi przytrafiło się życie zawsze blisko kluczowych zwrotów akcji w powojennej

Polsce, a jeden z nich, reżyserując „Dziady” w 1968 r., współtworzył (inna sprawa, że mimo woli).

Od razu trzeba jednak zaznaczyć, że lawina zdarzeń uruchomiona zdjęciem tamtego przedstawienia w Teatrze Narodowym, choć zadecydowała o całym późniejszym życiorysie reżysera, nie była bynajmniej jedynym momentem, gdzie miał on wpływ na polską historię. W tym jednym życiu emblematycznie odcisnęły się liczne życiorysy pokolenia wchodzącego w dorosłość po wojnie. W czasie wojny partyzant nastolatek, w Polsce Ludowej aktor i lider zespołu aktorskiego, współtwórca socrealizmu

w teatrze, współzałożyciel łódzkiego Teatru Nowego (ikoniczna „Brygada Szlifierza Karhana”), a potem Października („Łaźnia” i „Święto Winkelrida”).

Później wszedł w okres fascynacji kulturą średniowieczną i staropolską, co stało w pewnej sprzeczności z marksistowską wiarą. Powstały wtedy arcydzieła właściwie przywracające polskiej kulturze tamten kanon (m.in. „Historia o chwalebnym Zmartwychwstaniu Pańskim”, „Dialogus de Passione”). Wreszcie – jako dyrektor odbudowanego Teatru Narodowego – skutecznie upominał się o całość „gospodarstwa kultury polskiej” i o język polski.

Jak podsumowuje dobitnie Raszewska: „Na pytanie, co zostało po przeszło 50 latach z jego dyrekcji Teatru Narodowego – jednej z najgłośniejszych w powojennej historii teatru, jednej z tych nielicznych, które proponowały pewien model teatru, odpowiedzieć możemy chyba krótko: Dejmek zostawił nam przeświadczenie, że Teatr Narodowy nie jest zwykłym teatrem, lecz ważną instytucją kultury narodowej i ma określone obowiązki do spełnienia. Teoretycznie było o tym wiadomo od czasów Bogusławskiego, od Osterwy i Horzycy – ale to właśnie wtedy Dejmek imponującą skalą działań jubileuszowych 200-lecia tego teatru wywołał temat, przypomniał i sformułował zasady, do których ludzie teatru często i dziś się odwołują”.

„Dejmek” jest wyrazem fascynacji autorki, ale fascynacji takiej, jakiej uległ umysł krytyczny i zdystansowany, z alergią na wszelkie klisze i komunały zwyczajowo używane w momencie pisania o postaciach historycznych

Dopiero potem dyrektorowi przydarzyło się w powszechnej świadomości najbardziej z jego nazwiskiem związane brutalne zderzenie z historią, czyli polityczna awantura (i najprawdopodobniej prowokacja moczarystów) wokół „Dziadów”. Jej skutkami były wieloletnia tułaczka za granicami Polski, powrót do kraju już w znacznie gorszej pozycji, kontrowersyjna postawa w latach stanu wojennego (ze słynną sentencją tłumaczącą, do czego służy aktor). Po 1989 r. Dejmek obejmuje funkcję ministra kultury w rządzie Waldemara Pawlaka, a potem czekają go gorzkie schyłek życia, ataki na styl i sposób pracy artysty postrzeganego jako anachroniczny.

O tym wszystkim Raszewska opowiada, stosując metody żelaznego trzymania się faktów, demaskowania fałszywych wyobrażeń i mitów, krytycznego komentarza i zestawiania licznych, najczęściej mało (lub wcale) znanych dokumentów. W za-

kończeniu – schowana za tak skonstruowaną opowieścią, a przecież o doskonale wyczuwalnym temperamencie pisarskim – pozwala sobie na autokomentarz: „Nie sposób oprzeć się wrażeniu, że przedstawiając i analizując to, »czego nie widać«, dokonujemy jednak wobec świata teatru pewnego aktu zdrady [...]. Przytaczając nieprzeznaczone do publikacji notatki, listy, donosy i plotki, kompromitujemy ten przybytek muz, demitologizujemy życie artystów. Przez dobór takich, jak tu zdecydowałam, dokumentów dokonuje się dekonstrukcja mitu, ale pozwala to zrozumieć, dlaczego ten pierwszy świat, ten oglądany z fotela na widowni, wygląda tak właśnie, a nie inaczej. I dlaczego per saldo – jest tak fascynujący i tak ważny”.

Oczywiste jest, że tamten świat może być fascynujący dla pamiętających go choćby i z dzieciństwa i młodości: świat teatru, który odszedł, który dziś jest całkowicie zamkniętym rozdziałem. Ale książkę Raszewskiej czytam z własnej perspektywy pokoleniowej, roczników 70., ceniąc ją za to, że doskonale przenosi i przechowuje obraz teatru czy szerzej – polskiej kultury jako pewnej formacji. Dziś pytania, które po sobie zostawiła, wybrzmiewają jeszcze głośniejsze: Z czym się wiąże rezygnacja z etosu pracy w sztuce, opartego na bezwzględnej dyscyplinie i samodyscyplinie, który dziś powszechnie jest przekreślany jako „przemocowy”? Co utraciliśmy wraz z odejściem teatru bezwzględnie i absolutnie szanującego słowo pisane i mówione – i czy bezpowrotnie?

„JANUSZ WARMIŃSKI I JEGO TEATR ATENEUM” ANETY KIELAK-DUDZIK

Janusz Warmiński, reżyser i wieloletni dyrektor teatru, nie funkcjonuje dziś jako postać pierwszoplanowa. Przypominanie go, tak jak jego dzieła życia, czyli warszawskiego teatru Ateneum, ma nieco inny wymiar niż w przypadku relacjonowania życia sław. Jest to historia o konsekwentnym budowaniu środowiska raczej z pozycji szarej eminencji. Aneta Kielak-Dudzik liczy na inteligencję czytelników, jest powściągliwa w stawianiu wniosków. Ale imponujący materiał, który zgromadziła, opowiadając biografię Janusza Warmińskiego, odmalowuje artystyczną Warszawę od lat 50. To także historia o ukształtowaniu się solidnego, nowoczesnego teatru dramatycznego, ■

oddająca sprawiedliwość dziś spostopowanemu fenomenowi teatru mieszczańskiego wielkiego miasta.

Ateneum przez 45 lat prowadzone przez Warmińskiego (i kilka innych scen, Teatr Dramatyczny m.st. Warszawy czy Teatr Współczesny) kumulowało w sobie cały urok tego sposobu istnienia kultury. Inaczej niż w przypadku rozmaitych rewolucjonistów i kosmopolitów (w rodzaju Jerzego Grotowskiego, o którym za chwilę) wartościami nadrzędnymi były: stabilność, trwanie, komunikacja z własną widownią i utrzymywanie stempla wysokiej jakości artystycznej (o co w tym przypadku spierają się historycy).

I znów, tak jak przy lekturze „Dejmk”, trudno się uwolnić od pytań wynikających z rażącego kontrastu z obecnym stanem naszych teatrów. Fakty zebrane w biografii Warmińskiego (czy w książkach Jerzego Axera, Zygmunta Hübnera) aż nadto wyraźnie wskazują miejsca, w których stabilny system teatralny został pozbawiony fundamentów. Jest ich wiele, poprzestanę na wyliczeniu najważniejszych. To odejście od myślenia o integralności i stabilności zespołu teatralnego jako kategorii nadrzędnej, to rezygnacja z koncepcji teatru jako domu dla wartościowej literatury (co automatycznie nie oznacza wyłącznie arcydzieł), to obowiązująca dziś dyrektorów teatralnych konieczność ekspozowania własnego wizerunku, poglądów, epatowania narcystyczną osobowością, to działania szybkie, gorączkowe, obliczone na natychmiastowy efekt i skutkujące wypaleniem, to zamknięcie myślenia o teatrze jako ośrodku prądeologiczowanym i sekciarskim.

I znowu mam ochotę zapytać: Czy naprawdę dziś nie umiemy tak robić teatru, nie zasługujemy na teatr robiony według recepty takich dyrektorów jak Janusz Warmiński?

„GROTOWSKI POLITYCZNY” AGNIESZKI WÓJTOWICZ

Jerzy Grotowski wydawał się bezpowrotnie przytłoczony głazem z napisem: „Jerzy Grotowski”. To twórca przez całe życie pracujący nad swoim autorskim teatrem (który w pewnym momencie chciał uczynić parateatrem, czyli właściwie antyteatrem), a także nad swoim wizerunkiem. W dodatku jako interpretatorów i kronikarzy swojej twórczości zatrudniał najlepszych: Ludwika Flaszena, Kon-

Czy naprawdę dziś nie umiemy tak robić teatru, nie zasługujemy na teatr robiony według recepty takich dyrektorów jak Janusz Warmiński?

stantego Puzyń, Zbigniewa Osińskiego, Leszka Kolankiewicza. Młodych, którzy nie mieli szans widzieć spektakli czy się pod wpływem guru parateatralizować, pomimo wszystko ciekawił i fascynował.

Oddziaływał w znacznej mierze dzięki legendzie, czyli zawartości bani z odurzającymi tekstami i opowieściami, prawie wcale poprzez źródłowe obrazy, filmy, relacje. Wszak był to teatr, z woli twórcy, co się zowie elitarny. Prawdziwy impuls polskiej kulturze od lat 90. dawały też teatry „zarażone” metodami pracy Grotowskiego z aktorem, pieśniami, ruchem, odwołującymi się do ekspresji i grozy rytuału. Przekładało się to na niepodrabialną jakość gry, a raczej „obecności na scenie”, jak to się tak trochę po kaznodziejsku mówi i pisze w tym światku.

Brzmi nieznosnie, a jednak to prawda. To, co nieuchwytnie w słowie i piśmie, na żywo jest całkiem wyraźne i wyczuwalne. Tak więc teatr Grotowskiego, mimo że przeszedł do historii, wciąż ma swoich późnych wnuków i swoje kontynuacje. Cóż z tego, że dziś raczej już aż nazbyt szacowne i kanoniczne?

Tymczasem pojawiła się książka jeszcze raz zmuszająca do spojrzenia na tego bohatera inaczej. „Grotowski polityczny” Agnieszki Wójtowicz przynosi wyniki przeoczonych przez poprzedników odkryć archiwalnych oraz nieco niezwykle ciekawych rozmów z działaczami polskiego Października i decydentami PRL, rzucających nowe światło na karierę reżysera i towarzyszący jej klimat polityczny. I nie chodzi bynajmniej o publikowanie haków z archiwów IPN, chociaż i na ten temat można to i owo tutaj wyczytać na temat inwigilacji Grotowskiego – członka partii, więcej nawet: czołowego działacza młodzieżowego czasów Października. Był to okres młodzieńczego idealizmu zakończony brutalną lekcją realizmu,

taką, którą się pamięta przez całe życie, bo „zarzuty, które Egzekutywa postawiła tow. Grotowskiemu”, okazały się „ślusne”, choć skończyło się na najniższym wymiarze kary, czyli partyjnej naganie.

Lektura krytyk i samokrytyk reżysera, a także wcześniejszych płomiennych manifestów (kiedy Studencki Komitet Rewolucyjny, w którym działał młody Grotowski, był w 1956 r. o krok od przejścia władzy w Krakowie) oraz utopijnego planu przebudowy całej organizacji społeczeństwa PRL, sporządzonego w 10 punktach, skłania do ciekawych wniosków. Kontakty i wizerunek lidera politycznego zdobyte wówczas zaprocentowały m.in. szacunkiem Józefa Teichmy, który po 1974 r., kiedy został ministrem kultury, rozpiął nad reżyserem swego rodzaju parasol ochronny. W zamieszczonym w książce wywiadzie przyznaje się on nawet do fascynacji nie tyle teatrem Grotowskiego, ile jego postawą, komunikatywnością, sukcesem na „kapitalistycznym Zachodzie”.

I tu otwiera się kolejna opowieść, zawarta w wywiadach z drugiej części książki. Jest to historia o PRL jako mecenasie awangardy, o świadomie prowadzonej polityce kulturalnej budującej markę międzynarodową na kulturze i stawiającej na wypracowanie własnej wersji nowoczesności. Kłóci się to z obrazem Polski Ludowej jako bytem wizerunkowo opartym na siemienistych kliszach różnych wariantów sojuszu robotniczo-rolniczego i na kulturze popularnej okresu Gierka. Warto też sobie uświadomić, że słynny teatr Laboratorium, który wpłynął na cały świat, był stworzony jako działalność zastępcza w sytuacji niemożności stania się politykiem, ale był też tworzony i utrzymywany narzędziami politycznymi i ze świadomością polityczną (co się kłóci z postrzeganiem twórczości Grotowskiego jako, najogólniej ujmując, skierowanego w sferę duchowionej).

© Wszelkie prawa zastrzeżone

ANETA KIELAK-DUDZIK, „JANUSZ WARMIŃSKI I JEGO TEATR ATENEUM” WARSZAWA: TEATR ATENEUM 2021;
MAGDALENA RASZEWSKA, „DEJMEK”, WARSZAWA: TEATR NARODOWY 2021;
AGNIESZKA WÓJTOWICZ, „GROTOWSKI POLITYCZNY”, WARSZAWA: WYDAWNICTWO INSTYTUTU TEATRALNEGO 2022.

Czysta biel, gorąca czerwień



Krzysztof Masłowski

Specjalnością Andrzeja Kołakowskiego, barda, działacza niepodległościowego i opozycjonisty z lat PRL, stały się ballady osadzone w naszej historii najnowszej, utwory głęboko patriotyczne, kultywujące pamięć o polskich bohaterach, szczególnie o Żołnierzach Niezłomnych. Nie usłyszymy ich w radiu ani telewizji, a przecież przynajmniej niektóre z nich zdobyły sławę. Jak „Przysięga”:

*I zwyciężymy, gdy zwycięstwo dasz
nam Panie,
Przyjmijmy klęskę, jeśli taka Twoja
wola.
Tylko daj w godzinie próby nam
wytrwanie,
Gdy upadniemy zawsze pozwól
powstać z kolan
Bo przysięgaliśmy na orła i na krzyż,
Na dwa kolory, te najświętsze w Polsce
barwy.
Na czystą biel i na gorącą czerwień
krwi,
Na wolność żywych i na wieczną
chwałę zmarłych.*

Andrzej Kołakowski wykonuje wiele utworów oddających sprawiedliwość właśnie Żołnierzom Wyklętym, śpiewając o „Ogniu” i „Ince”, o „Rozstrzelanej armii (Majorze »Łupaszce« i jego żołnierzach)”, o „Oskarżonych o wierność”:

*Oskarżeni o wierność i cnotę
Wędrujemy przez polską Gólgotę
I niezłomną żywimy się wiarą
Że z krwi naszej odrodzi się naród...*

Żywo reaguje również Kołakowski – i pieśnią, i czynem – na wszystko to, co działo się i dzieje obecnie w naszym kraju. Tak było, gdy na Facebooku

zamieścił swoje zdjęcie ze strzelbą, jak pisał, „dobrą na złodzieja, słońia i loveparadę”, za co Komisja Dyscyplinarna na Uniwersytecie Gdańskim, gdzie ma zajęcia na Wydziale Pedagogiki, udzieliła mu nagany, tak było też, gdy pisał „List do króla Europy Donalda Tuska”:

*Plastikowa rewolucja
Już się zbiera szumowina
Były esbek i ormowiec
Dziś o wolność bój zaczyna
Żeby było tak jak dawniej
Wiesz czy dziś ubecka tłuszcza
A za nimi tysiąc gardeł
Z tych, co dają się podpuszczać.*

Z pewnością jest Andrzej

Kołakowski twórcą bezkompromisowym, co pociąga za sobą nie zawsze miłe konsekwencje. Chociaż... Oto redakcja „Do Rzeczy” otrzymała ostatnio list od pani Anny Wiktorskiej z Gdańska, którą inny z opisywanych w tym miejscu bardów, Andrzej Sikorowski, wyraźnie zniesmaczył piosenką „Dla mnie Polska...” (chodzi o utwór „Czyjaś Ty?”), gdzie – jej zdaniem – były lider zespołu Pod Budą „z wyższością i pogardą wyraża się o Polakach katolikach i patriotach”, dotychczas „do niechlebnego grona tych artystów, którzy mają inne zdanie niż »elyta«”.

Pozwolę mieć odmienne zdanie w tej materii, podpierając się autorytetem nie byle jakim, bo Jana Kasprowicza, autora słów, które całkiem niedawno posłużyły za hasło Marszu Niepodległości: „Wielkiej Polski moc to my!” (cytat z hymnu przedwojennego Obozu Wielkiej Polski). Otóż ten sam świetny poeta w jednym z najbardziej znanych swoich utworów pisał:



FOT. TADEUSZ KONARZ/REPORTER

*W mojej pieśni, bogatej czy biednej
Przyzna mi ktoś lub nie przyzna
Żyje, tak rzadko na wargach,
Moja najdroższa Ojczyzna.*

Andrzej Sikorowski w piosence, która tak zbulwersowała panią Annę, powiada zaś:

*Bo ojczyzna to słowo skromne
Które rzadko wymawiam szeptem
Niepotrzebny jej żaden pomnik
Nie zatwierdzi jej żaden dekret.*

Rozumiem jednak intencje autorki listu do naszej redakcji, tym bardziej że istotnie nie wszystkie fragmenty „Czyjaś Ty?” są równie przekonujące. I zgadzam się, że często – coraz częściej! – wykladać trzeba kawę na ławę. Żeby nie było wątpliwości i nieporozumień.

Andrzej Kołakowski wraz z żoną Anną, nauczycielką historii, będącą najmłodszym wieźniem stanu wojennego, gdyż na trzy lata więzienia skazano ją, zanim jeszcze ukończyła 18 lat (!), prowadzi działalność edukacyjną, wykład o niezakłamanej historii Polski łącząc z pieśniami, m.in. także tymi, które przypominają postaci wielkich, nieco już za-

pomnianych bardów: Włodzimierza Wysockiego czy Karela Kryla. O tym drugim, bardzie Praskiej Wiosny, napisał song „Umarł Karel Kryl”:

*Ostatnim westchnieniem do nieba się
wzniósł
Uleciał na skrzydłach motyla
Uleciał spomiędzy jarzabin i luf
Gdy wolność się w bólach rodziła
Nad mostem Karola zapada już zmrok
I mgły nad Wętkową już nika
To Karel do nieba się zbliżył o krok
Być może troszeczkę za szybko
Żegnała go Praga
Pożegnał go świat
Pożegnał go pewien literat
A szpicał jak dawniej
W knajpianych tkwił drzewiach
I rozdział kolejny otwierał.*

A wszystkim czytelnikom „Do Rzeczy” w nowym roku w charakterze przesłania przekazuję jeszcze jeden utwór Andrzeja Kołakowskiego – „Baladę o poetach współczesnych”:

*Nie po drodze mi z wami poeci
Bo wam dusze ktoś w plastik
spakował
Znak jakości przykleił na plecach
Porozmieniał wam myśli na słowa
Nie po drodze mi z wami poeci
Bo wam prawda jak obal obrzydła
Wasz kręgosłup jest giętki jak gлина
I co wieczór karleją wam skrzydła
W moim sercu od kilku pokoleń
Dziedziczone nie goją się rany
Drobne kłamstwa nie plamią sumienia
Więc się pewnie nie prędko spotkamy
Nie pozwalam by pluły mi w duszę
Karły w ludzkich ukryte postaciach
Wy z błazeńskim kroczyście sztandarem
A stroicie się w szaty Syrachy
Ja co wieczór przyklekam pod krzyżem
Wierzę w Tróję: Bóg, Honor, Ojczyzna
Jestem dumny ze swojej polskości
Do poglądów nie wstydzę się przyznać
Choć nie dla mnie warszawskie salony
A codzienność mnie dławi jak chusta
Dobrze będzie za lat kilkanaście
Bez kielszka się zbliżyć do lustra. © ©*

Znany, czyli nieznany



Piotr Gociek

Filmowa opowieść o Bobie Dylanie z Timothée Chalametem w roli głównej to dzieło niemal perfekcyjne

Bob Dylan jest dobry na każdą okazję. Hymn generacji „The Times They Are a-Changin’” towarzyszył czołówce alternatywnej historii o superherosach „Watchmen: Strażnicy” (2009). Wizyjny poemat śpiewany „A Hard Rain’s a-Gonna Fall” był tematem przewodnim serii dokumentalnej Kena Burnsa „The Vietnam War” (2017). Trudno o dwie bardziej różne produkcje, ale utwory Dylana za każdym razem pasowały jak ulał. W świecie muzyki podobnie: czy biorą się do tych piosenek folkowi bardowie czy gwiazdy rocka, jak Jimi Hendrix, Guns N’ Roses albo i Rage Against The Machine, zwykle wychodzi ciekawie.

Choć o Dylanie napisano niejedną książkę i tysiące artykułów, to cała jego historia pozostaje niewytłumaczalna;

a może inaczej: da się ją wytłumaczyć tak, jak próbował to zrobić Josif Brodski. Gdy sowiecki sąd wysyłający go do łagru zapytał go o zawód, powiedział: „Poeta”. A gdy sędzia zażądał jakiegoś zaświadczenia o byciu poetą, zaskoczony Brodski odrzekł: „Myślę, że to od Boga”.

NIEZWYKŁA PRZEMIANA

W życiu dzieciaka dorastającego w mieście Hibbing niewiele wskazywało na przyszłą karierę. Dużo słuchał płyt i radia – wszyscy słuchali. Bardzo chciał grać i śpiewać – wielu chciało. Na nielicznych zachowanych bardzo wczesnych nagraniach nie słycać, żeby umiał jedno i drugie. A potem następuje coś niewytłumaczalnego i brzydkie kaczątko zamienia się w łabędzia.

Film Jamesa Mangolda „Kompletnie nieznany” („A Complete Unknown”) zaczyna się w chwili, gdy Dylan przyjeżdża do Nowego Jorku. Jest rok 1961, Bob szuka szczęścia w podrzędnych klubach, będzie też miał okazję poznać swego idola, którym jest leżący w szpitalu Woody Guthrie, pieśniarz i włóczęga.

To dobry początek, bo właśnie wtedy nasz bohater zaczyna ciężką pracę nad tym, by nie być już więcej Robertem Zimmermanem, ale zostać już na dobre

Bobem Dylanem. Mangold i Jay Cocks inspirowali się podczas pisania scenariusza książką Elijaha Walda „Dylan Goes Electric!”. I trzymają się mniej więcej przedstawionej w niej chronologii wypadków: od uznania Dylana za swego przez ważne figury sceny folkowej w USA do „zdrady”, której ich zdaniem dopuścił się artysta, gdy porzucił styl wędrownego grajka z akustyczną gitarą i harmonijką ustną na rzecz występów z kapelą de facto rockową, choć czasem bardziej rytm’n’bluesową. Jeśli idzie o nagrania, to przestrzeń tę zakreślają z jednej strony płytowy debiut Dylana, wypełniony coverami i sprzedający się kiepsko, a z drugiej – słynny koncert na Newport Folk Festival w 1965 r., kiedy to Dylan zaszokował publikę występem z kapelą rockową.

Te kilka lat to kluczowy okres dla talentu, kariery i legendy Dylana. I tę przemianę James Mangold precyzyjnie odmierza znanymi nam doskonale piosenkami („Blowin’ in the Wind”, „Masters of War”, „Don’t Think Twice, It’s All Right”, „The Times They Are a-Changin’”, „Like a Rolling Stone”), nadając filmowi rytm. Tempo przyspiesza w miarę przemiany głównego bohatera. To, czego nie da się pokazać, opowiadane jest

Timothée Chalamet daje elektryzujący popis aktorstwa jako Bob Dylan, wcielając się w dodatku w swego osobistego idola. FOT. MATERIAŁY PRASOWE



dźwiękami. Kapitalna jest scena, w której Dylan zaczyna „słyszeć elektrycznie”, co przekłada się na otwarcie nowego rozdziału w jego twórczości.

OPOWIEŚĆ W STARYM STYLU

Jednak o czym właściwie jest to film? Z tego, co dotąd napisałem, wynikać może, że „Kompletnie nieznanym” to zgrabna ekranizacja fragmentu hasła z Wikipedii – do takich kinowych biografii nas ostatnio niestety przyzwyczajano. Otóż nie. Film Mangolda to wielkie kino, opowieść w starym stylu, bez pośpiechu, bez szukania drogi na skróty. Timothée Chalamet daje elektryzujący popis aktorstwa jako Dylan, wcielając się w dodatku w swego osobistego idola. Ukochaną książką aktora są „Kroniki” Dylana. Na potrzeby roli nauczył się śpiewać, grać na gitarze i na harmonijce ustnej, nagrał kilkadziesiąt piosenek, z których część trafiła do filmu. Efekt jest znakomity.

Bardzo ciekawe rzeczy dzieją się na drugim planie. Edward Norton jako trochę ciapowaty, dobroduszny Pete Seeger zasługuje co najmniej na oscarową nominację (Chalamet zresztą też; obaj byli już nominowani do Złotych Globów). Nie ustępują im panie – zjawiskowa Monica Barbaro jako Joan Baez i pełna

emocji Elle Fanning jako Sylvie Russo. Dwa słowa o tej ostatniej: sympatyczna, roześmiana dziewczyna towarzysząca Dylanowi na okładce płyty „The Freewheelin’” tak naprawdę nazywa się Suze Rotolo. Dylan prosił, by w filmie zmienić jej nazwisko (artysta był konsultantem scenariusza), ale i tak wiadomo, o kogo chodzi.

„Kompletnie nieznanym” jest kroniką eksplozji talentu, jest historią trójkąta miłosnego (Dylan-Baez-Russo), ale przede wszystkim jest bardzo amerykańską opowieścią o tym, jak gorzko potrafi smakować sukces. Z dnia na dzień, z miesiąca na miesiąc Dylan przestaje należeć do siebie, staje się własnością innych, a owi inni znajdują się w swych zaborczych zamiarach na kursie kolizyjnym z artystą. Dla ważnych figur sceny folkowej Dylan ma być po wsze czasy artystą folkowym, który wraz z nimi pogardza komercją, zwłaszcza rockiem i popem. Dla aktywistów politycznych ma być wyłącznie autorem „piosenek z przesłaniem”. Dla szefowej wytwórni płytowej – dostarczycielem wciąż takich samych hitów. Dla dziennikarzy – „głosem pokolenia”.

Dylan tymczasem ma oczekiwania ich wszystkich w nosie i chce pisać to, co mu się w głowie łęgnie; nagrywać tak, jak ma na to ochotę; występować z tymi, z którymi będzie mu się chciało. W filmie Mangolda zostało to zręcznie zasygnalizowane, ale kto sięgnie po filmy dokumentalne o Dylanie, zobaczy zapis żenujących konferencji prasowych i wywiadów, w których Dylan musi udawać, że nie jest wielbłądem. Wmawiają mu, że jest prorokiem generacji, on odpowiada, że po prostu pisze piosenki. Pytają, czy „Hard Rain’s a-Gonna Fall” to piosenka o Wietnamie – on odpowiada, że napisał ją przed wojną. Zmieniają koncept i twierdzą, że w takim razie jak nie o Wietnamie, to o wojnie atomowej – on znów odpowiada, że nie. I tak dalej.

Oczywiście daremne żale, próżny trud – publika i media robią z dorobkiem każdego artysty, co chcą, i obwołują go, kim chcą. Nie zmienia to tego, że z książek biografów Dylana i tomów wspomnień jego znajomych wyłania się obraz człowieka, który wolał, by rozmawiać z nim



REŻ. JAMES MANGOLD
„KOMPLETNIE NIEZNANY”
USA 2024

o poezji, harmoniach i muzycznych inspiracjach, a nie o polityce. Tyle że mało kto chciał.

FILM POTRÓJNIE UDANY

Bardzo szybko pełen uroku młody chłopak marzący o sławie zamienia się w zgorzkniałego więźnia cudzych oczekiwań. Jednym z niewielu sprzymierzeńców w poszukiwaniu własnej drogi okazuje się Johnny Cash (kapitałny epizod Boyda Holbrook), wielki admirator

talentu Dylana, który namawia go, by nie bał się „narobić hałasu”. Swoją drogą to urocze nawiązanie do innego filmu Jamesa Mangolda – „Spacer po linie” (2005), kinowej biografii Casha, którego zagrał wtedy Joaquin Phoenix. Dylan dał czadu i przez kolejną dekadę słyszał od fanów na koncertach: „Judasze!”, „Sprzedasz się!”, ale ostatecznie to on postawił na swoim.

Dylan nie chce być niczyją marionetką, ale zarazem sam bezlitośnie wykorzystuje tych, z którymi się wiąże. Żadnej ze swych kobiet nie traktuje poważnie, każdego z mentorów wcześniej czy później porzuca. Jeśli cechą artysty jest to, że kradnie, a nie pożycza, czyli kopiuje, to Dylan wielkim artystą jest. Zresztą nieprzetłumaczalnym i nie do podrobienia, bo jego synteza poezji, muzyki i śpiewu jest tak unikatowa jak życiopsiłowopisanie naszego Jacka Kaczmarskiego. Jedną z rzeczy, które zanotowałem, wychodząc z kina, było zdanie, że Chalamet nie boi się pokazać, iż Dylan był często irytującym dupkiem, ale kto o nim poczytał, ten wie, że w realu bywał dupkiem jeszcze większym.

Wyszedł z tego wszystkiego film potrójnie udany. Pokazuje bez politycznej hysterii i nadmiernej człołobitności czas kluczowy dla narodzin fenomenu Dylana. Sprawdza się jako film muzyczny, nostalgiczna składanka ponadczasowych kawałków. Zdaje egzamin jako zapis starcia osobowości, postacie napisane są dobrze, a aktorzy wznoszą się na wyżyny. Wielu lekceważy kino Jamesa Mangolda jako zbyt gładkie, staromodne, może zbyt proste. Ale geniusz tkwi właśnie w tej prostocie. Mangold jak Clint Eastwood nie kręci filmów efektownych, za to kręci filmy bardzo dobre. © Wszelkie prawa zastrzeżone



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



PIOTR GOCIEĆ

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Gra ze złem



★★★★★
SEZON 2
„SQUID GAME”
KOREA POŁUDNIOWA 2024

wyst. Lee Jung-jae,
Lee Byung-hun,
Wi Ha-joon

Kapitalizm zabił „Squid Game” – odnotowała w swej recenzji drugiego sezonu hitu Netflixu autorka tygodnika „Time”. Prowokacyjna, zaskakująca i wciąż klasyczna przypowieść na temat klasizmu zamieniła się w kolejną złotodajną franczyzę. Ująłbym to tak: oryginalna „Squid Game” była tekstem głównym, sezon drugi jest zbiorem komentarzy (będzie i sezon trzeci). Niekoniecznie potrzebnych, bo przecież i bez tego wiedzieliśmy, że biedacy mordowani w koreańskich igrzyskach śmierci to też ludzie, godni współczucia i miłosierdzia.

Trzy lata po wygraniu morderczej gry Gi-Hun powraca na wyspę, zdeterminowany, by położyć kres krwawej zabawie. Jego sojusznikiem jest policjant

Jun-Ho, ten sam, który zinfiltrował wyspę w pierwszym sezonie i postrzelony przez własnego brata spadł z klifu do morza. Bogaci i wpływowi organizatorzy podziemnej masakry wiedzą o planach domorosłych mścicieli, grają więc z nimi w kotka i myszkę. Na arenie rozgrywek zmieniają się zadania, ale nie zmienia się liczba wynoszonych trupów.

Siedmiodzielnikowa opowieść kończy się zawieszeniem akcji w kulminacyjnym momencie, co oznacza, że planowany na przyszły rok trzeci sezon jest właściwie dokończeniem drugiego. Poziom jest nierówny, fabuła zbyt długo się rozpędza, by wreszcie wrócić na znane tory w trzecim odcinku. Nadmierny melodramatyzm i niepotrzebne akcenty

N komediowe mogą wprawić widza w konfuzję. Wciąż jest to jednak rozrywka zrealizowana z rozmachem, którego mogą pozazdrościć Netflixowi konkurenci. Jest i kilka niespodzianek: dowiadujemy się więcej o rekrutacji strażników i egzekutorów, a także o rozmaitych pomniejszych grach prowadzonych przez nadzorców wewnątrz głównej gry.

Są jednak dwie rzeczy godne uwagi w tej niespecjalnie wciągającej kontynuacji. Pierwsza to trik, który do perfekcji doprowadziła carska ochrona – jeśli już ktoś przeciw tobie szykuje rewolucję, to zadbaj o to, by spiskiem dowodzili twoi ludzie. Po drugie, dobroduszny i pełen szlachetnych chęci Gi-Hun nie zauważa, kiedy w walce o słuszną sprawę sam zaczyna stosować metody znieprawdzonego wroga: myśleć w kategoriach mniejszego zła, kalkulować, kogo i kiedy poświęcić dla dobra ogółu. Ciężko walczyć ze złem, nie zostając przez nie zainfekowanym. ©

GRA TYGODNIA: „LIFE IS STRANGE: DOUBLE EXPOSURE”

Czwarta główna odsłona serii została zaprojektowana tak, by można było od niej zacząć przygodę „Life is Strange”, jednak doświadczenie będzie dużo pełniejsze, jeśli zna się poprzednie części. Ponownie wcielamy się w Max Caulfield, która potrafi

manipulować czasem i przenosić się między wymiarami. Nadzwyczajne zdolności długo pozostawały uspię, ale gdy najbliższa przyjaciółka Max zostaje zamordowana, jedyną nadzieją na przywrócenie jej do życia jest manipulacja czasem. Znowu wciągą,



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

choć jedynka pozostaje niedościgniona. ©

Radosław Wojtas

• **Gatunek:** przygodowa, TPP
• **Platforma:** PS5, XSX, NS, PC
• **Producent, dystrybutor:** Deck Nine/Idol Minds; Square Enix

Szczęśliwy człowiek

NH nowe horyzonty

Wim Wenders to chyba najbardziej przereklamowany reżyser w Europie. Po „Niebie nad Berlinem” krytycy przypięli mu anielskie skrzydła tudzież certyfikat poety ekranu i tak już zostało. Przekombinowane fabuły zapewniły Niemcowi dożywotni wstęp na filmowe festiwale i członkostwo we wpływowych gremiach. Owszem, próbował się zmieniać, żonglował stylem i tematami, jednak zwykle przynudzał. Aż wreszcie trafił w środek tarczy.

„Perfect Days” emanuje prostotą. Główny bohater zarabia na przysłowiową miskę ryżu, pucując publiczne toalety. No cóż, żadna praca nie hańbi, a tokijskie świątynie dumania (przynajmniej te, które pokazuje Wender) zaprojektowali topowi architekci, więc jest na czym oko zawiesić. Jeden z szaleństw znajduje się w miniparku i pan Hirayama może czuć się wybrańcem, regularnie obcując z naturą, gdy jego ziomkowie są więźniami betonowo-asfaltowej dżungli. Żyje jak mnich. Najchętniej milczy. Ma pogodne usposobienie, chociaż ludzie często traktują go jak powietrze (równie błogi uśmiech prezentował Robert De Niro



★★★★★
REŻ. WIM WENDERS
„PERFECT DAYS”
JAPONIA/NIEMCY
2023

wyst. Koji Yakusho,
Tokio Emoto, Arisa
Nakano

w „Dawno temu w Ameryce”, lecz jego bohater był na hajdu).

Nasz czyściciel obywatela się bez kompa, robi zdjęcia analogowym aparatem, muzyki słucha z kaset. Jak na Azjatę gust ma specyficzny: lubi klasykę brytyjskiego rocka i nową falę. Tytuł filmu jest zresztą pożyczony od Lou Reeda. Domyślamy się, że poprzedni żywot melomana leży w gruzach, ale Wenders skąpi nam szczegółów. Podsuwa jedynie literackie tropy w postaci prozy Faulknera czy Patricii Highsmith (do tej drugiej od lat czuje miętę przez rumianek).

Oczywiście przeludniona i hałaśliwa metropolia to doskonale miejsce do praktykowania medytacji, lecz jazda na autopilocie wiecznie trwać nie może. Rutynę egzystencji (wegetacji?) pana Hirayamy w cieniu Tokyo Skytree zakłóca jednostki, swoim zachowaniem przeczące stereotypowi cichego i dyskretnego Japończyka. Reżyser znalazł idealne medium w osobie Koji Yakusho. Bez niego ten filmowy slow food, w którym rytuały codzienności sublimują w szlachetne haiku, smakowałby gorzej. Niepokoi tylko to, że – według Wendersa – wstęp do krainy szczęścia jest zarezerwowany dla pustelników. © © **Wiesław Chelminiak**

FABRYKA JAPOŃCZYKÓW

VOD MDAGPL

„Kto się ładnie nie ustawi, ten nie dostanie mleka”. Tresura? Nic z tych rzeczy. Nauczyciele z Kraju Kwitnącej Wiśni chcą tylko wpoić wychowankom uprzejmość, pracowitość oraz umiejętność działania w kolektywie. Rok spędzony na obserwacji uczniów pierwszej i szóstej klasy szkoły powszechnej, skondensowany w półtoragodzinnym filmie, dostarcza dowodów, że kryzys systemu edukacji, który znamy z własnego podwórka, ma wymiar globalny. Pandemia dodatkowo obnażyła jego wady. Japońscy pedagodzy dają z siebie wszystko i tego samego oczekują od podopiecznych, jednak prywatnie dają wyraz swoim rozterkom. Szkoła siłą rzeczy skuteczniej promuje odruchy stadne niż indywidualizm. Miejmy nadzieję, że w elitarnych placówkach, które nie kształcą pracowników, ale przyszłych liderów, wygląda to inaczej. Kuratorom do sztabucha. © ©



★★★★★
REŻ. EMA RYAN YAMAZAKI
„JAK ZOSTAĆ JAPOŃCZYKIEM”
JAPONIA/USA/
FINLANDIA/FRAN-
CJA 2023



RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Transformacje w III RP

Wystawa „TRANSFORMACJE. Nowoczesność w III RP” zamyka cykl „4 x nowoczesność”, który od 2021 r. jest realizowany w Muzeum Narodowym w Krakowie. Zaprezentowano dotychczas wystawy: „Polskie style narodowe 1890–1918” (2021), „Nowy początek. Modernizm w II RP” (2022) i „Nowoczesność reglamentowana. Modernizm w PRL” (2023).



FOT. KACPER TRZMIEL

W ramach cyklu „pokazujemy różnorodne interpretacje nowoczesności w polskiej sztuce, architekturze i designie od przełomu

wieków XIX i XX do współczesności” – piszą autorzy. Zebrane doświadczenia mają zostać wykorzystane do opracowania scenariuszy stałych ekspozycji w gmachu dawnego hotelu Cracovia, który będzie nowym oddziałem muzeum.

Wystawa zamykająca cykl zwraca uwagę na kluczowe problemy czasów transformacji poprzez prace artystów działających po 1989 r. Większość eksponatów zaprezentowano w MNK po raz pierwszy. © ©

GDZIE?
Muzeum Narodowe w Krakowie
KIEDY?
do 18 maja

KRZYSZTOF
MASEŁ

MOJA PÓŁKA

Wędrówka ludów

Wę wstępie do najnowszego tomu – już 21.! – Stanisław Sławomir Nicieja przypomina fragment swojego wykładu wygłoszonego dziewięć lat temu, zatytułowanego „Z Kresów na Dolny Śląsk. W 70. rocznicę przeszczerpu nauki polskiej ze Lwowa do Wrocławia”. Mówił wtedy o tym, że „w 1945 roku miastu, które nazywało się wówczas Breslau, przecięto żyły, dokonano gigantycznej transfuzji krwi, wymieniając krew niemiecką na polską. To samo stało się 600 km stąd na wschodzie, w polskim mieście Lwów. Miastu Lwów również przecięto żyły, wypompowano polską krew i w to miejsce wpuszczono krew ukraińską i rosyjską. Weszli tam ludzie o innej kulturze, innej obyczajowości i innej religii”.

„To wielkie zjawisko – cytuję dalej prof. Nicieję – nieznane w dotychczasowej historii, nie zostało dostatecznie opisane w literaturze. W Polsce nie pojawił się wybitny epik, na miarę np. Marii Dąbrowskiej, która w »Nocach i dniach« pokazała na przykładzie rodziny Niechciców przemianę w Polsce w okresie między powstaniem styczniowym a wybuchem I wojny światowej, nie pojawiło się dzieło na miarę »Nad Niemnem« Elizy Orzeszkowej, które podobne zjawisko pokazało na przykładzie rodziny Bohatyrowiczów, czy dzieło podobne do »Sławy i chwały« Jarosława Iwaszkiewicza”.

Generalnie zgadzam się z autorem „Kresowej Atlantydzie”, jednak z pewnymi zastrzeżeniami. Cenię prozę Iwaszkiewicza. Może nawet bardziej niż jego poezję, niemniej trzeci tom „Sławy i chwały” ocieka fałszem, co nie może nie wpływać na odbiór całej powieści. A mogłoby to być dzieło wybitne, wręcz wyjątkowe, na takie się bowiem zapo-

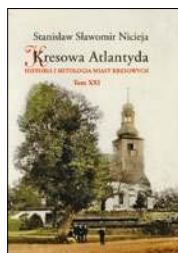
wiało. Nie stało się jednak takie i żadne zaklinanie literaturoznawczej rzeczywistości tu nie pomoże.

Druga, może ważniejsza sprawa to nie miała wcale reprezentacja w literaturze polskiej utworów zanurzonych w Kresach i odnoszących się do traumy mieszkających tam Polaków z dnia na dzień pozbawionych domu i przewiezionych w zupełnie inny zakątek Europy, w inną przestrzeń i w inną – jak powiada Nicieja – scenografię kulturową. Ta „wędrówka ludów” łączyła się z ogromnymi ofiarami i pozostawiła trwałe ślady w psychice ludzi wykończonych, w ich dzieciach, a bywa, że i we wnukach.

W nowym tomie „Kresowej Atlantydzie” opowiada Stanisław S. Nicieja o kresowych miasteczkach i wsiach, często o zapomnianych dziś nazwach. Taki Gródek Jagielloński („A w Gródku Jagiellońskim ty był?”) czy Kozowa – pierwowzór Capowic z głośnej przed wielu laty powieści Jana Lema – przetrwały bardziej w anegdocie niż w dziejach kultury polskiej. A przecież dziwi to, jak ta galicyjska prowincja obrodziła w talenty i dała nam poprzez pokolenia zastępy znakomitych uczonych, artystów, a także pisarzy, czego dowodzi twórczość Wiesława Helaka, autora trylogii: „Nad Zbruczem”, „Góra Tabor” i „W stronę Seretu” czy powieści „Tryhubowa”, o jakże znaczącym dla książek tego pisarza tytule. Wiesław Helak urodził się wprawdzie po wojnie, w Warszawie, ale w oddalonej o 3 km od Kozowej, nieistniejącej dziś Tryhubowej przysłała na świat matka pisarza. To stamtąd wywieziono ją z rodziną do Krasnojarzkiego Kraju, skąd już do domu nie wróciła, swego nowego miejsca na ziemi szukając na Opolszczyźnie. Tam też dotarł z Kozowej ojciec autora „Tryhubowej”.

Nie byłoby pisarstwa Wiesława Helaka bez kresowego podglebia. A z Gródka Jagiellońskiego jednym z ostatnich transportów wyjechał w 1946 r. 20-letni wtedy Andrzej Waligórski, świetny tekściarz, twórca radiowego „Studia 202”, z którego wzięła się „Elita”. Rodzinne korzenie w Gródku ma także Marta Klubowicz, poetka i aktorka. Z kolei z Kozowej wywodzi się rodzina Bajorów z jej najbardziej znanym przedstawicielem, piosenkarzem i aktorem – Michałem Bajorem. O nich i o innych ważnych i zasłużonych postaciach opowiada teraz prof. Nicieja, przedstawiając również historię „przeszczerpu” podlowskiej wsi Milatyn do wsi Pępice, wcześniej noszącej niemiecką nazwę Pampitz. Te 400 osób było jedynie kroplą w morzu „gigantycznej wędrówki obejmującej miliony ludzi różnych narodowości: Niemców, Polaków, Węgrów, Ukraińców, Słowaków czy też Łemków, którzy niespodziewanie wpadli w tryby wielkiej katastrofy historycznej i zostali w 1945 roku wygnani bądź musieli uciekać ze swych rodzinnych stron”.

Z przykrością muszę odnotować zbyteczne w „Kresowej Atlantydzie” opinie autora o m.in. Żołnierzach Wyklętych, jakoby modlących się „o trzecią wojnę światową, gdy przytłaczająca większość rodaków miała dość traum po tej drugiej, która obróciła kraj w perzynę, zrównała z ziemią nie tylko Warszawę i kosztowała państwo polskie życie 6 milionów obywateli. Naród, który znalazł się na progu zagłady biologicznej, marzył o pokoju, zakasując rękawy przy odbudowie kraju ze zniszczeń”. Rozumiem, że autor zachowuje wierność swoim poglądom politycznym, ale tego rodzaju sformułowania mogłby sobie darować. ©



★★★★★

STANISŁAW
SŁAWOMIR
NICIEJA„KRESOWA
ATLANTYDA.
TOM XXI: GRÓDEK
JAGIELLOŃSKI,
KOZOWA,
MILATYN”WYDAWNICTWO
MS, OPOLE 2024



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Długie rozczarowanie

To jedna z tych książek, które powinienem znać na pamięć – tak często je czytałem. A jednak wciąż odnajduję w „Długim pożegnaniu” Raymonda Chandlera coś nowego. Okazja świetna, bo za sprawą wydawnictwa Karakter Chandlerowski kanon ukazuje się właśnie w nowych przekładach. Przyzwyczajony jestem do melodii dawnych tłumaczeń, ale widać tak musi być, każde pokolenie szuka własnych brzmień w literaturze.

„Długie pożegnanie”, najlepsza obok „Żegnaj, laleczko” powieść Chandlera, jest jednocześnie najsmutniejsza. Świat, po którym wędruje detektyw Philip Marlowe, nie jest rajem, a on na tych nędznych ulicach odgrywa – jak definiował sam autor – rolę rycerza w lśniącej zbroi. Jedyny sprawiedliwy ze stoickim spokojem zdaje nam relację ze swych wędrówek po kolejnych kręgach piekła, ale on też ma serce. I chwila, kiedy to serce zostaje złamane, to wcale nie późniejsze losy jego małżeństwa (w niedokończonej powieści „Pudli źródl” Chandler obdarował detektywa żoną, książkę po latach dokończył Robert B. Parker i ukazała się jako „Tajemnice Poodle Springs”), lecz moment zdrady Terry’ego Lennox.



★★★★★
RAYMOND CHANDLER
„DŁUGIE POŻEGNANIE”
WYDAWCTWO KARAKTER 2024

Żaden miłośnik amerykańskiej klasyki nie może wyrzucić z głowy zdania: „Po raz pierwszy zobaczyłem Terry’ego Lennox’a pijanego w rolls-royse Silver Wraith obok tarasu The Dancers”, tak jak nikt, kto raz przeczytał słowa zamykające „Żegnaj, laleczko”, nie będzie potrafił ich zapomnieć („Wzrok sięgał daleko... ale nie tak daleko, jak daleko odeszła Velma”). Opowieść, zaczynająca się od przypadkowej znajomości dwóch gości, których łączy pociąg do dobrych trunków i niechęć do rozpamiętywania przeszłości, szybko zamienia się w jedną z najbardziej skomplikowanych intryg Chandlera. Jednak najważniejsze okazuje się nie to, kto kogo zabił, ale gigantyczny ładunek rozczarowania. „Długie pożegnanie” łączy się niewidzialną nicią z „Wielkim Gatsbym” Fitzgeralda. Gatsby wierzył w „orgiastyczną przyszłość”, w zmartwychwstanie dawnej miłości, w to, że można okpić diabła, robiąc z nim interesy. Marlowe wierzył, że w mrocznym świecie bogaczy bez skrupułów, bandytów ustalających reguły i ofiar ubijanych za garść dolarów albo na wszelki wypadek znaleźć można honor, lojalność i przyjaźń. Obaj głęboko się mylili. ©

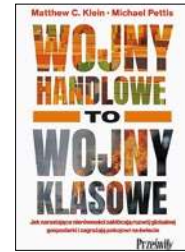
NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Szkice o kulturze polskiej, a w istocie wielka opowieść w obronie sensu istnienia Polski i fundamentu, którym jest jej wielka literatura. A wszystko to w cieniu Rosji i z tęsknym spojrzeniem ku sacrum. Do czytania po wielokroć.



PIOTR NOWAK
„AKCENT TYPOWO POLSKI”
PIW

Same herezje: potęgę gospodarcze wmuszają innym produkty kosztem nadmiernego zadłużenia kupujących, Niemcy przerzucają swe kłopoty na innych w UE, USA powinny być mniej otwarte na obcy kapitał. Fascynujące.



M.C. KLEIN, M. PETTIS
„WOJNY HANDLOWE TO WOJNY KLASOWE”
PRZEŚWITY

Nowa książka jednego z ciekawszych współczesnych twórców fantastyki (rekomendowałem jego powieści „Stacja centralna” i „Ziemia nieświęta”). „Neom” to opowieść o pełnym myślących maszyn świecie przyszłości.



LAVIE TIDHAR
„NEOM”
ZYSK I S-KA

Fabularyzowana opowieść o życiu w Markowej i zbrodni na rodzinie Ulmów i zbiór poruszających relacji świadków oraz archiwalnych fotografii. A także szkice historyczne prof. Jana Żaryna oraz Kamila Kopery.

recenzuje Piotr Gociek



KS. PAWEŁ TOŁPA
„NAZAJUTRZ W MARKOWEJ...”
RAFAEL

KOMIKS TYGODNIA:

„RONIN”
Kompletne wydanie miniserii Franka Millera wzbogacone o nową przedmowę oraz dodatkowe ilustracje i szkice. „Ronin” miksuje japońską przeszłość z amerykańską przyszłością, samurajską opowieść niesamowitą z thrillerem spiskowym. Opowiedziany jest niemal awangardowymi obrazami,



FRANK MILLER
„RONIN”
EGMONT 2024

bardzo odległymi od typowego stylu amerykańskich komiksów o superbohaterach.

Piotr Gociek

Spisienie Tuska



Jan Fiedorczuk

Pierwszy rok rządów Donalda Tuska okazał się wielkim hołdem dla doktryny „kaczyżu”. Rzekomo liberalny premier w ostatnich miesiącach nie tylko powiela najbardziej kontrowersyjne działania rządów Zjednoczonej Prawicy, lecz także wydaje się je radykalizować



O polskiej polityce mawia się, że co kilka lat, przechodząc do opozycji, mafia staje się sektą, a sekta, zdobywając władzę, przeistacza się w mafię. I faktycznie, PiS – o czym w „Do Rzeczy” pisałem miesiąc po powołaniu rządu Tuska – stał się „opozycją totalną”, niemal kopiując działania radykalnych antypisowców z lat 2015–2023 (narracja o „totalitaryzmie” nad Wisłą, manifestacje, donoszenie do Brukseli na rząd itd.). Od „sektarstwa” opozycji o wiele ciekawsze wydaje się jednak „mafijne” przeobrażenie lewico-liberalnej większości. Oto bowiem na naszych oczach tzw. obrońcy demokracji stali się dokładnie tym, co obiecywali zniszczyć. Premier jedzie walcem po

systemie sprawiedliwości, władza zamyka posłów opozycji do więzienia, Komisja Wenecka poucza rząd, opinia publiczna co tydzień dowiaduje się o kolejnych przejawach nepotyzmu, media publiczne są tubą propagandową, a sam premier straszy migrantami na granicy, wojną z Rosją i obiecuje bronić polskich rolników przed Zielonym Łądem... A to tylko kilka pierwszych z brzegu przykładów. Po roku od zmiany władzy trudno nie dostrzec, że Donald Tusk nie tylko kopiuje metody swych poprzedników, powiela ich grzechy i zaniechania, lecz także w niektórych aspektach proponuje wręcz własną, platformianą wersję „kaczyżu” na sterydach. Skąd taka przemiana? Czy chodzi tylko o chęć odwetu na znienawi-

dzonej prawicy? Czy omijanie przepisów i falandyzacja prawa to jedynie sposób odreagowania albo przyspieszenia kłopotliwych procedur? Tak się może wydawać na pierwszy rzut oka, ale sprawa jest nieco bardziej złożona.

„KACZYŻM” NA STERYDACH

Tuskowa wersja „kaczyżu” jest najbardziej dostrzegalna, rzecz jasna, w wymiarze praworządności, gdzie powiedzonko „i mafii, i sekcje” pasuje jak ulał. „Wszystko będzie zgodnie z prawem, tak jak my je rozumiemy” – zapowiadał Donald Tusk w temacie „uporządkowania sytuacji” w mediach publicznych. Słowa padły chwilę po przejęciu władzy przez koalicję cen-



FOT. HENRIK MONTGOMERY/TIT/SHUTTERSTOCK/EAST NEWS

trolewu i z perspektywy czasu należy je uznać za prorocze. Sytuacja bowiem szybko została „uporządkowana” przez anonimowych smutnych panów, którzy weszli do budynku TVP, a sama telewizja tak jak przez lata sprzyjała rządowi, tak obecnie rządowi sprzyja dalej. Proroczy charakter wypowiedzi Tuska odnosił się nie tylko do samych mediów, lecz także do całej praktyki „reform” rządu w wymiarze sprawiedliwości. Jeszcze trafniej podejście nowej władzy do tych zmian oddał minister Adam Bodnar, który – również komentując przejęcie TVP przez rząd – stwierdził, że „mamy sytuację, w której przywracamy tę konstytucyjność i szukamy jakiejś podstawy prawnej, żeby to zrobić”.

Te dwa cytaty doskonale oddają praktykę nowej władzy w kwestii praworządności: włamanie do KRS, nieuznawanie wyroków Trybunału Konstytucyjnego, „uchwałodkracja” i pomijanie procesu legislacyjnego w celu obejścia prezydenta, bezprawne działania w Prokuraturze Krajowej, tworzenie stanowisk nieprzewidzianych w prawie (p.o. prokurator krajowy), zapowiedzi dotyczące karania sędziów, którzy poszli „na współpracę” z rządem PiS, itd. Oto po ośmiu latach okazało się, że litera prawa wcale nie jest święta, że ustawa zasadnicza nie jest prawdą objawioną, a pozytywizm prawniczy jest mocno przereklamowany. Nie chodzi o wskazywanie oczywistych naruszeń prawa przez rząd, gdyż takie

narzekanie jest w gruncie rzeczy jałowe. Bardziej interesujące jest to, że Tusk z Bodnarem de facto dokonali zaprzeczenia demokracji liberalnej. Premier i minister sprawiedliwości nagle okazali się adeptami nauk Carla Schmitta, praktykując jakąś zwulgaryzowaną, prymitywną wersję decyzyzmu i wprowadzając w kraju permanentny stan wyjątkowy. To, co „uśmiechnięta koalicja” zrobiła w ledwie rok, jest przecież nie tylko kopią PiS-owskich rządów, lecz także spotęgowaniem wszelkich najbardziej kontrowersyjnych działań rządu Beaty Szydło i Mateusza Morawieckiego. Gdyż jakkolwiek ocenialibyśmy czasy Zjednoczonej Prawicy, zwykła uczciwość wymaga przyznania, że nawet w momentach największego upojenia władzą „kaczystom” nie przyszło do głowy, by włamać się do organów konstytucyjnych (KRS) czy wysłać anonimowych osiłków do przejmowania publicznych placówek (TVP). Patrząc na praktykę zaledwie pierwszego rządu Tuska, trzeba przyznać, że uczeń przerósł mistrza.

UŚMIECHNIĘTY NACJONALISTA

Najwięcej różnic między rządami Zjednoczonej Prawicy i centrolewicowej koalicji znajdziemy zapewne w polityce zagranicznej, ale i tutaj, nie licząc odblokowania KPO i spraw czysto symbolicznych, bez trudu można wskazać na wiele podobieństw.

Klasycznym przykładem „spisienia” Tuska jest kwestia obrony granicy i porzucenia prawoczościowej narracji rodem z „Zielonej granicy”. Wszak sama Agnieszka Holland obecnie oskarża rząd wręcz o „przejęcie agendy faszystów”, a prof. Magdalena Środa grzmi, że Tusk działa dokładnie niczym Kaczyński, gdyż jego podejście do imigrantów na granicy jest „barbarzyńskie i antykonstytucyjne”. Wydaje się jednak, że słynna filozof nie doszacowała działań premiera, jako że jego niedawna obietnica zawieszenia prawa do azylu znowu jest nie tyle powieleniem, ile spotęgowaniem polityki PiS. Przejawem tegoż była fala oburzenia i protestów ze strony lewicowo-liberalnych organizacji pokroju Komitetu Obrony Demokracji, Amnesty International, Stowarzyszenia Iustitia, Grupy Granica, Strajku Kobiet czy Stowarzyszenia Nigdy Więcej – wszystkie te organizacje nie

■ mogły się nadziwić, jakim cudem ten demokratyczny i europejski premier może kontynuować politykę niedemokratycznego i antyeuropejskiego PiS.

Działania wobec migrantów są jedynie przejawem szerszego trendu, gdyż oto w Donaldzie Tusku, naszym nadwiślańskim orędowniku resetu z Moskwą, obudził się główny przeciwnik Rosji i Władimira Putina. – Nie chcę nikogo straszyć, ale wojna jest realna. Musimy być gotowi – mówił premier kilka miesięcy temu i naprawdę trudno w tych zapowiedziach nie usłyszeć echa wystąpień byłego premiera Mateusza Morawieckiego oraz byłego zastępcy ministra koordynatora służb specjalnych Stanisława Żaryna.

Jeżeli cofniemy się jeszcze o kilkanaście miesięcy, gdy Donald Tusk był wciąż w opozycji, to zobaczymy, jak lider KO ścigał się z politykami PiS, kto znajduje więcej rosyjskich agentów w sejmowych ławach oponentów. To, z czego się liberalne media naśmiewały latami – rusofobia, teorie spiskowe, mesjanizm – stało się nagle stałymi punktami agendy Donalda Tuska. Jeszcze ciekawiej sprawa wygląda na obrzeżach PO, w szeregach medialno-celebryckiego zaplecza partii, gdzie takie postaci jak Tomasz Lis, Jan Piński czy Roman Giertych (obecnie już poseł PO) kolportowały najbardziej odrealnione teorie spiskowe, jak np. ta, w myśl której Kaczyński z Putinem rozważali dokonanie wspólnego rozbioru Ukrainy.

POLACY STALI SIĘ PIS-OWCAMI

Kopiuwanie „radykalnych” poczyną PiS w wymiarze sprawiedliwości to tylko jedna strona medalu, gdyż KO zapewnia kontynuację również „łagodnej” twarzy „kaczyzmu” w postaci wszelkich prospołecznych działań poprzednich rządów. Nie tylko utrzymano świadczenia, lecz także dodano nowe („Aktywny Rodzic”, „500+” podniesiono do 800 zł), wprowadzono częściowe podwyżki dla budżetówki oraz podtrzymano rekordowe wydatki na obronność. W efekcie po polityce zaciskania pasa ministra Rostowskiego nie został ślad, a deficyt za bieżący rok sięga już teraz ponad 110 mld zł (nie wspominając o rekordowych planach na rok kolejny).

Donald Tusk zatem nie tylko przejął metody działalności PiS (walec w sys-

temie sprawiedliwości), ideologiczne zapędy („uśmiechnięty nacjonalizm” na granicy z Białorusią), lecz także obszerną część samego programu. Ta sytuacja ujawnia nam pewną prawdę o rzeczywistości politycznej III RP – otóż Polakom, czego liberałowie nigdy nie przyznają na głos, podobały się rządy Kaczyńskiego.

Tuskowa wersja „kaczyzmu” jest najbardziej dostrzegalna w wymiarze praworządności

Oczywiście nie wszyscy akceptowali propagandę w TVP, nie każdemu pasował konflikt z Brukselą, nie każdy był fanem Marka Suskiego i Antoniego Macierewicza, jednak co do zasady to Polacy akceptowali ogólny kurs, który państwo polskie obrało po 2015 r. Aprobowali zakończenie doktryny „piędzy nie ma i nie będzie” oraz próbę wprowadzenia prosojkalnej korekty za rządów Beaty Szydło. Tak samo aprobowali proludowy zwrot w narracji władz państwowych, podlany może siermiężnym, ale jednak patriotycznym przekazem. Polacy akceptowali także – albo przynajmniej tolerowali – spór rządu z establishmentem sędziowskim, widząc w tym ostatnim wyłącznie kastę – państwo w państwie – do której nie mieli żadnego zaufania. Nikt w Polsce nie kiwnie palcem w obronie Trybunału Konstytucyjnego (jak wtedy, gdy jego prezesami byli Andrzej Rzepliński czy Julia Przyłębska), ale miliony Polaków położyły się Rejtanem, jeżeli ktokolwiek odważy się podnieść rękę na socjalne zdobycze ostatnich lat. Rok 2015 był cezurą w wielu kwestiach i Tusk zrozumiał to, czego nie dostrzegło wielu jego akolitów domagających się, żeby „było tak, jak było” – prostego powrotu do czasów sprzed rządów PiS już nie ma. Jeżeli we współczesnej Polsce ktoś chce rządzić, to musi to robić w stylu, jaki wyznaczył Jarosław Kaczyński.

Bez względu na sympatie partyjne Polacy w swojej masie nie chcą kulturowej rewolucji nad Wisłą, nie chcą Zielonego Ładu, nie chcą też imigrantów ani neoliberalnej polityki gospodarczej. Niedawne badania Sierakowskiego i Sadury, z któ-

rych wynika, że wyborcy KO chcą Polski bez Ukraińców, jedynie to potwierdzają – nawet elektorat samego Tuska, mimo że jest umiarkowanie liberalny w sprawach obyczajowych, zaczął przejmować niektóre „PiS-owskie” poglądy na temat państwa.

Sam PiS stracił władzę nie dlatego, że był zbyt „PiS-owski”, tylko dlatego, że był „PiS-owski” niedostatecznie. To właśnie afery z migrantami, która wybuchła pod koniec wyborczego wyścigu i obnażyła zupełną niewiarygodność Zjednoczonej Prawicy w kwestii obrony Polski przed masową migracją, przyczyniła się do ostatecznej klęski wyborczej. Tusk tymczasem od razu zaczął uderzać w „nacjonalistyczne” tony, domagając się szczelnych granic i nie wahając się wejść w spór z Brukselą (nawet jeżeli ten spór był mocno reżyserowany). Lider KO zrozumiał, że w Polsce, która po 2015 r. w znacznym stopniu stała się krajem PiS-owskim, nie sposób rządzić wbrew „kaczyzmowi”.

W CIENIU KACZYŃSKIEGO

Jest fantastyczna anegdota, którą niegdyś opowiadał Marcin Meller. Dziennikarz wspominał, jak podczas zagraicznego wyjazdu potrzebował jedynie kilkunastu minut, żeby z przypadkowo poznaną Polką zacząć rozmawiać o Jarosławie Kaczyńskim. – Jest w tym coś z jednej strony patologicznego; z drugiej strony myślałem: Co on z nami zrobił? Czy brak rozmowy o Kaczyńskim nie jest udawaniem? – rozważał Meller. I w tej niepozornej konstatacji kryje się głębsza prawda o całej III RP. Kaczyński przez lata spoczywnował się w centrum polskiej debaty politycznej. Czy u władzy, czy w opozycji – pozostaje ciągłym punktem odniesienia dla liberałów, dla lewicy, dla narodowców itd. Jego największy adwersarz, dla przykładu, nie potrafi politycznie istnieć bez PiS-owskiego szwarccharakteru. Tusk jest na tyle silny, na ile może straszyć powrotem „kaczyzmu”. Ostatni rok ujawnił jednak coś więcej. Otóż aby utrzymać się u władzy, Tusk uznał, że musi być Kaczyńskim do kwadratu. Wszystko, co PiS robił przez lata, Tusk kopiuje, podlewając sosem przesady. Czyż naśladownictwo nie jest najszczerzą formą pochlebstwa?

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Znienawidzony patriarcha prawicy narodowej



Wojciech Golonka

Jean-Marie Le Pen (1928–2025) nie osiągnął decydującego sukcesu. W swoim czasie narzucał jednak Francuzom hasła – wtedy po części prorocze, dziś paląco aktualne – oraz budował polityczny kapitał, z którego obecnie korzystają wszelkiego rodzaju suwereniści

7 stycznia. Sztuczne ognie i race rozświetlają chłodne niebo nad placem Republiki w Paryżu. Do kieliszków i kubków leje się szampan, zebrany tłum skacze i skanduje z radości. Zupełnie nieoczekiwana atmosfera jak na przypadającą właśnie 10. rocznicę rzezi w „Charlie Hebdo”, kiedy to islamistyczny terror wstrząsnął nagle Francją i światem, dokonując okrutnej zemsty na lewicowych satyrykach za karykatury Mahometa.

Spontaniczna impreza, również o lewicowej afiliacji, nie dotyczy jednak jakiegokolwiek wspomnienia redakcji „Charlie Hebdo”, choć ma w sobie coś z obrzydliwego humoru tego tygodnika, nieznanego przyzwoitości ani święto-

ści. Dziki tłum lewaków na placu Republiki tańczy tego wieczora na przystółwiovym grobie swego wroga, celebrując śmierć człowieka, który życie, karierę polityczną, a nawet osobisty honor poświęcił akurat ratowaniu Francji przed jej islamizacją. Ta za życia dość ochoczo nienawidzona postać paradoksalnie otrzymuje jednak pośmiertnie cichy hołd od sporej części francuskiej klasy politycznej, szanującej w obliczu śmierci jej niepodważalną miłość do Francji i nieustępliwość proroka, którego głos, skądinąd chwilami skandaliczny, był wyszydzany. Odszedł właśnie Jean-Marie Le Pen, burzliwy patriarcha francuskiej prawicy narodowej, pierwowzór również dla ruchów narodowych współczesnej

Europy. Ale nie umarł jego polityczny testament suwerennego państwa narodowego, który ma nawet obecnie znacznie większe szanse na urzeczywistnienie w osobie jego córki.

SYN NARODU

Poruszając temat spuścizny polityka tego pokroju, nie sposób nie przywołać tu jego biografii, tłumaczącej w dużej mierze jego ścieżkę, osobowość i otaczającą ją skandale. Co znaczące, 96-letni Jean-Marie Le Pen był ostatnim żyjącym deputowanym IV Republiki, zmierzchniej w 1958 r. Jego śmierć kończy zatem pewną epokę i bez wątpienia jego nazwisko należy do czołówki najważniejszych francuskich polityków V Republiki, obok Charles’a de Gaulle’a czy François Mitterranda, choć sam Le Pen nigdy nie sprawował władzy i jako taki mężem stanu oczywiście nie był.

Jean – swe imię miał później zmodyfikować na dobrotliwie i ludowo brzmiące Jean-Marie, ponoć zabiegając o względy katolickiego elektoratu – pochodził z nadmorskiej wioski Trinité-sur-Mer w Bretanii, gdzie urodził się w prostej rodzinie rybaka i szwaczki. Miał 14 lat, gdy jego ojciec zginął tragicznie na morzu, w wyniku wybuchu miny morskiej. Jako półsierota uzyskał wówczas status „wychowanka narodu” i związane z nim świadczenia wychowawczo-edukacyjne. Natomiast sam Le Pen ochoczo określał siebie w młodości mianem „syna narodu”. W rzeczy samej, dla tego narodu w 1944 r., w wieku 16 lat, próbował wstąpić do formujących się na terenie wyzwolonej Francji nowych sił zbrojnych, jednak został odrzucony z powodu braku pełnoletniości. W 1948 r. podjął studia na prestiżowym paryskim wydziale prawa, gdzie uzyskał licencjat, angażując się przy tym w różne stowarzyszenia i korporacje studenckie. Tam uwydatnił się jego niepospolity talent oratorski i prawicowe poglądy bliskie środowisku Action Française.

W czasie wojny w Indochinach zaciąga się do wojska, zostaje komandosem i bierze udział w końcówce wojny jako podporucznik w osławionym I regimencie spadochroniarzy Legii Cudzoziemskiej. Po wojnie dołącza do ulotnych formacji prawicowych, dzięki którym w 1956 r., w wieku 27 lat, zostaje najmłodszym

■ deputowanym Francji. W czasie wojny algerskiej uzyskuje zgodę parlamentu na ponowną służbę w wojsku – będzie oficerem wywiadu odpowiedzialnym m.in. za przesłuchania terrorystów z algerskiego Frontu Wyzwolenia Narodowego. Stąd późniejsze, towarzyszące jego działalności politycznej niekończące się spekulacje i oskarżenia o to, czy torturował więźniów.

Indochiny i Algieria, a także ekspedycja sueska, w której również brał udział, to w rzeczywistości koniec pewnej Francji, huczny upadek francuskiego imperium kolonialnego, poprzedzający zjawisko masowej imigracji, najpierw pracowniczej, następnie po prostu społecznej, z byłych krajów imperium do Francji metropolitalnej. W tym właśnie klimacie, w 1965 r., jeszcze jako deputowany kieruje kampanią wyborczą prawicowego mecenasa Jeana-Louisa Tixiera-Vignancoura, który zasłynął obroną puczystów z francuskiej armii w Algierze. Jeśli Tixier-Vignancour uzyskał jedynie 5 proc., to młody Le Pen zyskiwał polityczne i organizacyjne doświadczenie, tracąc jednocześnie w tej kampanii oko – aż do początku lat 80. będzie występował z opaską na lewym oku, przedstawiając się jednocześnie jako polityczny korsarz.

FRONT NARODOWY

Na razie jednakże Le Pen żyje z działalności fonograficznej. Jego sytuacja zmienia się w 1972 r., kiedy na skutek dążeń różnych środowisk prawicowych staje na czele nowo powstałego Frontu Narodowego, który od tamtego czasu będzie wyznaczał jego właściwą karierę, a zarazem stanie się jego spuścizną polityczną. Program Le Pena to przede wszystkim twardy i bezlitosny antykomunizm, naznaczony wybitnym talentem oratorskim ludowego trybuna, oraz coraz mocniejsze podnoszenie alarmu wobec masowej imigracji, zwłaszcza z krajów muzułmańskich, która zdaniem lidera FN trwale zmodyfikuje Francję: kulturowo, obyczajowo, nawet w tak prozaicznych kwestiach jak ubiór... Po zawarciu traktatu z Maastricht w 1992 r. Le Pen do swoich poglądów dorzuci obronę francuskiej suwerenności jako takiej – politycznej, gospodarczej (i rolnej), monetarnej. Stąd jego ideał polityczny łatwo można by podsumować jako obronę suwerennego państwa narodowego.

Problemem Le Pena jest jednak jeszcze wówczas brak należytej rozpoznawalności. Z pomocą przyjdzie mu tu sam prezydent Mitterand. Celem wyborczego rozegrania prawicy umożliwi on przedstawienie Francuzom Le Pena z jego poglądami przez państwowe media, doprowadzając tym samym do bardzo znacznego rozrostu Frontu Narodowego. Istotnie, Le Pen chce sfederować najsilniejsze odłamy francuskiej prawicy nieodnajdujące się w gaullizmie. Stąd możliwa wielość frakcji we Froncie Narodowym i pole do stosunkowo łatwego etykietowania jego ruchu jako „skrajnej” prawicy. Choć – ogólnie rzecz biorąc – nie byłoby przesadne porównanie ówczesnego Le Pena z jego preferencją narodową do np. Donalda Trumpa z jego agendą „Po pierwsze Ameryka”, a także z jego poglądami pro-life, niepoprawnością polityczną i tym, jaką wrogość wywołuje on w mediach. Tenże Jean-Marie Le Pen cieszy się mimo wszystko w tych warunkach jawnej wrogości medialnej, w połowie lat 80., poparciem rządu 10 proc., co z jednej strony umożliwia mu, od 1984 r., zasiadanie w Parlamencie Europejskim

Francuzi poznali Le Pena za pośrednictwem mediów państwowych z inicjatywy François Mitteranda. Chodziło o polityczne rozegranie prawicy

(gdzie pozostanie aż do 2019 r.), a także, w 1986 r., w jedynych wyborach do parlamentu za czasów V Republiki opartych na zasadzie proporcjonalności, wprowadzenie do parlamentu 35 deputowanych (tyle samo co komuniści).

RADYKALIZACJA CZY WZROST?

Lata 90. to dla Le Pena nowe wyzwania polityczne związane z postępującą po Maastricht integracją europejską, wizerunkowe porażki i stygmatyzacja, a zarazem ogromny sukces życiowy na zakończenie tej dekady, kiedy w 2002 r. zakwalifikuje się do drugiej tury wyborów prezydenckich, plasując się za

Jakiem Chirakiem i pokonując socjalistycznego premiera Lionela Jospina. Wywołanie tym samym we Francji wielkiej dwutygodniowej hysterii między obiema turami, z bojkotem debaty wyborczej przez Chiraca włącznie, nie było zbyt trudne.

Otóż jeszcze w 1987 r., wobec rosnącej popularności Le Pena, na dość kuriozalne pytanie dziennikarza dotyczące historyków rewizjonistów lider FN odpowiedział ogólnikowo, wskazując, że komory gazowe stanowią „jedynie pewien szczegół drugiej wojny światowej”. Od razu zdał sobie sprawę z wizerunkowej katastrofy, wycofywał się potem z tych słów i za nie przeproszał (a także w ramach prowokacji w przyszłości do nich wracał).

Wszystko to na nic. Do końca życia pozostanie przyklejona mu łątka antysemitów, a w przypadku bardziej hojnie serwowanych epitetów – nazistów i rewizjonistów. Le Pen nie miał zresztą żadnej taryfy ulgowej ze strony mediów, skądinąd pobłażliwie rozgrzeszających wpadki swych ulubieńców (w tym możliwy antysemityzm na francuskiej islamolewicy). W jego przypadku wszystko było wykorzystywane, byle uczynić zeń człowieka trędowatego, politycznie izolowanego kordonem sanitarnym. Le Pen z kolei nie bardzo stronił od prowokacji i skandali, a po części prawdopodobnie lubował się on – elokwentny i wykształcony, ale będący wciąż synem ludu i twardziellem po służbie w Legii Cudzoziemskiej, niezginającym karku przed kulami wroga – w rozszarpieniu politycznie poprawnych „burżujów” (przy czym bycie enfant terrible francuskiej polityki nie przeszkadzało mu utrzymywać, choć bez rozgłosu, przyjacielskich stosunków z niektórymi celebrytami – takimi jak aktor Alain Delon, którego poznał jeszcze w trakcie służby w Indochinach). Ta krnąbrność i bezczelność pewnego siebie ludowego trybuna były rewersem jego przydatnej w polityce nieugiętości właściwej Bretończykom, słynącym z bycia twardogłowym (stąd i jego przydomek Menhir – po bretońsku: wysoki kamień – odsyłający do celtyckich pionowych głazów), a także poważnym obciążeniem, nie tylko wizerunkowym. Choć Le Pen był ogromnie popularny wśród

ludzi, o których coraz bardziej imigranka, technokratyczna i unijna Francja po prostu zapomniała lub nimi jawnie gardziła, to swymi ekscesami zniechęcał poszczególnych współpracowników i działaczy, którzy zarzucali mu, że szkodził własnym ideałom bardziej, niż pomagał. W końcu, będąc już od 2011 r. tylko honorowym przewodniczącym Frontu Narodowego, odtąd pod wodzą jego córki Marine, swym niewyparzonym językiem doprowadził wręcz do wykluczenia z własnej partii, w ramach przeprowadzanej przez córkę systematycznej i daleko idącej dediabolizacji tego obozu politycznego, ze zmianą nazwy wyłącznie na Zjednoczenie Narodowe. Na jego korzyść należy jednak zauważyć, że będąc przedwczesnym krytykiem masowej imigracji i globalizmu, byłby on i tak zawsze demonizowany, jak inni jemu podobni, niezależnie od pretekstu. Z kolei jego polityczna spadkobierczyni i córka zarazem, jakiegokolwiek wysiłki by podejmowała, jakichkolwiek wolt ideowych względem ojca by dokonywała, pozostanie wciąż przydatnym dla establishmentu straszakiem ludu w postaci „skrajnej prawicy”, w tym wypadku z doskonale ukutym już straszącym nazwiskiem, a dla odwiecznie wojujących z faszyzmem środowisk lewicowych – wręcz konieczną racją ich bytu.

HOŁDY „MENHIROWI”

Prawdą jest, że Marine Le Pen rzeczywiście powiększyła poparcie dla obozu narodowego (ku radości ojca), z historycznym zwycięstwem ubiegłego lata, kiedy wprowadziła aż 89 deputowanych do parlamentu, jednakże nie jest oczywiste, czy kiedykolwiek sięgnie ona po władzę w hermetycznym systemie jednomandatowych okręgów wyborczych, który od dekad dyskryminował Front Narodowy (poza rokiem 1986 r., kiedy z tego systemu zrezygnowano). Marine Le Pen pozostawała także wówczas wymarzoną kontrkandydatką w drugiej turze wyborów – to w dużej mierze dzięki niej i jej nazwisku Emmanuel Macron bez trudu został za pierwszym razem prezydentem, dostawszy się do drugiej tury, i zapewnił sobie w podobny sposób reelekcję. Zawiązał się bowiem wtedy tzw. front republikański pod hasłem: „Wszyscy razem, byle nie Le Pen”. Jego



W roku 1984 Jean-Marie Le Pen został posłem do Parlamentu Europejskiego

FOT. BRIDGEMAN IMAGES-RDA/FORUM

potencjalni następcy najprawdopodobniej będą liczyć na podobny zabieg. I poniekąd kolejne starty Marine Le Pen w wyborach prezydenckich gwarantują, że żadna prawica nie odzyska Pałacu Elizejskiego. Jednak ryzyko potencjalnej porażki z Marine Le Pen przestało być już znikome, a sam kordon sanitarny został w ostatnich latach częściowo przerwany. Potwierdza to obecna sytuacja polityczna, w której być albo nie być kolejnych rządów Emmanuela Macrona zależy wyłącznie od dobrej woli i kalkulacji politycznych obozu Marine Le Pen, mogącego w każdej chwili przegłosować ze skrajną lewicą kolejne wotum nieufności wobec rządu. Tak było w przypadku premiera Michela Barniera, unijnego technokraty o prawicowym zabarwieniu, który zignorował czerwone linie Zgromadzenia Narodowego w projekcie ustawy budżetowej na 2025 r.

To kruche położenie prezydenta i jego parlamentarnego centrum są zapewne jednym z powodów, dla których Emmanuel Macron oraz nominowany przez niego premier, ale polityk starej daty, Michel Barnier pośpiesznie oddali na swój sposób cześć pamięci zmarłego Le Pena. Pierwszy, rychło składając kondolencje jego bliskim, zaznaczył wobec całego kraju, że Le Pen był „postacią historyczną skrajnej prawicy, która odgrywała rolę w życiu publicznym naszego kraju przez przeszło 70 lat, której osądzenie należy

teraz do historii”. Z kolei obecny premier, z nieco tautologicznymi akcentami, aby powiedzieć coś i zarazem nie powiedzieć za wiele, dodawał: „Ponad polemikami, które były jego ulubioną bronią, i starciami koniecznymi co do istoty Jean-Marie Le Pen był jedną z postaci francuskiego życia politycznego. Zwalczając go, wiadomo było, jakim był adwersarzem”.

Jeanowi-Marie Le Penowi dostawało się za wypowiedzi, które mogły szokować, i doraźną porywczość. Ale wiadomo, że istotą jego poglądów politycznych, które tak zawzięcie zwalczano, nie była rzekoma ksenofobia lidera FN – ona stanowiła tylko pretekst do ataków na niego – a właśnie umiłowanie własnego narodu i państwa narodowego w obliczu zagrożenia ze strony masowej imigracji oraz galopującego globalizmu. Choć sam nie osiągnął decydującego sukcesu, to ewidentnie narzucał hasła, wówczas po części prorocze, dziś pałaco aktualne, oraz budował polityczny kapitał, z którego korzystają wszelkiego rodzaju suwereniści. A jeśli należy strzec się jego błędów, to jeszcze bardziej trzeba mieć na uwadze, że w politycznych starciach, w których stawką jest po prostu wszystko, odwaga i niezłomność są pierwszymi cnotami, czego niedawne zwycięstwo Donalda Trumpa stanowi kolejne potwierdzenie. Za tę życiową lekcję i dokonania Le Penowi winni są wdzięczność nie tylko Francuzi.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Piotr Semka

Nie ma wątpliwości, że imigranci, szczególnie ci z krajów muzułmańskich, na utrzymanie paradygmatu postrzegania Holokaustu jako największej zbrodni dziejów świata nie mają najmniejszej ochoty. I zjawisko to dotknie nie tylko Niemcy

Posiedzenie parlamentu landu Hamburg 20 grudnia 2024 r. nie kojarzyło się nikomu ze specjalnie ekscytującym widowiskiem.

Kolejni deputowani wygłaszali swoje opinie na temat budżetu landowego na kolejne lata. I nagle emocje zaiskrzyły. Oto posłanka partii Zielonych, urodzona w Afganistanie muzułmanka Zohra Mojadeddi, rocznik 1969, odeszła od głównego tematu obrad i prostodusznie stwierdziła, że chciałaby złożyć osobiste oświadczenie na temat konfliktu na Bliskim Wschodzie. I się poskarżyła: „Jak mogę nauczyć moje dzieci odwagi moralnej, jeśli ja sama nie mam odwagi w publicznej debacie zabrać głosu w obronie pokoju w Strefie Gazy i na Zachodnim Brzegu Jordanu? Gdy nie mam odwagi wypowiedzieć się przeciwko toczonej tam Vernichtungskrieg”.

Na sali natychmiast wybuchła wrzawa. Aby zrozumieć nagły przypływ emocji, trzeba wiedzieć, że określenie „Vernichtungskrieg”, czyli po polsku „wojna na wyniszczenie”, używane jest wyłącznie do taktyki połączonych sił Wehrmachtu i oddziałów specjalnych SS, które w latach 1941 i 1942, posuwając się w głąb Związku Sowieckiego, mordowały ludność żydowską.

Użycie przez posłankę o imigranckich korzeniach właśnie tego określenia na zdezawuowanie taktyki Państwa Izrael wobec ludności Gazy przyjęte zostało przez wielu deputowanych jako świeckie bluźnierstwo. Głośno protestowały chadecka partia CDU i AfD. Deputowany Alternatywy – notabene o polskich korzeniach – Krzysztof Walczak wypominał

z trybuny parlamentu w Hamburgu, że wojnę zainicjował Hamas, a nie Izrael. Z kolei lider grupy parlamentarnej CDU Dennis Thering określił, że wyskok posłanki Zielonych to „dno”, i podkreślił, że w Hamburgu nie powinno być miejsca na antysemityzm. W tej sytuacji przewodniczący hamburskich Zielonych Dominik Lorenzen oficjalnie przeprosił wszystkich, którzy poculi się urażeni, i podkreślił, że wypowiedź deputowanej nie odzwierciedla linii ugrupowania. Po naradzie komisji regulaminowej pani Mojadeddi otrzymała naganę.

Co jednak istotne, niektórzy deputowani hamburscy wskazywali, że nie można mówić o jakimś przypadkowym lub nieświadomym użyciu określenia „Vernichtungskrieg” na zasadzie nieporozumienia. Zohra Mojadeddi przybyła do Niemiec w połowie lat 80. i ukończyła tutaj część szkoły podstawowej, potem przeszła szkołę średnią i wreszcie studiowała ekonomię na jednej z wyższych szkół hamburskich, a od 2000 r. pracuje jako starszy partner klienta dla jednej z międzynarodowych firm konsultingowych w zakresie zarządzania. Krótko mówiąc – posłanka o afgańskich korzeniach, która została wyedukowana przez system oświaty Republiki Federalnej Niemiec, teoretycznie powinna rozumieć wagę pamięci o wyjątkowości Holokaustu, w którym III Rzesza dokonała masowego mordu na Żydach. A jednak jej osobiste zaangażowanie na rzecz Palestyńczyków w Gazie kazało jej złamać społeczne tabu i użyć określenia – zdawałoby się – zarezerwowanego wyłącznie dla załogi Żydów do wyrażenia swoich emocji na temat wojny prowadzonej przez Izrael.

JAK SŁOŃ W SKŁADZIE PORCELANY

Incydent w parlamencie landowym w Hamburgu na nowo rozgrzał wątpliwości, którą spora część Niemców ma wobec idei nowej polityki historycznej RFN. Idea ta pojawiła się wraz z powstaniem w końcu 2021 r. koalicji SPD-Zieloni-FDP, czyli tzw. koalicji światła drogowych. W założeniach problemowych nowego rządu Olafa Scholza pojawił się pewien ważny postulat. „Niemiecki rząd chce poszerzyć kulturę pamięci o historię kolonialną, historię demokracji i migracji”.

Twarzą tej inicjatywy była wieloletnia współprzewodnicząca partii Zielonych Claudia Roth. W nowym gabinecie Olafa Scholza zajęła ona stanowisko ministra stanu w urzędzie kanclerskim do spraw kultury i mediów. To w Polsce bardzo często utożsamia się ze stanowiskiem ministra kultury. Jednym z priorytetów misji ministerialnej Claudii Roth było otwarcie instytucjonalnej kultury Niemiec na zadośćuczynienie krzywdom kolonialnym z lat 1877–1918 wyrządzonym przez dawne Cesarstwo Niemieckie oraz wprowadzenia do świadomości historycznej – obok Holokaustu i pamięci o totalitaryzmie NRD – także pamięci o dziedzictwie kolonializmu.

Umowa koalicyjna rządu Scholza przewidywała wręcz „reformę kultury pamięci”, która ma uwzględnić historię ofiar kolonializmu i historię migrantów, którzy przybyli do Niemiec. W lutym 2024 r. biuro pani minister opublikowało 43-stronicowy projekt zawierający

Czy Gaza

konkretne wskazania dla kuratoriów oświaty i instytucji kultury. Według raportu dominujące przesłanie powinno się opierać na refleksji pięciu równorzędnych nurtów – historii nazizmu, historii reżimu NRD, historii przeszłości kolonialnej w skali globalnej, historii demokracji oraz dziejach migracji.

Gdy tylko dokument ukazał się na stronie urzędu Claudii Roth, rozpętała się ożywiona dyskusja. Szefowa instytucji zajmującej się historią Holokaustu i czołowi badacze tego okresu historii Niemiec opublikowali list zbiorowy, w którym sformułowano obawy przed nowymi propozycjami resortu kultury. W liście przeczytać można było: „Nowe rany zbiorowej pamięci historycznej RFN zainicjują zmiany paradygmatu, które doprowadzą do fundamentalnego osłabienia kultury pamięci. Stajemy wobec groźby odejścia od wieloletniego konsensusu, że zbrodnie nazistowskie nie mogą być relatywizowane”. Sygnatariusze listu przestrzegli, że propozycje Claudii Roth

nie dość wyraźnie akcentują centralne znaczenie zbrodni Shoah dla świadomości historycznej Niemców. Dlatego nowy rządowy projekt może być postrzegany jako akt historyczno-rewizjonistyczny w sensie umniejszania zbrodni nazistowskich.

Skąd tak ostre reakcje przedstawicieli – nie tylko badaczy Holokaustu, lecz także organizacji żydowskich w RFN? Rzecz w tym, że odpowiedzialność moralna Niemiec za Holokaust przekładała się nie tylko na bardzo znaczącą rolę nauczania o zagładzie Żydów w szkolnictwie RFN, lecz także na praktykę kolejnych gabinetów w Bonn, a potem w Berlinie. Każdy niemiecki kanclerz rytualnie odwiedzał miejsce pamięci w Instytucie Yad Vashem w Jerozolimie, aby zapalić światło pamięci. Gest Willy'ego Brandta, który klęknął przed warszawskim pomnikiem Bohaterów Getta w Warszawie w 1970 r., stał się ikoną tożsamości RFN, a potem zjednoczonych Niemiec. Każdy

zaznali Arabowie, na czele z Palestyńczykami.

W tej sytuacji działacze organizacji żydowskich obawiają się, że plany nowej polityki pamięci RFN zdetrionizują pamięć o Shoah z pozycji głównego wyznacznika tożsamości historycznej Niemców do roli tylko jednego z pięciu głównych tematów zajęć edukacyjnych i kulturalnych.

NOWE GŁOSY

List protestacyjny szefów instytucji zajmujących się pamięcią o Holokauście bynajmniej nie skonfundował zwolenników pluralizacji nowej polityki historycznej RFN. W obronie planów minister Claudii Roth wystąpił np. historyk Tahir Della, który jest rzecznikiem inicjatywy „Czarni ludzie w Niemczech” (ISD), organizacji reprezentującej osoby czarnoskóre w RFN, która np. została zaproszona przez biuro pani Roth do skonsultowania swoich propozycji.

jedno, przypominając drugie” – wskazuje wykładowca z Berlina. I dalej: „Każdego roku pojawiają się nowi Niemcy, rodzą się nowi Niemcy, więc nierealistyczne byłoby myślenie, że zbiorowa pamięć to coś stabilnego i stałego, coś, co zostało uzgodnione raz na zawsze i tak już będzie”.

To, że Niemcy pochodzenia imigranckiego formalnie uznają dominację pamięci o Holokauście jako element zbiorowej tożsamości nad Renem i Sprewą, pokazały ubiegłoroczne demonstracje propalestyńskie i strajki okupacyjne na niektórych niemieckich uczelniach. Porównywanie na nich działań armii izraelskiej wobec palestyńskich cywili było wręcz nagminne. A nazywanie posunięć rządu Beniamina Netanjahu nowym Holokaustem na Palestyńczykach to powtarzający się stały motyw tych demonstracji.

To zjawisko może także niedługo pojawić się w Polsce. W pierwszych

to nowy Auschwitz?

akt przemocy antysemickiej mobilizował wielotysięczne demonstracje protestów.

Niemcy zawsze przykładły dużą wagę do eksportu broni do Izraela z podkreśleniem, że jego bezpieczne istnienie jest ich racją stanu. RFN wręcz szczyciła się, że jej kultura pamięci dotycząca Shoah jest wzorcowa w skali świata. Niemcy z pozycji eksperta od pamięci w ostatnich dwóch dekadach upominali niektóre państwa Europy Środkowej, w tym Polskę, że nie potrafią do końca „przepracować” swoich przypadków udziału w zagładzie Żydów.

Z tą praktyką pamięci o zagładzie od paru dekad zaczęła stać w sprzeczności praktyka nauczania szkolnego w szkołach o przewadze ludności imigranckiej, zwłaszcza tej z krajów arabskich lub muzułmańskich. Niemieccy nauczyciele stanęli wobec szokującego dla nich nastawienia młodzieży o korzeniach imigranckich, która żądała, by pamięć o Holokauście była zrównoważona z mitologią krzywd, których od Izraela

Tahir Della z ogromnym uznaniem przyjął włączenie historii niemieckich kolonii do zbiorowej kultury pamięci. Podkreślił, że nie chodzi o „żadną rywalizację ofiar”. Dodał: „Potrzebujemy szerszego dyskursu, który połączy kwestie zagłady Żydów, Sinti i Romów z pamięcią o zbrodniach reżimu NRD, a także zbrodni kolonializmu. Te doświadczenia historyczne powinny być postrzegane jako przeplatające się historie”. Jednocześnie Tahir Della wzywa, by „wyzwania związane ze zmianą klimatu, migracjami, nierównościami w handlu i zjawisko rasizmu uznawać za bezpośrednie konsekwencje europejskiego kolonializmu i uświadamiać to niemieckim uczniom”.

Innym obrońcą idei pani Claudii Roth jest Sebastian Conrad, profesor historii postkolonialnej na Wolnym Uniwersytecie Berlina. Ogłasza on, że trudno dostrzec w nowej ramowej koncepcji kultury pamięci jakiegokolwiek bagatelizowanie nazistowskich zbrodni. „Nie podzielam założenia, że relatywizujemy

dniach stycznia bieżącego roku na pomniku deportacji Żydów do obozów zagłady na tzw. Umschlagplatzu w Warszawie nieznani sprawcy wymalowali napis: „Warsaw 1943 = Gaza 2025”. Użycie angielskiej nazwy Warszawy albo może oznaczać chęć dotarcia do zagranicznych turystów odwiedzających to miejsce związane z zagładą Żydów, albo może świadczyć o zagranicznym sprawstwie tej relatywizacji powstania w warszawskim getcie. Nie ma jednak wątpliwości, że imigranci, szczególnie ci z krajów muzułmańskich, na utrzymanie paradygmatu postrzegania Holokaustu jako największej zbrodni dziejów świata nie mają najmniejszej ochoty. I zjawisko to dotknie nie tylko Niemcy, lecz także wszystkie kraje, w których islamscy imigranci stanowić będą coraz większą grupę pełnoprawnych obywateli. I właśnie stąd biorą się bardzo poważne obawy organizacji żydowskich nie tylko w Europie, lecz także na całym świecie.

Sekret zdrowia psychicznego. Światopogląd?



Krystian Kratiuk

Bardzo wiele mówi się dziś w mediach tradycyjnych i społecznościowych o zdrowiu psychicznym. Wynika to zarówno z uzasadnionych obserwacji rosnącej skali problemu zaburzeń lękowych, depresji i innych dolegliwości o podłożu psychicznym, jak i z mody, którą co poniektórzy nazywają „kulturą psychoterapeutyczną”. Tymczasem kolejne badania udowadniają, że problemów u niemałej grupy można by uniknąć. Szczepionką okazuje się bowiem... chrześcijański światopogląd

Nie, wcale nie chodzi o to, że ludzie wierzący w Boga nie cierpią na problemy psychiczne i nie zapadają na choroby tego typu – takie stwierdzenie byłoby absurdalnym kłamstwem. Nie chodzi też o to, że osoby wierzące borykające się z problemami psychicznymi dzięki wierze w Boga nie potrzebują pomocy specjalistów i wystarczy im sama modlitwa. Ten pogląd również pozostaje skrajnie niemądry, choć czasami można spotkać się z nim u bardzo dobrodusznym, religijnym ludzi.

Badania, które za chwilę przytoczę, udowadniają co innego – że ludzie o światopoglądzie chrześcijańskim po prostu lepiej sobie radzą z różnymi sytuacjami, które mogą wywołać zaburzenia czy choroby z zakresu psychopatologii. A te mogą powstać nie tylko w wyniku działania czynników biologicznych, lecz także w wyniku traum, stresów, niskiego poczucia własnej wartości, błędnych strategii radzenia sobie z emocjami, z czynników środowiskowych i społecznych (sytuacja życiowa, używki, długotrwały stres), a nawet z czynników

somatycznych – chociażby przewlekłych chorób.

JAK TEGO UNIKNĄĆ?

Problem dotyczy oczywiście nie tylko Polski, lecz także całego zachodniego świata. Szacuje się, że w krajach Europy Zachodniej oraz USA już częściej niż co piąty dorosły może borykać się z tego typu trudnościami. A im młodsze pokolenie – tym gorzej. W USA już co trzecia osoba do 35. roku życia cierpi na jakiś rodzaj choroby psychicznej. Nie sposób nie dostrzec tu korelacji z gwałtownym problemem sekularyzacji społeczeństw (starsze pokolenia częściej wierzą w Boga), ale opierając się wyłącznie na tej statystyce, nie wyczerpiemy tematu.

Doktor George Barna, współzałożyciel Centrum Badań Kulturowych na Uniwersytecie Chrześcijańskim w Arizonie, wskazuje, że część szeroko rozpoznawanego problemu złego samopoczucia psychicznego w USA ma swoje źródła w kryzysie duchowym. Zdaniem naukowca wielu ludzi poszukujących pomocy w postaci leków i terapii często „rozwiązuje nie ten problem, który jest

faktycznym źródłem ich trudności”. Doktor Barna na podstawie badań nad dorosłymi często borykającymi się z lękiem, depresją i różnymi obawami sugeruje, że te trudności mogą wynikać z niezdrowego światopoglądu, który tylko nasila niepokój, depresję, lęk, a nawet myśli samobójcze. Według uczonego dla wielu osób lepszym rozwiązaniem niż leczenie psychologiczne może być przyjęcie bardziej zrównoważonego systemu przekonań. Uczony podkreśla jednak, że oczywiście nie wszystkie problemy psychiczne mają źródło w światopoglądzie. Część osób cierpi z powodu zaburzeń wynikających z uwarunkowań chemicznych, genetycznych, fizycznych lub innych schorzeń. Niemniej w przypadku wielu z nich brak świadomości wpływu szkodliwych przekonań i schematów myślowych może prowadzić do kosztownych, nieefektywnych, a niekiedy obciążających diagnoz i terapii. Orzeczenie do blokowania kolejek do specjalistów innym potrzebującym.

Z badań dr. Barny i jego współpracowników wynika interesujący wniosek: na zaburzenia i choroby psychiczne bardziej



FOT. ADAM BIESTOCK

odporne są – oraz gdy już na nie zapadają, lepiej sobie z nimi radzą – osoby o – jak nazywają to w ewangelickim Centrum Badań Kulturowych – „światopoglądzie biblijnym”.

Światopogląd ów, co nietrudno zgadnąć, opiera się na postrzeganiu rzeczywistości w oparciu o nauki i zasady wynikające z Pisma Świętego. Osoby o takim światopoglądzie starają się stosować biblijne nauki i wartości do wszystkich aspektów swojego życia – od moralności i etyki, do decyzji życiowych, relacji z innymi ludźmi, swojej pozycji w społeczeństwie. Jak widać, chodzi o głębokie przekonania religijne, a nie tylko „coniedzielne chodzenie do kościoła”.

Ekipa dr. Barny wyselekcjonowała kilkanaście takich zasad. Oto kilka kluczowych:

- Istnienie Boga Stwórcy. Osoby o „światopoglądzie biblijnym” wierzą, że istnieje jeden wszechmocny, wszechwiedzący Bóg, który stworzył świat i jest jego nadrzędnym władcą. Wierzą, że Bóg jest miłosierny, sprawiedliwy i kocha ludzkość;
- Obiektywna prawda moralna. Osoby, o których mowa, przyjmują, że istnieje

absolutna prawda moralna, która nie jest zależna od osobistych preferencji czy sytuacji, a moralność wynika z Bożych przykazań. Dzięki temu osoby o tym światopoglądzie kierują się w życiu jasno określonymi wartościami moralnymi:

- Cel i sens życia. Osoby wyznające „światopogląd biblijny” przyjmują, że życie człowieka ma wyższy cel, związany z poznaniem Boga, miłowaniem Go i służeniem Mu. Wierzą przy tym, że ich życie ma głęboki sens i jest częścią Bożego planu;
- Wieczne istnienie i odrzucenie reinkarnacji. Ze „światopoglądu biblijnego” wynika, że każdy człowiek ma jedno życie i po śmierci jego przeznaczenie zależy od relacji z Bogiem. Wiara ta zakłada, że po śmierci człowiek trafia do wieczności, gdzie czeka go nagroda lub kara, a nie reinkarnacja czy cykl odrodzeń;
- Nadzieja na zbawienie. W „światopoglądzie biblijnym” ważne miejsce zajmuje nadzieja na zbawienie, które według nauki chrześcijańskiej możliwe jest dzięki wierze w Jezusa Chrystusa. Chrześcijanie wierzą, że śmierć i zmartwychwstanie Jezusa zapewniły możliwość wiecznego życia z Bogiem;

– Oparcie się na Piśmie Świętym jako na autorytecie. „Światopogląd biblijny” przyjmuje Biblię jako główne źródło prawdy i moralności. Osoby o takim podejściu starają się stosować nauki Pisma Świętego w codziennym życiu, uważając jego słowa za Boże przesłanie, które ma zastosowanie do współczesnych wyzwań i problemów.

Osoby o innym światopoglądzie niż ten odrzucają istnienie sensu i celu życia ludzkiego (średnio siedem osób na 10 w wieku poniżej 40 lat) oraz istnienie wszechmogącego Boga (trzy osoby na 10), a także zaprzeczają istnieniu prawdy obiektywnej (zaledwie 13 proc. osób z pokolenia Z i 22 proc. milenialsów wierzy w istnienie absolutnej prawdy moralnej) i wierzą w reinkarnację (wśród badanych Amerykanów większość osób poniżej 40. roku życia wierzy w możliwość reinkarnacji!), co wywołuje niepewność i stres. W efekcie osoby, którym brakuje celu, mogą zacząć kwestionować sens życia i możliwości doświadczania radości, szczęścia, spełnienia i zadowolenia. Odrzucenie obiektywnej prawdy może prowadzić do poczucia niepewności, co zwiększa ryzyko lęku, depresji i strachu. Przebadane przez dr. Barnę osoby niewierzące w Boga częściej zmagają się ze stresem związanym z brakiem wiary w miłosiernego Boga – ponad 80 proc. z nich doświadcza regularnie niepokoju, depresji i strachu.

Czym jeszcze charakteryzują się osoby odrzucające „światopogląd biblijny”? Wymieńmy hasłowo: przyjmowanie innych źródeł moralnych niż Biblia – 74 proc. osób z niepokojem, depresją lub strachem. Wiara w duchy w zwierzętach, roślinach, wodzie – 71 proc. Ignorowanie zasad moralnych dla osiągnięcia szczęścia – 52 proc. Komunikacja ze zmarłymi przez medium – 46 proc. Unikanie interakcji z ludźmi o innych poglądach – 43 proc. „Matka Ziemia” jako „przewodnik życiowy” – 40 proc.

CO Z TEGO WYNIKA?

Jak piszą autorzy opracowania, badania Centrum Badań Kulturowych na Uniwersytecie Chrześcijańskim w Arizonie utorowały drogę do zrozumienia ścieżek mentalnych i „min łądowych”, z którymi borykają się miliony młodych dorosłych. Najważniejsze konkluzje są następujące: ■

– Światopogląd danej osoby wpływa na każdą podejmowaną przez nią decyzję, w każdej chwili, każdego dnia. Codzienne decyzje są wynikiem głębokich przekonań na temat życia, prawdy, autorytetu, moralności oraz swojej roli w świecie. Mapując przekonania i zachowania ludzi, można lepiej zrozumieć ich tożsamość i przewidzieć ich emocje, styl życia, relacje, wybory dotyczące wiary i inne aspekty życia;

– Młodzi dorośli często bardziej ufają uczuciom niż faktom, nie dostrzegają wartości życia i wierzą w koncepcje takie jak karma, odrzucając jednocześnie istnienie biblijnego Boga i poczucie bezpieczeństwa wiecznego zbawienia przez Jezusa Chrystusa. Brak poczucia celu i wiary w obiektywną prawdę prowadzi do niespójnego, chaotycznego stylu życia, pełnego frustracji i pozbawionego trwałych więzi. Taki styl życia bardzo często wiąże się z niepokojem, depresją i lękiem;

Wiele badań wskazuje, że wśród osób wierzących rzadziej występują depresja i próby samobójcze

– Doktor Barna wskazuje synkretyzm jako najbardziej rozpowszechniony światopogląd młodych dorosłych, kształtowany pod silnym wpływem współczesnej kultury. Przyjęcie podstawowych zasad „światopoglądu biblijnego” chroni natomiast jednostki przed wieloma niepożądanymi wyzwaniami i frustracjami;

– Autorzy badania zalecają, aby nie ignorować rzeczywistości chorób psychicznych ani znaczenia tradycyjnych metod leczenia, takich jak terapia, leki czy wsparcie instytucjonalne. Podkreślają jednak, że w wielu przypadkach zaburzenia psychiczne mogą być spowodowane przez elementy światopoglądowe, które podtrzymują stan depresji czy fobii;

– W sytuacjach, w których błędny światopogląd prowadzi do problemów psychicznych, tradycyjne terapie mogą być nieskuteczne – co wyjaśnia, dlaczego niektórzy ludzie przez lata nie znajdują ulgi pomimo leczenia;

– Dorośli o „światopoglądzie biblijnym” rzadziej doświadczają niepokoju, depresji i lęku, unikając przy tym wielu wydarzeń i skutków, które zwykle prowadzą do takich problemów jak pobyt w więzieniu, uzależnienia czy rozwody. Mają tendencję do utrzymywania szczęśliwszych małżeństw, głębszego poczucia sensu życia, trwalszych relacji, większej radości duchowej oraz angażowania się w służenie innym.

KOLEJNE POTWIERDZENIE

Badania dr. Barny nie są ani pierwszymi, ani jedynymi, z których można wyciągnąć wnioski świadczące o tym, że chrześcijaństwo jako religijne, moralne, cywilizacyjne i kulturowe zaplecze społeczeństw stanowi o jego sile i stabilizacji, a także o sile poszczególnych jednostek. Wyniki większości tego typu badań wskazują, że osoby wierzące, szczególnie te aktywnie uczestniczące w życiu religijnym, często mają niższy poziom depresji i rzadziej podejmują próby samobójcze. Choć są badania wskazujące na pewne różnice w zależności od kraju i kultury, to ogólne wyniki sugerują, że religijność może pełnić funkcję ochronną, zapewniając poczucie sensu, wspólnoty oraz ramy moralne wspierające zdrowie psychiczne.

I tak np. dr Harold G. Koenig w swojej książce „Handbook of Religion and Health” już w 2001 r. podsumował wyniki ponad 100 badań, wskazując, że w ok. 60–70 proc. przypadków religijność była pozytywnie związana z mniejszymi objawami depresji i niższym ryzykiem samobójstw.

Badanie opublikowane w 2017 r. przez amerykański National Institute of Health wykazało, że osoby uczestniczące regularnie w nabożeństwach miały o ok. 50 proc. mniejsze ryzyko prób samobójczych niż osoby, które nie uczestniczyły w nabożeństwach.

Metaanaliza przeprowadzona przez „Journal of Religion and Health” w 2013 r., interpretująca dane z wielu badań, wykazała, że ogólnie religijność i duchowość są związane z lepszym samopoczuciem psychicznym i niższym ryzykiem depresji. Wyniki pokazały, że efekt ochronny pobożności jest szczególnie silny u osób prowadzących aktywne życie religijne.

Kenneth Pargament w badaniu z 2011 r., którego wyniki opublikowano w czasopiśmie „Psychology of Religion and Spirituality”, wykazał, że wsparcie społeczne, które zapewnia wspólnota religijna, jest silnie skorelowane z mniejszymi objawami depresji i rzadziej występującymi próbami samobójczymi, szczególnie u osób starszych i przeżywających kryzysy życiowe.

Badania prowadzone przez Harvard T.H. Chan School of Public Health wskazały, że również młodzież i młodzi dorośli regularnie uczęszczający na nabożeństwa byli mniej podatni na próby samobójcze w porównaniu ze swoimi niereligijnymi rówieśnikami. W analizie z 2018 r. badacze doszli do wniosku, że religijność odgrywa rolę ochronną, zapewniając wsparcie społeczne oraz wzmacniając poczucie celu i sensu życia.

WIEDZA SKRUPULATNIE UKRYWANA

To, rzecz jasna, wspomnienie tylko niektórych badań, których wyniki opublikowano w ostatnich latach. A teraz niezwykle istotne pytanie: O ilu z tych badań lub o których spośród tych ustaleń słyszeli państwo w ostatnich latach, czytając artykuły w mainstreamowej prasie, oglądając wywiady z psychologami w telewizji, słuchając ich w radiu czy popularnych podcastach albo śledząc profile psychologów i popularyzatorów psychologii w mediach społecznościowych?

No właśnie.

Jak państwo sądzą, dlaczego?

Na koniec, mimo wszystko, jeszcze raz podkreślmy – ani wiara, ani „światopogląd chrześcijański” nie zapewniają, że nie grozi nam problem natury psychicznej, tak jak nie zapewniają, że nie grozi nam jakakolwiek inna choroba czy przykra przypadłość. Czynniki te nie są też jedynym lekarstwem, gdy już coś nam się przydarzy.

I chyba najważniejsze, co należy przypomnieć w polskim, nominalnie wciąż katolickim społeczeństwie – można być ochrzczonym i chodzić do kościoła, ale wcale nie podzielać „światopoglądu biblijnego” czy chrześcijańskiego. To się niestety zdarza nad wyraz często.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest redaktorem naczelnym PCh24.pl.



LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOZERCA

Znikający ubecy

Jak w piosence: „To zjawia się, to znika”. Jednak tu nie o błahych sprawach, tylko o naprawdę bardzo istotnych. Rzeczą dotyczy bowiem zacierania śladów przez funkcjonariuszy UB, którzy, odchodząc ze służby (a często również w jej trakcie), przybierali nową tożsamość. Na wszelki wypadek? Do tego trzeba dodać bardzo liczne przypadki, gdy kandydaci do pełnienia służby w UB wchodzili do niej z nowymi, „lepszymi” nazwiskami. Chodziło głównie o ich spolszczenie.

Oto jeden z przypadków. Funkcjonariusz o inicjałach M.B. przez wiele powojennych lat przewinął się kolejno przez PUBP Tarnów, PUBP Żywiec, następnie na szczeblu wojewódzkim – WUBP Kraków i Lublin, aż wreszcie trafił do Centrali. Po odpowiedniej wysłudze (już jako major) przeszedł m.in. do Głównego Urzędu Ceł. Zadbał jednak, aby już nie być tym, kim był, i zażądał zmiany tożsamości. Decyzja o zmianie nazwiska dotyczyła jego i najbliższej rodziny! Czyli ubek był i już go nie było. Z uzasadnieniem: „Decyzji niniejszej nadaje się rygor natychmiastowej wykonalności, ponieważ jest to niezbędne ze względu na wyjątkowo ważny interes strony”. Takie zacieranie po sobie śladów można określić jako metodę lisiego ogona.

Pozostawił po sobie ciekawą życiorys. Relacjonując swe wojenne koleje losu, napisał: „Dzięki Bogu wszystko powio-

dło mi się jak najlepiej”. Chyba ubeki cenzor to odwołanie się do Boga przeoczył?

Mentalność ówczesnych „wydwieńców” (po sowiecku: człowiek z awansu społecznego) najlepiej oddaje uzasadnienie prośby o przyjęcie do UB. Nikt ich tam na siłę nie ciągnął: „Jest mi bardzo dobrze wiadomym, jak robotnik i chłop polski przed wojną nie mieli [sic!] nigdzie prawa głosu, byli szczególnie pachółkami obszarników i faszystów polskich. Więc teraz z nimi Precz!!!”. Czyli z kim precz? Z kontekstu wynika, że... z robotnikami i chłopem.

To wszystko było początkiem nowej, sowieckiej okupacji w Polsce. Okupanci, jak zawsze w takich przypadkach, dążyli do wykształcenia warstwy kompradorskiej, gotowej do wszelkich usług. W zamian za status społeczny, polityczny i materialny pełnili funkcje kontrolne i represyjne wobec społeczeństwa, a okupanci, czyli Sowietci, nie musieli zużywać sił własnych.

Rządzili nami brutalnie przez 45 lat (1944–1989). Po pozornych zmianach w 1989 r. nie potrafiłszy się z nimi rozliczyć i wyciągnąć konsekwencji, choć znaczna część tego aparatu była bezpośrednio zbrodnicza. Nie tyle my, bo nie mieliśmy nic do powiedzenia, ile kolejne ekipy rządzące. Nieśmiałe próby ograniczenia ich przywilejów materialnych zakończyły się katastrofą. Teraz odzyskują wszystko z oprocentowaniem. ©©



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Koniec Maćka Szczepańskiego

Jednym z celów ekipy gen. Wojciecha Jaruzelskiego po przejęciu władzy było wykazanie złodziejstwa otoczenia Edwarda Gierka. Na kozła ofiarnego wybrano byłego wszechwładnego prezesa Radiokomiteu, Macieja Szczepańskiego, i jego współpracowników. Na temat ich nadużyć krążyły bowiem najbardziej skandaliczne plotki.

Jednak prokuratorzy prowadzący śledztwo byli zaskoczeni stosunkowo niewielkim majątkiem osobistym Krwawego Maćka. Posiadał mieszkanie w Warszawie, samochód oraz dom w Szczyrk. Najwyraźniej wystarczyło mu korzystanie z majątku Radiokomiteu i nie miał pretensji do posiadania własnego.

Szczepańskiemu udo- wodniono „zamontowanie w prywatnej willi w Szczyrku urządzeń antywłamaniowych przekazanych przez szwajcarską firmę »Cerberus« [...], założenie w tejże willi fińskiej sauny sfinansowanej przez firmę »Bosch« z RFN, wstawienie do warszawskiego mieszkania prezesa kompletu skórzanych mebli sprowadzonych z Danii dla wystroju telewizyjnego studia”.

Ważniejszymi zarzutami okazały się te związane z narażeniem Skarbu Państwa na straty podczas pełnienia obowiązków prezesa Radiokomiteu. Podniesiono sprawę nieuzasadnionych wydatków z Funduszu Popierania Twórczości oraz sprawę Funduszu

Nagród. Brakowało pokwitowań odbioru pieniędzy na kwotę 11 mln zł, nigdy jednak nie ustalono, jaka część tej sumy trafiła bezpośrednio do portfela Szczepańskiego.

Proces trwał dwa lata i 13 stycznia 1984 r. ogłoszono wyroki. Maciej Szczepański został skazany na osiem lat więzienia, kary dla pozostałych osób również okazały się surowe. Po latach były prezes twierdził jednak, że ekipie Jaruzelskiego nie udało się osiągnąć zamierzonego celu.

Szczepański nie odbył zresztą całej kary, a tuż po upadku komunizmu namówił Edwarda Gierka do tego, by wspólnie z Januszem Rolicim wydał wywiad rzekę „Przerwana dekada”. Książka okazała się największym bestsellerem w dziejach III RP, gdyż sprzedano ok. 1 mln (!!!) egzemplarzy. Sam nigdy nie powiedział o swoim byłym szefie złego słowa, chociaż chętnie przedstawiał się jako ofiara partyjnych porachunków. Jednak chyba nigdy nie zdał sobie sprawy z tego, że to właśnie on, naczelny propagandysta epoki Edwarda Gierka, przyczynił się do upadku socjalizmu nad Wisłą.

„Pokazywano niemal codziennie amerykańskie filmy – tłumaczył Jerzy Urban. – [...] I nasz robotnik codziennie widział, że jego amerykański kolega ma dwa samochody, trzy sypialnie i ludzie w tamtejszych filmach nie mają trosk materialnych [...]. I to dzień po dniu rujnowało realny socjalizm”. ©©

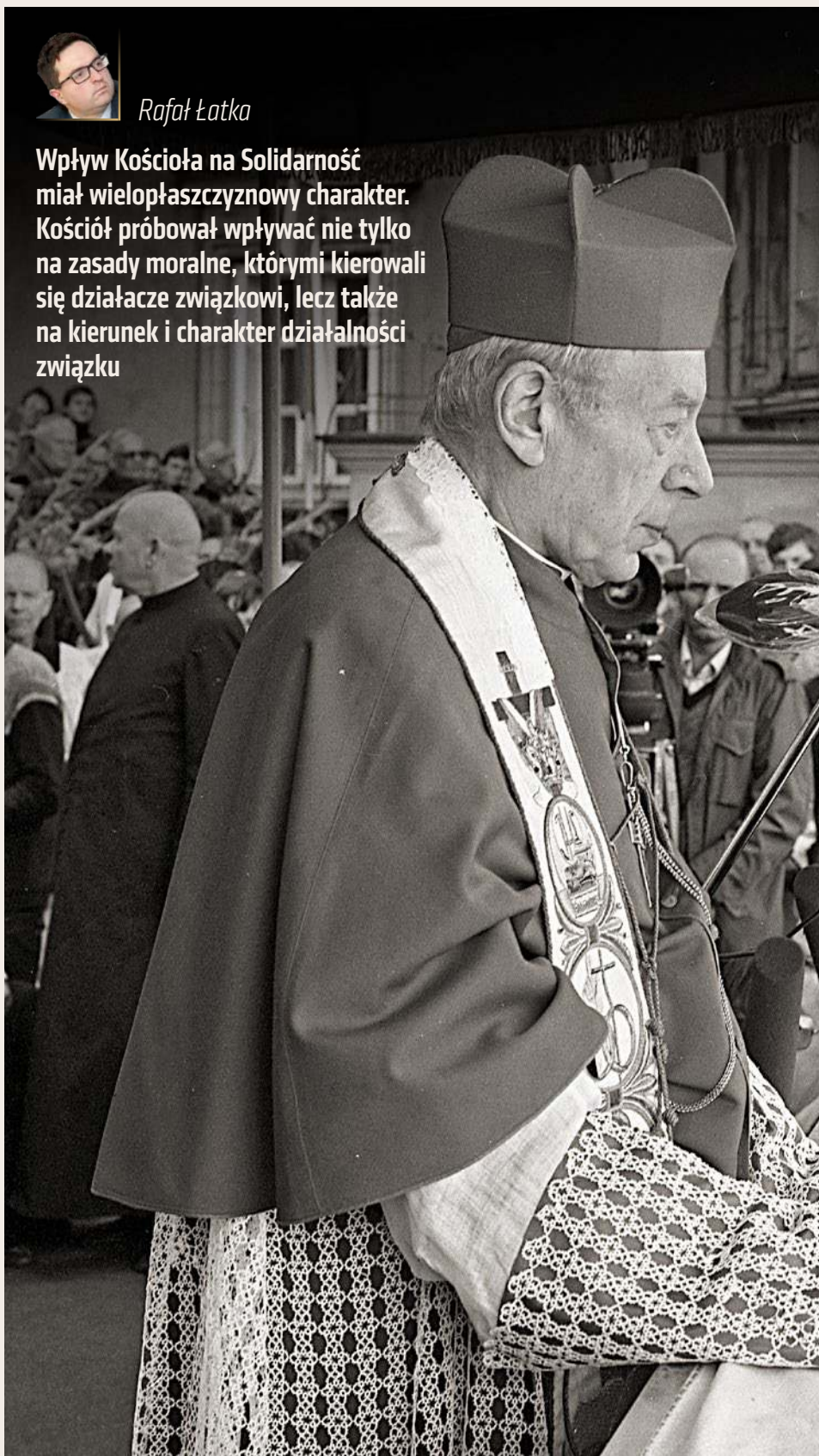
Wpływ Kościoła na Solidarność miał wieloaspektowy charakter. Niewątpliwie ujawnił się już w okresie strajków, które rozpoczęły się w lipcu 1980 r. w Lublinie i wkrótce ogarnęły cały kraj. W swojej analizie zwrócę uwagę na trzy główne płaszczyzny wpływu Kościoła na niezależny ruch społeczny. W pierwszej kolejności będzie to wpływ na wartości i tzw. etos Solidarności. Chodzi nie tylko o religijny, katolicki wymiar działalności związku zawodowego, lecz także o pewne idee konstytutywne dla całego ruchu społecznego i sposobu jego działalności. Po drugie, będzie to próba wpływania na kierunek działalności oraz skład personalny kierownictwa Solidarności, ze szczególnym uwzględnieniem poparcia dla umiarkowanej linii Lecha Wałęsy i jego zwolenników oraz krytyki kierowanej pod adresem KOR (oraz środowisk odbieranych jako radykalne). Po trzecie, wpływ Kościoła na konkretne wydarzenia związane z działalnością wspomnianego ruchu społecznego. Pod tym względem na pierwszy plan wysuwają się takie kwestie jak sposób rozwiązania kryzysu bydgoskiego, Zjazd Solidarności, a przede wszystkim wybór przewodniczącego. Wszystkie wspomniane wyżej płaszczyzny wzajemnie się przenikały, dając możliwość niezwykle szerokiego wpływu Kościoła na Solidarność.

W drugiej połowie okresu sprawowania władzy przez Edwarda Gierka Kościół ustami prymasa Wyszyńskiego i innych biskupów wielokrotnie zwracał uwagę władzom na pogarszającą się sytuację ekonomiczną, która mogła grozić wybuchem społecznego niezadowolenia. Prymas wspomnianą kwestię poruszył w czasie swojego spotkania z I sekretarzem w styczniu 1979 r. Oprócz dyskusji na temat pielgrzymki papieskiej kard. Wyszyński zwracał uwagę na wiele istotnych problemów społeczno-politycznych i wzywał do „odrodzenia partii”, której rządy wzmagają niezadowolenie społeczne. Kryzys władz i jej społeczną delegitymizację pogłębiła pielgrzymka Jana Pawła II, która bez wątpienia miała istotny wpływ na wyrwanie społeczeństwa z marazmu i późniejsze powstanie Solidarności. Kolejne ostrzeżenie episkopat sformułował miesiąc przed wybuchem strajków, gdy w Komunikacie



Rafał Łatka

Wpływ Kościoła na Solidarność miał wielopłaszczyznowy charakter. Kościół próbował wpływać nie tylko na zasady moralne, którymi kierowali się działacze związkowi, lecz także na kierunek i charakter działalności związku



Nadać Solidarności katolicki charakter

z posiedzenia z czerwca 1980 r. zwracał uwagę na pogłębiający się kryzys społeczny i wzywał katolików do wzięcia odpowiedzialności za losy kraju.

Wybuch strajków w lipcu nie stanowił zaskoczenia dla biskupów, którzy rozpoczęli aktywne działania w momencie, gdy kryzys społeczny osiągnął ogólnopolski charakter. Słły one w dwóch kierunkach. Z jednej strony prymas i Episkopat podkreślali, że „świat robotniczy podejmuje starania o należne Narodowi prawa społeczne, moralne, ekonomiczne”, z drugiej zaś wzywali do odpowiedzialności i rozważli. Otwarte poparcie dla strajkujących wyraził również Jan Paweł II w liście przesłanym do kard. Wyszyńskiego 20 sierpnia 1980 r., który został następnie błyskawicznie rozkolportowany w całej Polsce.

Kluczowe znaczenie dla określenia stosunku Kościoła do protestu robotników i późniejszego stosunku do Solidarności miało bez wątpienia słynne kazanie prymasa Polski z 26 sierpnia, którego wydźwięk stanowił rozczarowanie dla strajkujących, spodziewających się jednoznacznego poparcia kard. Wyszyńskiego dla swoich postulatów. Otrzymali zaś wyraźne wezwanie do spokojnego rozważania sytuacji i odpowiedzialności za losy ojczyzny. To budziło kontrowersje wśród protestujących, ale ostatecznie nie wywołało większych nieporozumień. Zawarcie porozumień sierpniowych Kościół ocenił jako wielki sukces robotników i deklarował wyraźnie swoje wsparcie dla ich postulatów. Mówił o tym komunikat z 176. Konferencji Plenarnej Episkopatu, ogłoszony 17 października: „Biskupi podzielają troski, którymi żyją dziś ludzie pracy. Wspierają ich moralnie i bronią ich słusznych praw. Jednocześnie wyrażają przekonanie, że wszyscy po uznaniu praw ludzi pracy – unormowaniu stanu nowych związków zawodowych – ze wzmoczoną energią i zapałem wypełnią swe obowiązki na wszystkich odcinkach pracy i życia narodu”.

OBECNOŚĆ KOŚCIOŁA

Solidarność była bez wątpienia ruchem niezwykle różnorodnym, w którym ścierały się ze sobą (i współpracowały) całkowicie odmienne grupy społeczne, tradycje myślenia politycznego czy też osobowości. Istotnym jej wymiarem było religijne, katolickie oblicze, które ujawniało się na co

Msza Święta na Wałach Jasnogórskich w święto Matki Bożej Częstochowskiej, podczas której kazanie wygłosił prymas Polski kard. Stefan Wyszyński, 26 sierpnia 1980 r.

FOT. RYSZARD RZEPECKI/PAP

■ najmniej kilku płaszczyznach. W najbardziej bezpośredni sposób było widoczne w tym, że religia towarzyszyła związkowcom zarówno w ich codziennej aktywności, jak i w chwilach ważnych i podniosłych. Mówiły o tym zarówno symbolika (z najbardziej znanym elementem – wizerunkiem Matki Boskiej w klapie marynarki Wałęsy), jak i nabożeństwa odprawiane specjalnie dla członków Solidarności. Już w czasie protestów wraz ze strajkującymi obecni byli kapłani, którzy wspierali ich nie tylko duchowo, lecz także swoją radą. Podobnie było w całym okresie legalnego istnienia związku. Kościół był stale obecny jako wsparcie moralne i doradczo-mediacyjne. Ujawniło się to szczególnie w czasie zawierania rozmaitych porozumień z władzami, takich jak choćby zakończenie strajku w Bielsku-Białej w lutym 1981 r., gdzie rolę pośrednika skutecznie odegrał bp Bronisław Dąbrowski. Ponadto należy wspomnieć, że istotnym elementem Zjazdu Solidarności były nabożeństwa otwierające, odprawione przez prymasa Józefa Glempa, i kończące, celebrowane przez ordynariusza gdańskiego bp. Lecha Kaczmarka.

W mniej bezpośredni sposób katolicki wymiar wspomnianego ruchu społecznego był widoczny w zasadach, którymi się on kierował, i poglądach, które były ważne dla rzesz członków ruchu. Wśród nich należy wymienić w pierwszej kolejności kierowanie się moralnością w działaniu, troskę o idealistyczne dobro wspólne, samoograniczenie, walkę o godność człowieka. Bez wątpienia istotny wpływ na sformułowanie wspomnianych wyżej zasad miał jeden z najważniejszych kapelanów Solidarności w okresie jej legalnego istnienia, ks. Józef Tischner, który wyłożył je w „Etyce solidarności”. Wpływ Kościoła na Solidarność był widoczny również w spojrzeniu na sytuację społeczno-polityczną i geopolityczną. Działacze związkowi podzieliali optykę episkopatu na takie kwestie jak miejsce Polski w układach stosunków międzynarodowych czy trwałość systemu politycznego PRL, którego kształtu zdecydowana większość członków Solidarności nie chciała zmieniać. Chodziło o socjalizm nie tyle z „ludzką twarzą”, ile raczej z „boską twarzą”. Można oczywiście zauważyć pewne istotne różnice, jeśli chodzi o idee Kościoła i Solidarności, które ujawniały

Działania prymasa Wyszyńskiego w bezpośredni sposób przyczyniły się do zażegnania kryzysu i odwołania zapowiedzianego na 12 listopada strajku generalnego

się szczególnie tuż przed wprowadzeniem stanu wojennego, gdy nastąpiła radykalizacja postaw w związku, widoczna w daleko idących postulatach zmiany systemu politycznego, ale przez większość okresu istnienia związku wspomniana zbieżność poglądów i wpływ Kościoła były bardzo wyraźne i czytelne.

Od momentu zawarcia porozumień sierpniowych Kościół starał się wpływać na kierunek i sposób działania wyłaniającego się ruchu społecznego. Podobnie liderzy powstającej Solidarności szukali wsparcia Kościoła w walce o własne postulaty i realizację porozumień sierpniowych. Już w czasie wizyty delegacji robotników 7 września 1980 r. kard. Wyszyński wskazywał, na czym powinni się skoncentrować w swojej aktywności społecznej. Prymas przestrzegał przed nadmiernym skupieniem się na rozgrywkach personalnych, wysuwaniem kolejnych żądań pod adresem władz i sugerował skoncentrowanie się na odnowie społecznej i działaniach o charakterze organizacyjnym.

Kościół stanął przed istotnym dla siebie wyzwaniem, którym było nadanie nowym związkom chrześcijańskiego oblicza oraz przytępienie radykalizmu części jego działaczy. Z tego względu w czasie kolejnych spotkań z delegacjami Solidarności zarówno kard. Wyszyński, jak i poszczególni biskupi sugerowali działaczom związkowym, by kierowali się zasadami katolickiej nauki społecznej i zadbali o samokształcenie. Równocześnie episkopat działał w przekonaniu, że nie powinien się angażować w rozwiązywanie szczegółowych kwestii związanych z bieżącą działalnością Solidarności oraz że należy zachować dystans wobec związku. Z tak zarysowaną linią działania zgadzał się również bp Ignacy Tokarczuk, który wie-

lokrotnie i w różnorodny sposób wspierał opozycję, zauważając jednak równocześnie, że zbyt daleko idące wsparcie dla „S” może zagrozić instrumentalizacją Kościoła: „Na pewno tak partia, jak i związki chcieliby Kościół wykorzystać dla siebie i instrumentalizować go. Nie możemy na to się zgodzić. Nie możemy utożsamiać się ze związkami. Związki walczą o dobro Narodu – w tym ich poprzemy”.

KLUCZOWA ROLA

Rola Kościoła okazała się bardzo istotna, jeśli chodzi o „kryzys statutowy” rozgrywający się jesienią 1980 r. Związkowcy skorzystali z podpowiedzi kard. Wyszyńskiego – m.in. co do sformułowania: „niezależne samorządne związki zawodowe” – oraz za pośrednictwem ks. Alojzego Orszulika otrzymali jego aprobatę na projekcie statutu, który został przez nich ostatecznie przyjęty. Działania prymasa w bezpośredni sposób przyczyniły się do zażegnania kryzysu i odwołania zapowiedzianego na 12 listopada strajku generalnego. Stanowisko Kościoła w tej kwestii i w kolejnych miesiącach wynikało z obawy związanej z możliwością interwencji sowieckiej. Z tego powodu biskupi starali się wpływać tonująco na działaczy związkowych oraz niezwykle krytycznie oceniali środowisko KOR, które w przekonaniu biskupów wpływało na zbyt radykalizm niektórych postulatów Solidarności i chciało nadać jej rewolucyjny charakter.

Kościół odegrał kluczową rolę, również jeśli chodzi o integrację środowiska rolników i utworzenie Solidarności Rolniczej. W pierwszej kolejności biskupi podjęli działania mające na celu zjednoczenie rozbitego środowiska, a następnie jednoznacznie popierali ich starania związane z utworzeniem własnej reprezentacji związkowej. Szczególne znaczenie dla utworzenia związku dla rolników miało zdecydowane poparcie kard. Wyszyńskiego, który wyrażał je w jednoznaczny sposób: „Jeżeli pracownicy przemysłowi uzyskali prawo zrzeszania się, to trzeba to prawo przyznać również i pracownikom rolnym [...]. Nie trzeba tego prawa »przyznawać«, ono po prostu istnieje i nikt go nam odmówić nie może. Jest jedno prawo przyrodzone, takie samo dla każdego człowieka, bez względu na to, co on robi, czy pracuje w fabryce, w kopalni czy na roli; każdy ma takie samo prawo przyrodzone,

naturalne, zespalania swych sił i wysiłków dla wspólnego przeprowadzania zadań, które człowiek ma do wykonania”.

Efektom nacisku Kościoła była zgoda władz na utworzenie związku dla rolników. Podobnie jak w przypadku robotniczego odpowiednika związku Kościół sugerował działaczom, by skoncentrowali się przede wszystkim na stworzeniu odpowiednich ram organizacyjnych i przeszkoleniu własnych działaczy.

Stanowisko kard. Wyszyńskiego odnośnie do kierunku działalności Solidarności podzielał jego następca, abp Glemp, który – jak sam wielokrotnie tłumaczył – kontynuował pod tym względem linię swojego poprzednika. Wyraził je m.in. w czasie Zjazdu Solidarności, gdzie zaznaczył, że związek powinien służyć ludziom, oraz podkreślił: „Podejmujecie się dziś, Najmilsi, historycznego dzieła. Ma ono kształtować sytuację ludzi pracy, a także przyszłość naszej Ojczyzny. Rozpoczynane wezwaniem Imienia Bożego w tej katedrze, z którą łączy się wspomnienie historycznego »pokoju oliwskiego«. Całe społeczeństwo oczekuje, że i wasz zjazd będzie negocjowaniem tego pokoju, który rozpoczął się w ubiegłym roku w Stoczni Gdańskiej, a który jest potrzebny i krajowi, i Europie”.

Optykę Kościoła w związku z próbą oddziaływania na Solidarność po śmierci kard. Wyszyńskiego najtrafniej ujął bp Kaczmarek, który w czasie posiedzenia Rady Głównej Episkopatu z 13 sierpnia zauważył: „p. Wałęsa jest rozumny i umiarkowany, jego wystąpienia są logiczne i trafne, ale trzeba by go skłaniać do tego, by bardziej zajął się sprawami wewnętrznymi Solidarności”.

KONTYNUACJA

Skuteczność wpływu Kościoła na Solidarność wraz z biegiem czasu się zmniejszała. Było to szczególnie widoczne po zakończeniu Zjazdu Solidarności. Prymas Glemp był bezradny wobec daleko idących postulatów politycznych formułowanych przez działaczy związku. Jak trafnie zauważył Jan Żaryn: „Kościółowi nie udało się wpłynąć w zasadniczy sposób na elity »Solidarności« z przyczyn niezależnych od woli samych związkowców czy układu sił w NSSZ »Solidarność«. Od jesieni 1981 r. Wałęsa i jego najbliżsi współpracownicy tracili kontakt z masami, o czym świadczyły mnożące się strajki w terenie oraz

przebieg posiedzeń KK z listopada 1981 r., nie przekonano też działaczy niższego szczebla do stopniowania swych słusznych żądań”.

Wszelkie inicjatywy związane z zawarciem porozumienia społecznego, podejmowane przez Kościół jesienią 1981 r. (na czele ze słynnym „Spotkaniem Trzech”, czyli rozmowy Wałęsy, Jaruzelskiego i Głępa z 4 listopada), nie miały szans powodzenia, gdyż władze były już zdecydowane na rozwiązanie siłowe i żadne kompromisowe sposoby rozwiązania sytuacji politycznej nie interesowały dygnitarzy partyjnych.

Niewątpliwie ze względu na wykorzystywaną symbolikę, odwoływanie się do wartości moralnych oraz część poglądów dominujących w związku można traktować Solidarność jako ruch o charakterze religijnym

Kościół miał wpływ również na poszczególne decyzje związku. Nie ma potrzeby, żeby w tym miejscu analizować w sposób całościowy wpływ duchowieństwa na bieżącą aktywność Solidarności – z tego względu zobrazuję ją dwoma istotnymi przykładami. Biskupi, jak już wyżej wspomniano, starali się nadać Solidarności umiarkowany charakter i z tego względu wspierali linię Wałęsy i jego zwolenników. Przejawiało się to w bezpośredni sposób w kilku kluczowych dla związku momentach. Zdecydowanie najważniejszym z nich był tzw. kryzys bydgoski. Rola Kościoła w pokojowym sposobie jego rozwiązania była niezwykle istotna. Wynikała ona z przekonania żywionego przez biskupów, że dalszy wzrost napięcia społecznego może skończyć się w nieprzewidywany sposób, zagrożenie interwencją sowiecką traktowane jako realne. Stanowisko prymasa wobec wspomnianych wydarzeń opisał jego doradca R. Kukołowicz: „Dobrze się stało, że nie doszło do strajku generalnego. Ksiądz Prymas obawiał się, że kiedy ludzie wyjdą na ulicę, to dojdzie do rewolucji, gdyż wszystkie rewolucje rozpoczynają się

na ulicy. Wtedy władza odpowie użyciem siły i dojdzie do rozlewu krwi”. Tak, a nie inny sposób zakończenia kryzysu spowodował, że niezależny ruch społeczny wytracił impet, przyczynił się do demobilizacji społecznej, którą jeszcze pogłębiała sprytna taktyka władz partyjnych dążących do wywołania marazmu społeczeństwa. Z tego względu część liderów Solidarności czuła rozgoryczenie postawą Kościoła, z drugiej jednak strony wspomnieć należy, że konsekwencje strajku generalnego były nieprzewidywalne i trudno ocenić, co by się stało, gdyby faktycznie do niego doszło.

Kościół miał również wpływ na wybór na przewodniczącego Solidarności Lecha Wałęsy. Bez wątpienia przyczyniały się do takiego, a nie innego wyniku elekcji spotkania przyszłego noblisty z prymasami Polski, a także dobre kontakty z niektórymi biskupami i duchowieństwem. Znaczenie miało również otwarte podkreślanie przez Wałęsę swojej religijności oraz poparcia episkopatu, które można określić jako ogrzewanie się w blasku Kościoła.

WYZNACZAĆ KIERUNEK

Wpływ Kościoła na Solidarność miał wielopłaszczyznowy charakter. Niewątpliwie ze względu na wykorzystywaną symbolikę, odwoływanie się do wartości moralnych oraz część poglądów dominujących w związku można traktować Solidarność jako ruch o charakterze religijnym (choć to tylko jedna z jego twarzy). Kościół próbował wpływać nie tylko na zasady moralne, którymi kierowali się działacze związkowi, lecz także na kierunek i charakter działalności związku. Pod tym względem notował zarówno sukcesy, jak i porażki. W Solidarności w latach 1980–1981 przez większość czasu dominowała umiarkowana linia wyznaczana przez Wałęsę, jego współpracowników i większość doradców, którą Kościół wspierał.

Niemniej środowisko KOR posiadało również znaczący wpływ na wiele aspektów funkcjonowania „S”, co nie spotykało się z aprobatą episkopatu. Przywódcy związkowi nie podjęli również wielokrotnie ponawianych przez biskupów sugestii, że należy skoncentrować się na utrwaleniu sukcesów ruchu, zadbanie o dobrą organizację oraz przeszkoleniu działaczy.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest historykiem i politologiem, doktorem habilitowanym, profesorem UKSW, pracownikiem Biura Badań Historycznych IPN.



FOT. DE KAMAR/AF/IST NEWS

Republika alpejska na politycznym rollercoasterze



Cezary Gmyz

Utworzenie w Austrii gabinetu składającego się z FPÖ i chadecji oznacza, że dotychczasowe elity wciąż trzęsące Unią Europejską nie będą już mogły być pewne swojej przyszłości. Ale ugrupowanie określane jako populistyczne, nacjonalistyczne lub wręcz ekstremistyczne już kiedyś było u władzy

Za sprawą powierzenia Herbertowi Kicklowi misji tworzenia rządu w Austrii Święto Trzech Króli w Republice Alpejskiej zostanie zapamiętane na dłużej. A niektórzy wręcz mówią o upadku powstałej po wojnie II Republiki i rozpoczęciu nowego etapu określanego jako III Republika. I choć Austria jest stosunkowo niewielkim krajem, to skutki powierzenia steru rządów w tym kraju politykowi Wolnościowej Partii Austrii (FPÖ) mogą się okazać znacznie bardziej dalekosiężne, niż wynikałoby to z politycznej wagi i wielkości tego państwa w Unii Europejskiej. A chodzi przede wszystkim o zbliżające się przedterminowe wybory w Niemczech.

Na wieść o powierzeniu Herbertowi Kicklowi misji tworzenia rządu, w Niemczech rozgrzały się czołówki wszystkich stacji informacyjnych i portali internetowych. Nic dziwnego. System polityczny oraz pejzaż partyjny w obu krajach są niemal bliźniacze. Oba państwa przez całe lata były rządzone na przemian przez socjalistów i chadeków. I w Austrii, i w Niemczech są też mniejsze partie będące języczkiem u wagi i pozwalające na tworzenie koalicji. Chodzi o zielonych i liberałów. Wreszcie w obu państwach istnieją coraz bardziej rosnące w siłę partie określane jako populistyczne, nacjonalistyczne lub wręcz ekstremistyczne. W Niemczech jest to Alternatywa

dla Niemiec (AfD), a w Austrii właśnie FPÖ Kickla.

PRZYWÓDZTWO JÖRGA HEIDERA

Zasadniczą jednak różnicą jest to, że w Niemczech AfD mimo zwycięstw wyborczych na wschodzie nigdy nie brała udziału w sprawowaniu władzy ani na szczeblu landowym, ani federalnym. Natomiast w Austrii FPÖ jako partner koalicyjny uczestniczyła już w sprawowaniu władzy na obu szczeblach.

Za pierwszym razem było to ćwierć wieku temu, kiedy w roku 2000 do rządu weszła formacja pod przywództwem Jörge Heidera. Wywołało to taki szok w Unii Europejskiej, że Austria została objęta sankcjami przez wszystkie unijne kraje (wówczas nie funkcjonowała jeszcze tzw. procedura praworządności). W rezultacie rząd upadł szybko. Niedługo potem Heider opuścił swoją partię, ale nie zdążył zbudować nowego ugrupowania, gdyż w roku 2008 zginął w wypadku samochodowym. Okazało się, że wracał z zakrapianej imprezy w klubie gejowskim. Jego orientacja seksualna i romans z asystentem wyszły na jaw dopiero po śmierci polityka.

Jednak FPÖ się nie rozpadła. Wręcz przeciwnie – mozolnie budowała swoją

pozycję na poziomie zarówno landowym, jak i federalnym. Sukces nadszedł, kiedy na czele partii stanął Heinz-Christian Strache. Ciąg afer korupcyjnych z udziałem lidera socjalistów Christiana Kerna sprawił, że czerwoni stracili władzę. W 2017 r. sięgnął po nią lider chadeków (ÖVP) Sebastian Kurz, który został wówczas najmłodszym szefem rządu w Europie oraz w historii Austrii. Na partnera koalicyjnego wybrał sobie właśnie wolnościowców z FPÖ. Wicekanclerzem został Strache. Wydawało się, że rząd przetrwa dłużej. Cała konstrukcja uległa jednak kompletnej destrukcji w 2019 r., kiedy wybuchła tzw. afera z Ibizy. Chodziło o kilkanaście godzin rozmów nagranych na tej hiszpańskiej wyspie.

Lider FPÖ proponował kobiecie, która utrzymywała, że jest siostrzenicą rosyjskiego oligarchy Igora Makarowa, podejrzane interesy w zamian za wsparcie finansowe dla jego ugrupowania. Chodziło m.in. o zakup najpopularniejszej austriackiej bulwarówki „Kronen Zeitung”, a także dostęp do intratnych zleceń w firmach realizowanych ze środków publicznych. Do dziś nie wiadomo, kim naprawdę była owa kobieta oraz kto zorganizował tę prowokację.

Faktem jest jednak, że to, iż w tym samym czasie materiały z Ibizy odpaliły różne niemieckie, a nie austriackie media, daje pewne powody do snucia podejrzeń. Tak czy inaczej rząd Kurza upadł. Strache wycofał się z polityki. Wkrótce potem z polityki musiał się wycofać sam Sebastian Kurz, bowiem okazało się, że był zamieszany w jakieś dziwne machinacje biznesowe. De facto od tego czasu w Austrii trwał pełzający kryzys rządowy. Jednak mimo olbrzymiego oburzenia opinii publicznej taśmy z Ibizy nie zmiotły FPÖ ze sceny politycznej. Wręcz przeciwnie – pod nowym przewodnictwem Herberta Kickla partia zaczęła odzyskiwać wigor. Na pewno na jej korzyść działały skutki kryzysu migracyjnego, które dotknęły Austrię nie mniej niż Niemcy. Chodzi przede wszystkim o rosnącą przestępczość, akty terroru i wreszcie problemy z asymilacją przybyszów. Do tego doszła nieporadność rządzących w przeciwdziałaniu skutkom pandemii COVID-19. A na to wszystko nałożyła się pogarszająca się sytuacja gospodarcza. W rezultacie w październiku ubiegłego roku FPÖ po

raz pierwszy w historii wygrała wybory parlamentarne.

Sytuacja była jednak bardzo podobna do ostatnich wyborów w Polsce. Wszystkie pozostałe siły odmówiły wejścia w koalicję z Kicklem. Prezydent Aleksander van der Bellen w rezultacie powierzył misję tworzenia rządu chadekowi Karlowi Nehammerowi. Negocjacje rozmaitych konfiguracji z udziałem wszystkich partii, z wyjątkiem FPÖ, trwały trzy miesiące. Spodziewano się wyłonienia rządu właśnie w Święto Trzech Króli. Jednak zamiast tego ogłoszono fiasko negocjacji, a misję tworzenia rządu powierzono Kicklowi. Nehammer, który był przeciwnikiem koalicji z FPÖ, ustąpił, a jego miejsce, przynajmniej tymczasowo, zajął Christian Stocker.

Odpowiedź na pytanie, czemu nie zdecydowano się na rozpisanie przedterminowych wyborów, jest dość prosta. W ciągu minionych trzech miesięcy FPÖ w sondażach dokonała gigantycznego skoku, zwiększając poparcie dla siebie o kolejne 10 punktów procentowych. Dziś oddanie głosu na tę partię deklaruje aż 37 proc. Austriaków. Wszystkie inne partie tracą lub utrzymują niskie poparcie, co oznacza, że w przypadku nowych wyborów ich pozycja byłaby słabsza niż w tej chwili.

Paradoksalnie nowy rząd budowany przez wolnościowców z chadekami może się okazać znacznie bardziej stabilny i jednolity programowo niż inne wcześniej proponowane różnokolorowe konstelacje. Krótki rzut oka na austriacki odpowiednik latarnika wyborczego pokazuje, że chadeacy i wolnościowcy są zgodni w aż 19 punktach spośród 25, a to w szczególności interesuje opinię publiczną. W przypadku socjalistów, z którymi chadeacy też negocjowali koalicję, ta zgodność obejmowała zaledwie 10 punktów.

DROGOWSKAZ DLA AfD

Czego zatem można się spodziewać w Austrii od nowego rządu? Na pierwszy ogień pójdzie wiele działań, które nie tylko mają powstrzymać nielegalną migrację, lecz także ją cofnąć. Zaostrzone zostaną kryteria przyznawania azylu, a niektórzy mówią wręcz, że Austria w ogóle przestanie przyznawać azyl, powołując się na to, że graniczy wyłącznie

z sąsiadami uznawanymi za bezpieczne kraje pochodzenia. Co więcej, już teraz zapowiadane są deportacje obywateli Syrii i Afganistanu. Kolejnym krokiem ma być drastyczne obcięcie socjału dla niechcianych cudzoziemców i wprowadzenie dla nich świadczeń rzeczowych zamiast pieniężnych. Planowane jest też zaostrzenie kar za najcięższe przestępstwa i akty terroru. Ponadto przewiduje się karanie nieletnich tak samo jak dorosłych już od 12. roku życia. To również uderzenie w klany przestępcze składające się z cudzoziemców. Powszechnie wiadomo, że wykorzystują one nieletnich m.in. do dylowania narkotyków, gdyż odpowiedzialność karna, która im grozi, jest śmiesznie niska. Nowy rząd zamierza też mocno ograniczyć politykę klimatyczną, dodatkowo wprowadzając drastyczne kary za protesty, w których specjalizują się ruchy tzw. Ostatniego Pokolenia blokujące drogi. Kolejnym punktem, który powinien dać popularność nowemu rządowi, jest obniżenie podatków – zarówno osobistych, jak i dla firm. Kość niezgody między koalicjantami może stanowić polityka zagraniczna. Ugrupowanie Kickla uchodzi za prorosyjskie i chce ograniczenia lub zaprzestania wsparcia dla Ukrainy.

Wszystko to w perspektywie europejskiej oznacza problemy przede wszystkim dla Niemiec, które czekają przedterminowe wybory 23 lutego. Tam AfD, choć programowo jest bliska chadecji, pozostaje otoczona kordonem sanitarnym i nikt nie chce z nią budować koalicji. Jeśli jednak austriacki eksperyment się powiedzie, to w Niemczech mogą też pojawić się głosy żądające powołania koalicji na wzór austriacki. Zwłaszcza że taka koalicja dysponowałaby stabilnym poparciem, gdyż tworzyłyby ją dwa najsilniejsze ugrupowania w Bundestagu.

Ale sprawa ma też szerszy europejski kontekst. Objęcie władzy przez FPÖ oznacza, że Viktor Orbán, należący do tej samej politycznej rodziny co Herbert Kickl, czyli frakcji Patrioci dla Europy, wzmocni swoją pozycję. Jest to też dobry prognostyk dla Marine Le Pen, która również jest częścią tej rodziny. Wszystko to sprawia, że dotychczasowe elity wciąż trzęsące Unią nie będą już mogły być pewne swojej przyszłości.

Czy CDU popełni samobójstwo?



Jan Bogatko z Berlina

Jeszcze niedawno koalicja CDU z formacjami na lewicy byłaby (poza SPD) całkowicie wykluczona. Ale: na lewo patrz! Tak dziś brzmi hasło partii, która niegdyś powoływała się na wartości chrześcijańskie. CDU oddalała się od nich równie powoli, co skutecznie. Opisał to publicysta Martin Lohmann w wydanej w 2009 r. głośnej książce „Utrapienie z »C«: Na ile chrześcijańska jest Unia?”. Jest ona aktualna do dziś. Aczkolwiek życie pisze jej drugi tom. Nigdy dotąd spór o to, kim my właściwie jesteśmy, nie dzielił tak bardzo CDU. Na domiar złego – wskazują członkowie CDU – partia ta traci społeczne poparcie. AfD w Turynii pobiła na głowę partię niegdyś Konrada Adenauera. Nie pomogą partii Friedricha Merza zaklęcia w rodzaju: „CDU to największa siła politycznego centrum”. Jej nowa arytmetyka nie zmienia zasady, że dwa razy dwa równa się cztery.

„JEŻYNOWY” KORDON SANITARNY

Co czeka wyborców w Turynii, którzy obalili w landowych wyborach lewicowy rząd lokalnego premiera Bodo Ramelowa z komunistycznej partii Die Linke? Ano nowy lewicowy rząd. Rząd wprowadzie pod egidą CDU, ale z udziałem wiodącej SPD i pochodzącego z owej Die Linke (dawniej SED) Sojuszu Sahry Wagenknecht.

Tak powstała w wyniku kordonu sanitarnego wokół AfD „jeżynowa koalicja” (czarno-fioletowo-czerwona). Dla jednych ten rząd premiera Maria Voigta (CDU) to zwycięstwo centrum (?), dla drugich lewicowa formacja, skazana na poparcie komunistów z Die Linke, obalonych w wyborach. „Jeżyna” nie ma bowiem większości w landtagu. Obalony premier, Bodo Ramelow, z radością przyjął tę konstelację. Tak oświadczył przed utworzeniem rządu w stacji telewizyjnej MDR. Teraz tylko na CDU spoczął obowiązek sprzedania swoim wyborcom tej smakowitej propozycji. I to wbrew ustaleniom zjazdu CDU w Hamburgu (z roku 2018). Stwierdzono wówczas, że CDU odrzuca koalicje i podobne jej formy współpracy zarówno z Die Linke, jak i AfD. Zapewne nikt wówczas nie liczył się z tym, że CDU będzie skazana za współpracę z komunistami. BSW to lewicowy klon Die Linke!

Tymczasem wśród członków CDU pojawia się front oporu przeciwko koalicji

z narodowokomunistyczną partią Sahry Wagenknecht. O ile aktywiści CDU już od miesięcy starają się oswoić swych wyborców z mariażami w Turynii i w Saksonii z kolejnym wcieleniem komunistycznej partii SED, o tyle wielu członków dawnej partii Adenauera trafia szlag. Nie bez racji uważają oni, że krok ten stanowiłby samobójstwo dla CDU. Bez znaczenia jest przy tym to, że szef CDU, Friedrich Merz, pozostawił Mariowi Voigtowi i Michaelowi

Kretschmerowi wolną rękę w rokowaniach koalicyjnych, zakończonych powołaniem rządów w Turynii i Saksonii. „Bez przesady” – uważają członkowie CDU, i to nie tylko w tych dwóch krajach związkowych na wschodzie Niemiec.

Grupa 40 członków CDU zażądała powzięcia nowej uchwały w sprawie wykluczenia możliwości zawierania umów koalicyjnych zamiast aktualnie obowiązującej i dotyczącej relacji CDU z konserwa-



tywną AfD i skrajnie lewicową Die Linke. Innymi słowy, „Grupa 40” proponuje, by za „murem” oddzielającym „partie demokratyczne” od ugrupowań uważanych za skrajne znalazła się kolejna partia, tym razem Sojusz Sahry Wagenknecht. Do grona sygnatariuszy apelu należą np. poseł do Bundestagu z ramienia CDU z Niemiec Zachodnich, pułkownik Bundeswehry w stanie spoczynku Roderich Kiesewetter; urodzony w Bochum poseł z ramienia CDU do Parlamentu Europejskiego Dennis Radtke czy członek władz CDU Monika Wüllner z Badenii-Wirtembergii. Merz ma tu problem do rozwiązania, ponieważ wszyscy wymienieni wyżej krytycy pochodzą z zachodnich Niemiec. Kiedy Roderich Kiesewetter, członek komisji zagranicznej Bundestagu, mówi, że BSW to przedłużone ramię Kremla, to na pulpicie przyszłego zapewne kanclerza Niemiec, Friedricha Merza, musi zapalić się ostrzegawcza czerwona lampa. A kolejna, równie alarmująca, kiedy szef CDU czyta na platformie X słowa Moniki Wüllner: „Nie po to 34 lata temu zapisywałam się do CDU, by wstępować w koalicję z partią narodowobolszewicką”.

Christoph Ploss, urodzony 1985 r. w Hamburgu poseł CDU, doktor historii, w rozmowie z poważnym szwajcarskim dziennikiem „NZZ” („Neue Zürcher Zeitung”) zwraca uwagę na to, że przesłanką do zawierania koalicji jest nie tylko arytmetyka, lecz także (a może nawet przede wszystkim) zgodność poglądów na sprawy polityki zagranicznej, gospodarczej czy socjalnej. Tymczasem partia Sahry Wagenknecht znajduje się na lewo od Die Linke – mówi polityk. W żadnym razie – uważa Ploss – Wagenknecht nie wolno poprzez działania w Saksonii czy Turynii wpłynąć na postawę CDU w kwestii wojny na Ukrainie.

A przecież stanowisko BSW w sprawach polityki zagranicznej wyraża wyraźnie także współprzewodnicząca partii (wierząca muzulmanka, jak mówi o sobie), Amira Mohamed Ali. W radiu Deutschlandfunk była aktywistka komunistycznej Die Linke stwierdziła, że... oczekuje na sygnał ze strony CDU przeciwko stacjonowaniu amerykańskich rakiet średniego zasięgu. Zarówno Amira Ali, jak i Sahra Wagenknecht mają islamskie korzenie. Ojciec założycielki BSW pochodził z Iranu. Dla tej urodzonej i wychowanej w NRD demokrat-

ki i komunistycznej aktywistki pokojowa rewolucja w tym państwie w roku 1989 to była po prostu kontrrewolucja. Czy teraz nadchodzi zatem prawdziwa, socjalistyczna demokracja? Taka z ludzką twarzą? Przynajmniej na wschodzie Niemiec? Paradoksalnie groźba zwrotu na lewo wbrew woli wyborców w Turynii i w Saksonii może umożliwić Alternatywie dla Niemiec awans do ligi rządzących.

Kiedy oficjalnie klub poselski CDU w Saksonii prowadził rozmowy z SPD, BSW i Zielonymi w Dreźnie oraz nadal z uporem wykluczał podjęcie rokowań z Alternatywą dla Niemiec, grupa polityków CDU wyraziła głos sprzeciwu wobec polityki partii w tym zakresie. W liście otwartym – jak informuje stacja telewizyjna MDR – sześciu byłych posłów i starostów z CDU radzi partii podjęcie rozmów z AfD. Mają niezwykle mocny argument: w końcu 30 proc. głosujących opowiedziało się w wyborach do parlamentu krajowego w Dreźnie za Alternatywą dla Niemiec. „Nam potrzeba budowniczych mostów, a nie architektów zapór ogniowych” – stwierdzają sygnatariusze listu otwartego na temat nowej koalicji rządzącej w Saksonii. Zdecydowanie opowiadają się oni za podjęciem przez CDU w Dreźnie rozmów z AfD.

Jednym z sygnatariuszy listu jest Frank Kupfer. Nie jest on szeregowym członkiem partii CDU, lecz politykiem z wyższej półki. Urodzony w 1962 r. w Torgau Kupfer pierwsze kroki stawiał w NRD-owskiej fasadowej CDU (NRD udawało system wielopartyjny, podobnie zresztą jak PRL). Od 1990 r. piął się po szczeblach kariery w CDU zjednoczonych już Niemiec. Pełnił funkcję ministra środowiska i rolnictwa w Saksonii, sekretarza generalnego partii, a później szefa klubu poselskiego CDU w saksońskim parlamencie. Z polityki wycofał się z uwagi na stan zdrowia.

Kupfer zastrzegł się, że nie chciał przedtem komentować walki wyborczej, ale teraz, już po wyborach, chodzi przecież o zbudowanie większości rządzącej: „Nie mamy teraz większości, więc musimy rozejrzeć się za innymi możliwościami jej osiągnięcia” – mówi polityk.

RYZYKO UTRATY TOŻSAMOŚCI

Otwarty „list sześciu” zwraca uwagę na konieczność budowy nowej politycznej kultury współżycia. Jego sygnatariusze

podkreślają, że nie wolno postrzegać przeciwnika politycznego (mając zapewne na myśli AfD) jako wroga, jeśli tylko nie ucieka się on do stosowania przemocy w walce politycznej. I zwracają uwagę, że CDU – będąc partią politycznego centrum – nie może na dłuższą metę współpracować jedynie z partiami stojącymi od niej na lewo, bez ryzykowania utratą własnej tożsamości jako siły wolnościowej, a w gospodarce prorynkowej „głównych celów politycznych CDU nie da się osiągnąć z socjalistami, zielonymi i komunistami”.

„List sześciu” wywołał spore zamieszanie w szeregach CDU. Wizja współpracy z konserwatywną AfD niektórych przeraża: starosta lipski, Henry Graichen z CDU, powiedział w MDR Sachsen, że jeśli list otwarty ma zachęcać do budowy koalicji z AfD, to się sprzeciwia temu zamysłowi. CDU w Saksonii wydała w odpowiedzi na pytanie MDR oświadczenie stwierdzające, że wyklucza koalicję z AfD i Die Linke. Na temat Sojuszu Sahry Wagenknecht, prorosyjskiej partii na lewo od Die Linke, saksońska CDU nie wypowiedziała się niestety w tym oświadczeniu.

Premierem w Saksonii, stojącym na czele czarno-czerwonego rządu mniejszościowego (podobnie jak w Turynii), jest ponownie Michael Kretschmer. Petra Köpping z SPD jest wicepremierem. Towarzyszka Köpping to jedyny członek rządu, który w przysiędze pominął zwrot: „Tak mi dopomóż Bóg”. Rozmowy koalicyjne z BSW zakończyły się natomiast w Dreźnie fiaskiem. Do „jeżyńki” nad Łabą nie doszło. Z BSW czy bez niego Saksonia ma w istocie rząd lewicowy.

Turbulencje na scenach teatrów politycznych w Dreźnie i Erfurcie nie wróżą spokojnego lądowania CDU po nadchodzących wyborach do Bundestagu. Ale jedno jest pewne: o zdolności koalicyjnej AfD w obliczu sukcesów wyborczych tej partii mówi się dzisiaj już głośno. Na pewno po lutowych wyborach ton tej dyskusji będzie zdecydowanie ostrzejszy. Tym bardziej że zdaniem obserwatorów AfD wyraźnie zwiększy stan posiadania. Krwawy zamach na rynek bożonarodzeniowy w Magdeburgu i udaremniiony właśnie plan zamachu na jeden z kościołów Berlinie autorstwa imigrantów z krajów islamskich na pewno nie osłabiają Alternatywy dla Niemiec.

Amerykane w końcu dopięli swego i Duńczycy zgodzili się na transakcję. Dania od dawna szczyli się swoją demokracją, więc tuż przed sprzedażą tego terenu przeprowadzono w kraju referendum, w którym mieszkańcy dali transakcji zielone światło. Swoje robiła na pewno okazała suma, którą Amerykanie wyłożyli na stół. Amerykański prezydent mógł odtrąbić sukces: USA wzbogaciły się o przepiękny zakątek świata i wzmocniły swoje bezpieczeństwo narodowe, uniemożliwiając wrogiemu mocarstwu przejęcie strategicznie ważnego miejsca na mapie.

Nie, to nie jest opis hipotetycznego scenariusza z przyszłości. Ta transakcja rzeczywiście miała miejsce i jej stronami były Waszyngton oraz Kopenhaga. Doszło do niej ponad 100 lat temu, choć nie dotyczyła rzecz jasna Grenlandii, o której tak głośno jest w ostatnich tygodniach, lecz Duńskich Indii Zachodnich – wysepek leżących na Karaibach u zachodnich wybrzeży Portoryko. Był rok 1917, w Europie trwała wielka wojna i z jednej strony Amerykanie bali się, że Niemcy przejmą te wyspy (wraz z ich portami) od Danii, a z drugiej strony tamtejszy przemysł cukrowy przeżywał zapaść i utrzymywanie karaibskiego terytorium stało się dla Duńczyków kulą u nogi. W ten sposób, w zamian za 25 mln dol., Duńskie Indie Zachodnie stały się Wyspami Dziewiczymi Stanów Zjednoczonych.

Czy ta historia, choć na znacznie większą skalę, może się powtórzyć w naszych czasach? „The New York Times”, komentując słowa Donalda Trumpa o chęci kupna Grenlandii, jak najbardziej na poważnie rozpatruje taki scenariusz. „Trump chce przejąć kontrolę nad Grenlandią i Kanałem Panamskim: tym razem to już nie są żarty” – czytamy w tytule tekstu o sensacyjnie brzmiących zapowiedziach prezydenta elekta. „Jego agresywna interpretacja hasła [America First] przywołuje na myśl ekspansjonizm czy wręcz kolonializm prezydenta Theodore’a Roosevelta, który umocnił kontrolę nad Filipinami po wojnie hiszpańsko-amerykańskiej. Pokazuje to również instynkt potentata z branży nieruchomości, który nagle ma do dyspozycji najpotężniejszą armię świata, by wzmocnić swoją strategię negocjacyjną” – komentuje „NYT”.



Najtęższe umysły zastanawiają się, o co tak naprawdę chodzi Donaldowi Trumpowi w kontekście Grenlandii. Wiele wskazuje na to, że prezydent elekt na dobre uruchomił proces, który wprowadzi dużą zmianę na mapie politycznej północnej półkuli

W Kanadzie niedawny żart Trumpa o przyłączeniu tego kraju do USA jako 51. stanu został przyjęty generalnie ze śmiechem, ale tego samego nie można powiedzieć o reakcji Duńczyków. „Nie, zbyt wielu ludzi się z tego teraz śmieje” – powiedział cytowany przez nowojorski dziennik prof. Marc Jacobsen z Królewskiej Duńskiej Akademii Obrony, ekspert w zakresie bezpieczeństwa w Arktyce.

TRUMP NIE WYKLUCZA

Donald Trump już w 2019 r. po raz pierwszy rzucił w eter, że USA powinny kupić Grenlandię z powodów bezpieczeństwa narodowego. Trudno jednak przedstawiać to jako przejaw ekscentryzmu Trumpa, skoro jako pierwszy podobny pomysł przedstawił na początku zimnej wojny prezydent Harry S. Truman, również powołując się na kwestie bezpieczeństwa. W zeszłym tygodniu, podczas konferencji prasowej w swojej rezydencji na Florydzie, prezydent elekt rozwinął swoją grudniową myśl o konieczności przejęcia Grenlandii (i przy okazji Kanału Panamskiego). Trump stwierdził, że w pobliżu Grenlandii zbyt swobodnie pływają chińskie i rosyjskie statki, a poza tym – jego zdaniem – wcale nie jest pewne, czy Dania ma prawa do tej największej na świecie

wyspy. Najbardziej przebił się jednak do światowych mediów fragment konferencji, podczas której Trump odmówił zapewnienia, że nie użyje siły wojskowej lub przymusu ekonomicznego, by przejąć Grenlandię czy Kanał Panamski.

„Nie, nie mogę wykluczyć żadnego z tych dwóch czynników – Trump odpowiedział reporterowi. – Mogę natomiast powiedzieć, że potrzebujemy ich [kanału i Grenlandii] dla bezpieczeństwa gospodarczego”.

„Oto dlaczego powinniśmy ją [Grenlandię] chcieć – powiedział w CNN Scott Jennings, republikański strateg, zwolennik Trumpa. – Mają tam metale ziem rzadkich, już mamy tam jakąś swoją bazę kosmiczną, w ten sposób odgradzilibyśmy się od Rosjan. Trump to negocjator – składamy Danii ofertę i patrzymy, co ona na to powie”.

Pod względem bogactw naturalnych Grenlandia to faktycznie istne arktyczne eldorado. Poza ropą naftową, gazem ziemnym i uranem wyspa skrywa też bardzo okazałe zasoby metali ziem rzadkich, które są niezbędne do produkcji zaawansowanej elektroniki. Chińczycy dominują w tym sektorze światowej gospodarki i Waszyngton nie może sobie pozwolić, by firmy wydobywcze z Państwa Środka zakotwiczyły



Grenlandię

FOT. AUBREY STODOL

Donald Trump po raz pierwszy rzucił w eter, że USA powinny kupić Grenlandię, już w 2019 r.

się na dalekiej Północy, tuż u wybrzeży Ameryki Północnej (nawiasem mówiąc, pod względem geograficznym Grenlandia jest częścią właśnie tego kontynentu, a nie Europy). Swoje robi też perspektywa użytkowania arktycznego szlaku handlowego, natomiast Amerykanie od początku zimnej wojny dysponują na północy Grenlandii dużą bazą lotniczą, w której znajdują się również systemy wczesnego ostrzegania przed atakiem rakietowym.

Duńskie władze na razie dość grzecznie, ale jednak stanowczo ucinają temat przejęcia przez USA Zielonej Wyspy. Premier Mette Frederiksen powiedziała, że wśród Grenlandczyków widać głębokie przekonanie, iż ich ojczyzna nie jest na sprzedaż. „Z jednej strony jest mi miło z powodu amerykańskiego zainteresowania Grenlandią – powiedziała premier na antenie duńskiej telewizji TV2. – Ale oczywiście najważniejsze, aby to była

decyzja Grenlandczyków – jakiej chcą dla siebie przyszłości”.

DROGA KU NIEPODLEGŁOŚCI

Wyspa o powierzchni niemal 2,2 mln km (pod względem wielkości byłoby to 12. największe państwo świata) zamieszkała jest przez niecałe 60 tys. ludzi. Grenlandczycy od 1979 r. cieszą się autonomią, mają własny rząd, ale politykę zagraniczną i obronną prowadzi za nich rząd w Kopenhadze. Na wyspie od dawna słychać jednak głosy domagające się niepodległości i wygląda na to, że ostatnie zapowiedzi Trumpa nadały temu procesowi nową dynamikę.

Premier Grenlandii Múte Egede, komentując zamieszanie wywołane przez amerykańskiego prezydenta elekta, podkreślił, że Grenlandia nie jest na sprzedaż, natomiast retoryczną salwę oddał również w kierunku samej Danii. Egede powiedział, że czas już, by Grenlandia zrzuciła „kajdany” kolonializmu, i zasugerował, że jeszcze w tym roku na wyspie może się odbyć referendum w sprawie niepodległości. W 2009 r. Kopenhaga zawarła z władzami w Nuuk (stolicy wyspy) umowę, która zakłada, że Grenlandczycy mogą uzyskać niepodległość po zorganizowaniu referendum w tej sprawie.

Nastroje mieszkańców nie sprzyjają utrzymaniu status quo. Na wyspie rdzenna ludność ma Duńczykom wiele za złe, choćby program przymusowego zakładania kobietom spiral antykoncepcyjnych, co miało ograniczyć przyrost ludności inuickiej. Szacuje się, że tylko w drugiej połowie 60. XX w. potraktowano w ten sposób 4,5 tys. kobiet (skala była więc ogromna, zważywszy na wielkość populacji).

Oliwy do ognia dolała zeszltygodniowa wizyta najstarszego syna prezydenta elekta, który z pompą wylądował w Nuuk prywatnym samolotem ojca z jego nazwiskiem namalowanym na kadłubie. Starannie przygotowany show obejmował m.in. rozdawanie mieszkańcom czerwonych czapek MAGA, rozmowy przed kamerami na temat największych problemów społecznych i zapowiedzi, że Grenlandia może liczyć na Amerykę...

Donald Trump junior, ogłoszony przez ojca specjalnym wysłannikiem na Grenlandię, po wizycie na wyspie postanowił jeszcze podgrzać atmosferę. „Wygląda na to, że jest tam dużo rasizmu” – stwierdził syn prezydenta elekta, dodając, że jego rozmówcy skarżyli się, iż Duńczycy traktują ich jak obywateli drugiej lub trzeciej kategorii.

Niechętni Trumpowi komentatorzy krytykują go za to, że nie wykluczając groźby użycia siły w celu przyłączenia Grenlandii do USA, prezydent elekt grozi w istocie swojemu partnerowi z NATO. Wydaje się jednak, że scenariuszem dużo bardziej realnym niż wojna z Danią jest po prostu obłaskawienie Grenlandczyków. Czy tak trudno wyobrazić sobie, że po udanym referendum w sprawie niepodległości populacja zbliżona wielkością do Wołomina obsypana zostanie pieniędzmi i przywilejami przez najbogatsze, najpotężniejsze państwo świata, w związku z czym w kolejnym referendum decyduje się związać w ten czy inny sposób z USA?

Matthew Bartlett, strateg Partii Republikańskiej, który w pierwszej administracji Trumpa pracował w Departamencie Stanu, przekonuje, że „szalone” pomysły Trumpa dobrze sprawdzały się w dyplomacji: „Patrząc na to z punktu widzenia polityki zagranicznej, jeżeli światowi przywódcy nie za bardzo cię lubią, ale nigdy nie mogą być pewni, co naprawdę zrobisz, to doskonale. Dokładnie o to chodzi”.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Dwa miesiące temu, 8 listopada, po raz pierwszy od ponad pięciu i pół roku – czyli od dnia pożaru katedry Notre Dame, który wybuchł 14 kwietnia 2019 r. – Paryż znów usłyszał bicie ośmiu odrestaurowanych dzwonów swojego najważniejszego kościoła. To wzruszające i symboliczne wydarzenie stało się zapowiedzią obchodów ponownego otwarcia katedry, które rozpoczęły się 7 grudnia, w wigilię uroczystości Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Marii Panny. Choć pierwotnie, zgodnie z zasadą laickości Republiki, uroczystości świeckie miały się odbyć na dziedzińcu katedry, to ostatecznie ze względu na złe warunki pogodowe prezydent Emmanuel Macron wygłosił swoje przemówienie wewnątrz świątyni, w obecności przywódców z całego świata, wśród których nie zabrakło prezydenta elekta Donalda Trumpa, a także prezydenta Andrzeja Dudy.

W ramach obrzędów religijnych rekonsekracji świątyni, celebrowanych przez arcybiskupa Paryża Laurenta Ulricha, otwarto uroczyste wrota katedry, nastąpiło symboliczne „obudzenie” odrestaurowanych organów, odprawiono nabożeństwo dziękczynne z uroczystym odśpiewaniem „Te Deum”. Poświęcenie nowego ołtarza miało miejsce nazajutrz, podczas uroczystej Mszy Świętej koncelebrowanej przez ponad 170 biskupów z całego świata. Od 8 grudnia codziennie przez osiem dni w godzinach porannych odprawione zostały kolejne Msze Święte w intencji wszystkich osób, które przyczyniły się do odbudowy kościoła, a w godzinach popołudniowych drzwi katedry zostały szeroko otwarte dla pragnących modlić się w jej wnętrzu i podziwiać jej odnowione jasne, majestatyczne wnętrza.

KRAJ KOŚCIOŁÓW

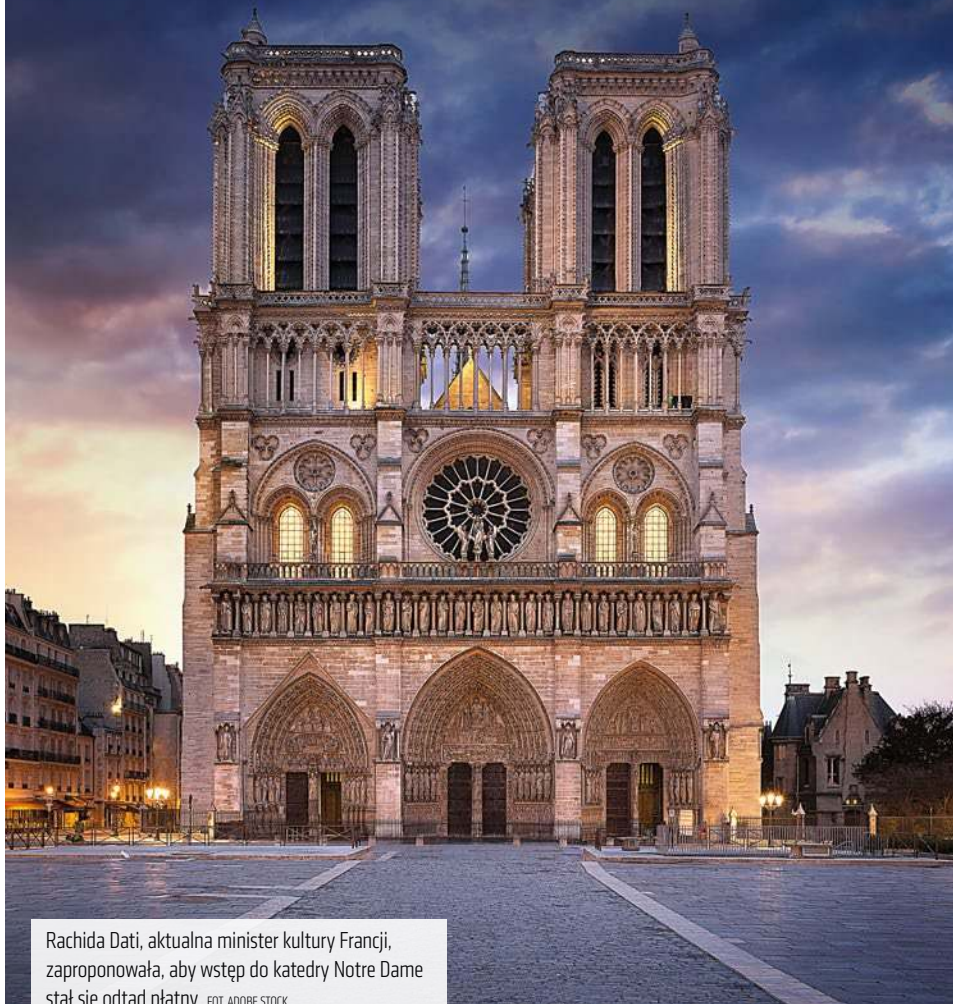
Tymczasem radość Francuzów – którzy mimo że zwykle „Panu Bogu się nie narzucają”, pozostają przywiązani do relikwów swojej bogatej, chrześcijańskiej historii – została zmącona polityczną polemiką, która we wznieście chwili przywracania do życia jednej z najważniejszych świątyni katolickiego świata wywołała we Francji wiele emocji. Oto Rachida Dati, aktualna minister kultury, w wywiadzie udzielonym 23 października dziennikowi „Le Figaro” zaproponowała, aby wstęp do katedry Notre Dame stał się odtąd płatny. Dzięki

Notre Dame. Wstęp płatny



Agnieszka Golańska-Bault

Płatny wstęp do katedry Notre Dame receptą na ratowanie pozostałych zabytków sakralnych we Francji – ten pomysł wywołuje ożywioną dyskusję w Republice. Dla przeciwników tego pomysłu jasne jest, że chodzi o bardzo szkodliwy precedens ograniczający dostęp wiernych do najpiękniejszych miejsc kultu



Rachida Dati, aktualna minister kultury Francji, zaproponowała, aby wstęp do katedry Notre Dame stał się odtąd płatny. FOT. ADOBE STOCK

sprzedaży biletów po 5 euro od osoby i przy założeniu, że katedrę Notre Dame odwiedzać będzie rocznie ok. 15 mln „turystów”, można byłoby uzyskać kwotę aż 75 mln euro, która w całości zasilaby fundusz restauracji zabytków religijnych. „W ten oto sposób Notre Dame uratowałaby wszystkie kościoły Francji. Byłby to wspaniały symbol” – przekonywała pani Dati, dodając, że przecież wstęp do niemal wszystkich najwspanialszych świątyń w Europie jest płatny.

Choć pomysł Rachidy Dati spotkał się ze zdecydowanym sprzeciwem strony kościelnej, wiernych, działaczy społecznych, wielu polityków i prawników, to nie sposób zaprzeczyć, że materialne chrześcijańskie dziedzictwo Francji nie tylko jest jej niezaprzeczalnym bogactwem, lecz także staje się z biegiem lat coraz trudniejszym do finansowego uniesienia brzemieniem. Ten, kto miał okazję podróżować samochodem przez Francję, wie, że niemal każde wieś, miasteczko czy miasto ma swój gotycki lub romański kościół, swoją dzwonnice, a czasem nawet swoje opactwo. Są one niejako wpisane we francuski pejzaż. Kościoły w tym tak mocno zdechrystianizowanym kraju wciąż są punktem odniesienia dla milionów ludzi. Nawet osoby niepraktykujące czy wręcz niewierzące są do nich przywiązane, gdyż są częścią ich życia, częścią religijnej lub kulturowej tożsamości, tak że wciąż wielu bierze w nich ślub kościelny i chrzci swoje dzieci.

Kościół to także swoiste lokalne muzea, skrywające nierzadko prawdziwe dzieła sztuki. To wreszcie centra kultury, gdzie coraz częściej odbywają się koncerty, spotkania autorskie, spektakle. Miejsca otwarte dla wszystkich i bliskie niemal każdemu. To niezwykle materialne dziedzictwo „najstarszej córki Kościoła” jest dziś zagrożone powolnym znikaniem. Według raportu o stanie zabytków religijnych z 2022 r. Francja posiada aż 100 tys. budynków o charakterze sakralnym, z czego niespełna 40 tys. wciąż jest używanych do celów związanych z kultem, ale w tej liczbie tylko 15 tys. objętych jest ochroną konserwatorską. O ok. 3 tys. budynków religijnych nikt się już nie troszczy.

Znany francuski dziennikarz Stéphane Berne, gorliwy obrońca francuskiego dziedzictwa historycznego, założyciel Fundacji Pour l’histoire et le Patrimoine (Na rzecz

historii i dziedzictwa) już dwa lata temu alarmował senacką komisję do spraw kultury, mówiąc o ogromnej liczbie opuszczonych wiejskich kościółków, o które nikt nie dba, ponieważ we Francji jest coraz mniej ludzi wierzących, a na remonty budynków sakralnych nie ma publicznych pieniędzy. Senatorom zarzucił jednocześnie brak woli politycznej i mobilizacji, aby kościoły te ratować.

ROZDZIAŁ PAŃSTWA I KOŚCIOŁA

Polski czytelnik niniejszych słów mógłby pomyśleć, że powolne niszczenie miejsc kultu jest nieuchronną i naturalną konsekwencją odejścia ludzi od wiary. Jest to jednak tylko część prawdy. Okazuje się bowiem, że to lokalne społeczności stają najczęściej w obronie zagrożonych zburzeniem lub sprzedażą religijnych zabytków. Jednak średni koszt prac remontowych kościoła popadającego w ruinę wycenia się na ok. 1,5 mln euro, co dla kilkuset, a czasem zaledwie kilkudziesięciu mieszkańców danej miejscowości jest kwotą niemożliwą do pokrycia. Co więcej, nie są jej w stanie udźwignąć również gminy, na których teoretycznie ciąży taki obowiązek.

na dofinansowywanie religijnych obiektów objętych ochroną konserwatorską, a więc uznanych za najbardziej wartościowe historycznie, których liczbę szacuje się na ok. 15 tys. Na pozostałe potrzeby pieniędzy brak.

Mecenas Henri de Beauregard, polemizując na antenie Radia Courtoisie na temat pomysłu biletowania wejścia do katedry Notre Dame z Edouardem de Lamaze, prezesem organizacji Observatoire du Patrimoine Religieux (Obserwatorium dziedzictwa sakralnego), zwrócił uwagę na to, że jedynie 3 proc. budżetu ministerstwa kultury przeznaczone jest na ochronę wszystkich zabytków we Francji. To skandalicznie mało. Jednocześnie ogromne, stale rosnące sumy publicznych pieniędzy wydaje się na wątpliwej wartości wystawy, filmy i spektakle, których nikt nie chce oglądać. Tym samym uważa on, że państwo francuskie nie wywiązuje się ze swoich ustawowych obowiązków, wręcz kapituluje w tej materii i neguje jeden z priorytetów odpowiedzialnej polityki historycznej, którym powinna być ochrona zabytków. Dość powiedzieć, że odbudowa katedry Notre Dame została w całości

Jedynie 3 proc. budżetu ministerstwa kultury przeznaczone jest na ochronę wszystkich zabytków we Francji. To skandalicznie mało. Jednocześnie ogromne, stale rosnące sumy publicznych pieniędzy wydaje się na wątpliwej wartości wystawy, filmy i spektakle, których nikt nie chce oglądać

We Francji na mocy Ustawy o rozdziale Kościoła od państwa z 1905 r. usankcjonowano konfiskatę majątku Kościoła przez państwo. Wszystkie obiekty kultu wybudowane do 1905 r. stały się wówczas własnością Republiki. Kościoły i kaplice wzniesione po tej dacie należą do Kościoła i wspólnot religijnych. Z tytułu własności wynikają oczywiście obowiązki, a zatem we Francji to państwo jest ustawowo zobowiązane do finansowania bieżącego utrzymania i remontów przejętych 120 lat temu kościołów. W praktyce oznacza to, że koszty funkcjonowania 87 katedr mają być pokrywane bezpośrednio z budżetu centralnego, a koszty związane z pozostałymi kościołami powinny pokrywać gminy. Tymczasem pieniędzy wystarcza zaledwie

sfinansowana przez 340 tys. prywatnych darczyńców ze 150 krajów, którzy dzieło to zaczęli wspierać już od pierwszego dnia po pożarze i wyasygnowali na ten cel łącznie 846 mln euro.

Pomysł polegający na wprowadzeniu opłat za odwiedzenie najważniejszego miejsca kultu we Francji Beauregard nazywa wprost „emocjonalnym szantażem” ze strony rządu, gdyż przesłanie za nim idące brzmi jak pogroźka: „Będziemy finansować utrzymanie francuskich kościołów, ale to wy musicie za to zapłacić. Jeśli nie, to kościoły będą burzone”. I nie jest to czcza mowa. Na przestrzeni 19 lat (2000–2019) we Francji zburzono 45 kościołów, a proces ten z powodu degradacji budynków sakralnych przyspiesza.

■ Według raportu z 2022 r. o stanie religijnych zabytków we Francji szacuje się, że do 2030 r. z pejzażu tego kraju zniknie nawet 3 tys. kościołów (w tej liczbie są także świątynie XX-wieczne zarządzane przez Kościół, budowane często z materiałów słabej jakości i niszczące znacznie szybciej).

Absolutnym priorytetem jest zatem pilne znalezienie nowych systemowych rozwiązań umożliwiających ratowanie francuskich zabytków sakralnych. Nie musi to być – a zdaniem wielu nawet nie może – biletowanie wstępu do kościołów. Jednym z pomysłów jest podniesienie opłaty klimatycznej płaconej przez turystów o 1 euro za noc oraz opodatkowanie wszystkich zakładów krajowego operatora loterii Française des jeux, co pozwoliłoby na wygenerowanie dodatkowych przychodów budżetu państwa na poziomie ok. 500 mln euro. Niezbędne wydaje się promowanie fundacji działających na rzecz ochrony zabytków czy charytatywnych loterii, jak Loto du Patrimoine (Loteria na rzecz zabytków) organizowana co roku przez Stéphana Berna.

Aby znaleźć skuteczne rozwiązanie, potrzebna jest polityczna wola, której na razie brak. Propozycja wprowadzenia opłat za wejście do katedry jest prawnie wątpliwa. Państwo jest co prawda właścicielem obiektu i mogłoby się wydawać, że swoim majątkiem może dysponować zgodnie ze swoim interesem, ale – jak czytamy w komunikacie diecezji paryskiej, która zdecydowanie przeciwstawiła się pomysłowi pani Rachidy Dati – „bezpłatny wstęp do katedr i kościołów jest uzasadniony zarówno przepisami ustawy z 1905 r. o rozdziale Kościoła od państwa, jak i podstawową misją kościołów: zapewnieniem serdecznego przyjęcia wszystkim odwiedzającym”.

I choć prawdą jest, że niektóre części katedry, takie jak wieże czy krypta, już wcześniej były obłożone opłatami, gdyż właściciel za zgodą użytkownika (czyli paryskiej diecezji) uznał je za wydzielone miejsca muzealne, to trudno jest zastosować tę zasadę do samego kościoła. Jest on przede wszystkim miejscem kultu, którego sprawowanie zgodnie z laickością francuskiego państwa leży poza tego państwa wpływem.

Zwolennicy wprowadzenia opłaty za wejścia do katedry Notre Dame, w tym

wspomniany powyżej Edouard de Lamaze, utrzymują, że zasada bezpłatnego wstępu dla wiernych nie będzie kwestionowana. Opłaty mają być pobierane jedynie od odwiedzających ją turystów traktujących zabytek jak muzeum. Natychmiast jednak rodzi się pytanie, jak odróżnić jednych od drugich i czy takie odróżnienie jest w ogóle możliwe, a nawet czy jest dopuszczalne. Sprawa wydaje się mieć dla niektórych stricte techniczny charakter, sprowadzający się do zasady, że udział w nabożeństwach nie zostałby obłożony opłatami, zwiedzanie kościoła wiązałaby się natomiast z koniecznością uiszczenia opłaty. Tymczasem, jak zauważa Henri de Beauregard: „Każdy turysta to potencjalny wierny, każdy wierny karmi swoją wiarę tym, co widzi jako turysta”. Czy np. amerykańscy uczestnicy wycieczki oglądający Notre Dame i zapalający świeczkę przed jedną z figur wciąż są turystami czy należy ich potraktować

Dla przeciwników tego pomysłu jasne jest, że chodzi o bardzo szkodliwy precedens ograniczający dostęp wiernych do najpiękniejszych miejsc kultu. Poprzez kategoryzowanie wchodzących do katedry, bardzo trudne do wykonania w praktyce, nastąpiłoby natomiast zerwanie swoistej łączności czy wręcz komunii pomiędzy wiernymi a turystami – jak to ujęto w stanowisku diecezji paryskiej – „która jest samą esencją tego miejsca, a to faktycznie uniemożliwiłoby im doświadczenie miejsca w jego integralności i nieskończonym pięknie”.

„Katedra Notre Dame, tak jak wszystkie inne katedry i kościoły, pozostaje przede wszystkim domem Boga, sanktuarium otwartym dla wszystkich, wierzących lub nie. Niezależnie od tego, czy idziemy się do nich modlić czy podziwiać ich sklepienia, witraże czy rzeźby, nie należy czynić żadnego rozróżnienia. Splendor tego miejsca służy Bogu, a spotkanie dokonuje

Dziś się mówi o rzekomo symbolicznej kwocie 5 euro, którą każdy powinien być w stanie wygospodarować na bilet wstępu do Notre Dame. A co stoi na przeszkodzie, aby zasadę odpłatności wprowadzać w kolejnych katedrach i kościołach?

jako pielgrzymów? – zastanawia się dalej. Jak traktować przypadek słynnego francuskiego pisarza Paula Claudela, który wszedł do katedry Notre Dame jako ateista, tylko dlatego że – jak sam napisał we wspomnieniach – „nie miał nic innego do roboty”, a wyszedł z niej jako człowiek głęboko wierzący, który całą resztę życia i twórczości poświęcił Bogu? – pyta dalej Beauregard.

NIEBEZPIECZNY PRECEDENS

Dziś się mówi o rzekomo symbolicznej kwocie 5 euro, którą każdy powinien być w stanie wygospodarować dla ratowania sakralnego dziedzictwa Francji. Czy można rzec, że jest ona rzeczywiście tak znikoma, gdy katedrę chciałaby odwiedzić wielodzietna rodzina? A co stoi na przeszkodzie, aby wkrótce opłata wzrosła do 10 euro? Czy też aby zasadę odpłatności wprowadzać nie tylko w kolejnych katedrach, lecz także w bardziej atrakcyjnych kościołach?

się w sercu każdego odwiedzającego” – zauważył Jego Eksceleńcja biskup diecezji Fréjus-Toulon, Dominique Rey.

W swoim stanowisku podkreśla z mocą, że kościół nigdy nie może być traktowany jak muzeum, gdyż jest on bramą do doświadczenia mistycznego, a bezpłatny dostęp do miejsc kultu jest odzwierciedleniem ewangelicznego ideału uniwersalizmu katolickiej wiary. Choć podobnie jak arcybiskup Paryża przyznaje, że ochrona religijnych zabytków jest dziś ogromnym wyzwaniem zarówno dla państwa, jak i dla Kościoła i jego wiernych, to w ostatnich słowach swojego komunikatu zachęca: „Jan Paweł II wzywał nas: »Nie lękajcie się. Otwórzcie szeroko drzwi Chrystusowi«. No właśnie, otwórzmy drzwi naszych kościołów, aby szerzej otworzyć nasze serca na Chrystusa”.

Tylko czy ideały chrześcijańskiego uniwersalizmu przemówią do wyobraźni laickich władarzy V Republiki?

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

PAPIER I SEDES

Japońskie toalety słyną z rozwiązań, które na przeciętnym mieszkańcu Europy Środkowej robią niemałe wrażenie. Można tu wymienić odtwarzacze muzyki, automatyczne spłuczki czy podgrzewane siedzenia. Zaawansowana technologia przegrywa jednak... z papierem toaletowym. Otóż problemem niektórych Japończyków są – czemu dali wyraz w serwisach społecznościowych – mikrozarysowania na deskach sedesowych. Jak wyjaśnia Toto, czołowy japoński producent muszli klozetowych, ślady te pozostawia wycieranie desek papierem. Użytkownicy sami są sobie winni.

ATAK POLICJANTA

W Akwizgranie stróż prawa zatrzymał samochód do kontroli. Poprosili kierowcę o wyjście z pojazdu, mężczyzna jednak nie chciał tego zrobić. Wtedy jeden z funkcjonariuszy – zresztą nieumundurowany, bo nie był wtedy na służbie – wpadł w furję: wyciągnął nóż i poprzecinał opony zatrzymanego samochodu. Jak się okazało, kierowca zatrzymanego pojazdu oraz krewki policjant znali się wcześniej i podzieliły ich zaszłości osobiste.

SEKS Z WIĘZNIEM

W Wielkiej Brytanii młoda strażniczka więzienna została przyłapana na współżyciu seksualnym z mężczyzną odsiadującym pod jej okiem wyrok. Za nawiązanie relacji intymnej ze skazańcem podczas wykonywania swoich obowiązków służbowych kobieta trafiła za kraty. Być może nie poniosłaby takich konsekwencji, gdyby nie to, że sceny zbliżenia między nią a jej podopiecznym zostały nagrane przez innego więźnia i trafiły do Internetu. ©

Filip Memches

ZŁODZIEJE ŁAKOMCZUCHY

W jednym z londyńskich hipermarketów sieci Sainsbury's dwóch zakapturzonych mężczyzn opróżniło półki z czekoladkami. Wielką torbę na zakupy zapakowali słodyczami do pełna. Potem, nie płacąc za towary, jakby nigdy nic szybkim krokiem opuścili sklep. Personel i klienci tylko się im przyglądali. Nikt złodziei łakomczuchów nie próbował zatrzymać.

„NIEBINARNE” PRAWO JAZDY

Departament Środków Transportu stanu Floryda cofnął „niebinarnemu” tiktokerowi, Jamesowi Rose'owi, prawo jazdy. Powodem jest podjęta przez niego próba zmiany płci w tym dokumencie. Rose ogłosił, że w stanowym prawie Florydy znalazła się luka umożliwiająca zmianę tożsamości płciowej w prawie jazdy bez procedur, które – jego zdaniem – są uciążliwe i zbędne. Postanowił więc rządzącym półwyspem konserwatystom zrobić na złość. Teraz ponosi tego skutki.

FOT. INSTAGRAM.COM/JAMESROSEJUNG

GLOBALNE OCHŁODZENIE

To nie świat dla chorych ludzi



JACEK PRZYBYLSKI

Pracownicy portugalskiego pogotowia masowo lekceważą nawet tych chorych, którzy pilnie potrzebują pomocy medycznej. Z raportu inspektorów resortu zdrowia wynika, że dyspozytorzy pogotowia pozostawili w 2024 r. bez odpowiedzi co najmniej 60 tys. telefonów od pacjentów potrzebujących pomocy.

A to nie koniec złych wiadomości dla chorych: w niektórych przypadkach chaos w izbach przyjęć jest tak ogromny, że dyrekcje tych placówek zdecydowały o ich zamknięciu, w innych czas oczekiwania na pomoc medyczną wynosi

od kilku do kilkunastu godzin. W Lizbonie i okolicach średni czas oczekiwania w przypadku pilnych zdarzeń wynosił osiem godzin, a w takich miastach jak Coimbra czy Portimão pacjenci na lekarza czekali po dziewięć godzin.

Niestety, te statystyki nie zaskoczyłyby pacjentów polskich szpitali. Rekordziści czekali w nich po 30 godzin, choć teoretycznie nawet osoby z najniższą kategorią pilności nie powinny czekać na kontakt z lekarzem dłużej niż 240 minut.

Kontrowersyjnej rady, choć być może rzeczywiście skutecznej, osobom żyjącym

w czasach niewydolnych systemów opieki zdrowotnej udzielił burmistrz Belcastro w Kalabrii. W małym mieście nie ma lekarza (a pogotowie znajduje się niemal 50 km dalej). W wydanym rozporządzeniu Antonio Torchia nakazał mieszkańcom, aby unikali zapadania na choroby mogące wymagać natychmiastowej pomocy. Zalecił też, aby „jak najwięcej odpoczywali”, nie wychodzili „zbyt często” z domów, nie podróżowali ani nie uprawiali sportu. „Zakaz chorowania” ma obowiązywać do czasu zapewnienia w miasteczku choćby dyżurów lekarskich. ©



Z dr. inż. Tomaszem Wójcikiem z Politechniki Wrocławskiej,
emerytowanym chemikiem
rozmawia Tomasz Cukiernik

Węglowe kłamstwo

TOMASZ CUKIERNIK: Czy człowiek jest winny globalnemu ociepleniu?

DR INŻ. TOMASZ WÓJCİK: Panuje powszechne przekonanie, zresztą bardzo mocno ugruntowane przez różnego rodzaju media, że w wyniku spalania węgla, ropy naftowej, gazu ziemnego do atmosfery dostaje się duża ilość dwutlenku węgla, który absorbuje promienie podczerwone, czyli ciepłe, i nie pozwala temu promieniowaniu wylecieć w kosmos, przez co atmosfera się ogrzewa

i klimat robi się coraz cieplejszy. Takie jest przekonanie. Są jednak pewne fakty, które temu przeczą.

Skąd w ogóle wzięło się pana zainteresowanie tym problemem?

Jestem zaangażowany w Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność” w pracę dotyczącą Zielonego Ładu. Nasze zainteresowanie tym unijnym programem wynika z tego, że – według naszych ocen – zauważyliśmy niebezpieczeństwo

zatrzymania gospodarki i utraty miejsc pracy dla całej rzeszy pracowników. Komisja Krajowa rozesała wcześniej do różnych instytucji unijnych i krajowych pytania, czy były szacowane rezultaty wprowadzenia tego Zielonego Ładu. Nie dostaliśmy żadnej odpowiedzi. Wobec tego zwróciliśmy się do ludzi, których rozpoznawaliśmy jako autorytety w swoich dziedzinach, żeby próbowali ocenić, jak oni to widzą, co może realizacja Zielonego Ładu przynieść w najbliższej przy-



Okazało się, że zmiany temperatury wyprzedzają zmiany stężenia CO₂ o dziewięć miesięcy

trafiłem na bardzo ciekawą pracę z 2013 r. Norwegów, mianowicie prof. Olego Humluma i jego współpracowników, którzy nie wykonywali badań, ale skorzystali z baz danych i wyników pomiarów, które są prowadzone na całym świecie przez różnego rodzaju systemy pomiarowe, łącznie z satelitarnymi, i wykonali wykres zmian temperatury na Ziemi i zmian stężenia dwutlenku węgla w atmosferze od roku 1980 do 2012, więc przez 32 lata. Czym się różniło ich podejście od dotychczas stosowanych zestawień? Otóż dotychczas, mówiąc o klimacie oraz związku temperatury i CO₂, wykresy były robione na skali czasu w milionach lat, tysiącach lat, setkach lat. Oni natomiast robili to w skali miesięcy, czyli co miesiąc. I okazało się, że zmiany temperatury wyprzedzają zmiany stężenia CO₂ o dziewięć miesięcy. Czyli wygląda to tak, jakby skutek wyprzedzał przyczynę. A więc jest to absolutne zaprzeczenie tego, co się powszechnie uważa.

Czyli najpierw mamy wzrost temperatury, a dopiero potem zwiększenie stężenia dwutlenku węgla w powietrzu, tak?

Jest wzrost temperatury i dziewięć miesięcy później następuje wzrost stężenia dwutlenku węgla o podobnym kształcie. Doskonale wiemy, jak się zachowuje woda sodowa. Jeżeli jest zimno i wsadzimy ją do lodówki, to bąbelki się nie wydostają. Jeżeli wyjmemy z lodówki wodę sodową i ona się ogrzeje, to zaczynają się wydzielać bąbelki dwutlenku węgla. Gaz ten się ulatnia wraz ze wzrostem temperatury. I tutaj właśnie można to na tej podstawie wyjaśnić.

Główne zasoby dwutlenku węgla na Ziemi zawarte są w oceanach, nie w atmosferze. W oceanach jest go nieporównywalnie więcej niż w atmosferze. Jeżeli temperatura na Ziemi się podnosi, to dwutlenek węgla z oceanów z opóźnieniem wydostaje się do atmosfery. Jeśli temperatura się obniża, to dwutlenek rozpuszcza się w wodzie. Z punktu

szłości. Uzyskaliśmy odpowiedzi. Każdy pisał swoją opinię niezależnie. Wszyscy ci autorzy ekspertyz nie kwestionowali faktu, że dwutlenek węgla jest przyczyną wzrostu temperatury, tylko pokazywali, jakie negatywne skutki przyniosą zalecane przez Unię Europejską rozwiązania.

Moje zainteresowanie wzbudziło to, dlaczego wszyscy akceptują, że CO₂ jest przyczyną wzrostu temperatury, jakie są podstawy naukowe takiego twierdzenia, takiej powszechnie przyjętej tezy. Będąc

członkiem zespołu do spraw Zielonego Ładu, zainteresowałem się tym, co w tej sprawie wiadomo.

Zainteresowało mnie właśnie pytanie, jak wygląda sprawa ilościowego pochłaniania ciepła przez CO₂. No bo to, że on pochłania w ogóle ciepło w pewnym sensie, to jest oczywiste, dlatego że w zakresie podczerwieni widma absorpcyjnego jest widoczne pochłanianie. Ku mojemu zdumieniu okazuje się, że literatura na ten temat jest bardzo znikoma. Natomiast na-

FOT. JADIE STECK

Widzenia fizyki jest to oczywiste. Tego uczy się już w szkole podstawowej. Trochę mnie dziwi, dlaczego mamy taką armię fizyków, którzy tego prostego zjawiska nie zauważyli. Co ciekawe, nie słyszałem, żeby ktoś zaprzeczył temu, że Norwegowie coś źle policzyli, źle zrobili. Jest cicho. Natomiast to mnie bardzo zaintrygowało. Wszyscy mówią, że dwutlenek węgla jest przyczyną ocieplenia klimatu, a tutaj nagle się okazuje, że to nieprawda.

Czyli jest czy nie jest?

Z tego wynika, że nie jest. Ale jest kolejna rzecz. Każdy fizyk wie, że jeżeli buduje się jakąś hipotezę, jakąś teorię, to trzeba znaleźć eksperyment, dowód doświadczalny, który tę tezę potwierdza. Jeżeli takiego eksperymentu nie ma, to teza jest dalej tezą. Ale jeżeli eksperyment jest i potwierdza tezę, to już to jest pewne. Jeżeli natomiast eksperyment nie potwierdza tezy, to choćby była najpiękniejsza, i tak jest fałszywa. I co się okazuje? Że na przestrzeni ostatnich 120 lat wykonano dwa eksperymenty – takie przynajmniej w literaturze są odnotowane – które odnoszą się dokładnie do tego problemu. Mianowicie w 1900 r. szwedzki fizyk Knut Ångström na podstawie przeprowadzonego eksperymentu stwierdził, że występuje tzw. zjawisko nasycenia. W atmosferze ziemskiej jest pochłaniana jakaś część tego promieniowania, a reszta spokojnie dalej przechodzi. Czyli krótko mówiąc, dokładanie dalszych stężeń dwutlenku węgla nie powoduje zatrzymywania tego promieniowania. To było dość rewolucyjne stwierdzenie jak na owe czasy, ale przez ponad 100 lat nie wykonano kontrpomiarów, które by wykazały, że jest ono błędne. Nikt tego jakoś nie powtórzył i dopiero w roku 2020 ukazała się praca trzech badaczy z Wojskowej Akademii Technicznej, którzy dokonali pomiaru absorpcji promieniowania podczerwonego w dwutlenku węgla.

Jak to zrobili?

Bardzo prosto. Przygotowali rurę z powietrzem, do którego dodawano dwutlenku węgla tyle, ile znajduje się w takiej hipotetycznej rurze, np. jak sobie narysujemy kółko na powierzchni ziemi i weźmiemy od ziemi do nieba taką rurę, to w niej jest jakaś ilość dwutlenku węgla. Obliczyli,

Wniosek jest taki, że ile byśmy spalili węgla, ile byśmy spalili gazu, ile byśmy spalili benzyny, ilość dwutlenku węgla, która się dostanie do atmosfery, na temperaturę nie ma żadnego wpływu

jaka jest ilość tego dwutlenku węgla, bo te wszystkie dane są znane, i odpowiednio do tej rury pomiarowej dostarczali dwutlenek węgla. Wynik tych pomiarów pokazuje, że rzeczywiście zjawisko nasycenia występuje. I tak jak pokazał Knut Ångström, absorpcja promieniowania termicznego w dwutlenku węgla nie może przekroczyć określonej wartości.

Czyli ile ona wynosi?

Ångström podał 16 proc., im wyszło ok. 15 proc. Nasycenie następuje już ok. 200 ppm (jednostek na milion). Obecnie w atmosferze jest ponad 413 ppm.

Chodzi o to, że jeśli dwutlenku węgla jest więcej niż 200 ppm, to przestaje on mieć wpływ na ocieplenie, a jeśli poniżej 200, to ma wpływ. Tak?

Tak. Absorpcja rośnie, aż dochodzi do tego momentu nasycenia, gdzie już później nic się nie zmienia. Można to porównać do sytuacji, w której przykrywamy się jakąś pierzynką i do pewnego momentu ta pierzynka nas chroni, ciepło to zatrzymuje, a później dokładanie kolejnych pierzyn już nic nie zmienia. Jest to jednak eksperyment, któremu można by zarzucić, że nie odzwierciedla rzeczywistej sytuacji w atmosferze. Bo w atmosferze mamy zmieniające się ciśnienie i temperaturę: im wyżej, tym ciśnienie i temperatura niższa. Więc te warunki fizyczne dla absorpcji zmieniają się wraz z wysokością. A ci naukowcy z WAT przeprowadzili eksperyment przy powierzchni ziemi, w rurce, więc można zrobić pewien zarzut, że nie odpowiada to rzeczywistym warunkom ziemskim. Dlatego wykonali bardzo ciekawy kolejny eksperyment. Mianowicie wyszli z założenia, zresztą słusznego, że skoro promieniowanie przechodzi od Ziemi w kosmos, to jak przychodzi z kosmosu do Ziemi, powinno podlegać tym samym zasadom, tym samym działaniom.

I co wymyślili?

Wybrali bardzo pogodną noc przy pełni Księżyca, w czystej atmosferze.

Wiadomo, że oświetlona Słońcem strona Księżyca ma temperaturę 110 st. C. Czyli na pewno wysyła promieniowanie podczerwone w kierunku Ziemi. Więc postanowili to promieniowanie zmierzyć, skoro przechodzi przez atmosferę ziemską. Ale jak zmierzyć? Wartość bezwzględną można zmierzyć, ale to jeszcze nic nie mówi. Wobec tego zrobili dwie kuwety: jedną wypełnioną powietrzem, a drugą wypełnioną tylko dwutlenkiem węgla. Najpierw mierzyli promieniowanie przechodzące przez atmosferę i przez tę kuwetę z powietrzem, a później kuwetę z powietrzem zamienili na kuwetę z dwutlenkiem węgla. Okazuje się, że różnice są na poziomie błędu pomiarowego.

To oznacza, że kuweta, która cała jest wypełniona dwutlenkiem węgla, nie zmienia pochłaniania tego promieniowania w stosunku do tego, co pochłania atmosfera kuwety z samym powietrzem. To jest namacalny dowód na to, że dokładanie dwutlenku węgla nic nie zmieniło. Naukowcy na tym się nie zatrzymali. Zrobili kolejne pomiary. Mianowicie wiadomo, jakie są warunki na poszczególnych wysokościach, jakie jest ciśnienie, jaka jest temperatura. Wobec tego podzielili atmosferę ziemską na osiem warstw. Obliczyli osobno, ile tego dwutlenku węgla jest w każdej warstwie, i dokonali pomiarów absorpcji w każdej takiej warstwie. Oczywiście do tego dostosowali zgodnie z prawami fizyki odpowiednie korekty uwzględniające zmianę temperatury i ciśnienia. Zsumowali to. Wyszło jeszcze bardziej precyzyjnie.

Czyli jaki wniosek?

Wniosek jest taki, że ile byśmy spalili węgla, ile byśmy spalili gazu, ile byśmy spalili benzyny, ilość dwutlenku węgla, która się dostanie do atmosfery, na temperaturę nie ma żadnego wpływu. Te badania nie dotyczą tego, czy temperatura na Ziemi się zmienia czy nie. To jest badanie fizyczne, które mówi, że temperatura powietrza, atmosfery nie ulegnie

zmianie z powodu zwiększonej ilości dwutlenku węgla. Z jakiego powodu się temperatura na Ziemi podnosi, to jest inne zagadnienie. Oczywiście są różnego rodzaju wyjaśnienia: z powodu działania Słońca, trajektorii Ziemi wokół Słońca, ruchu, nachylenia, albedo [parametr określający zdolność odbijania światła przez daną powierzchnię – przyp. T.C.], które się zmienia na Ziemi. Są różne czynniki, które powodują, że temperatura się zmienia, ale nie jest to dwutlenek węgla. W rezultacie oznacza to, że cała konstrukcja Zielonego Ładu oparta na zeroemisyjności CO₂ jest fałszywa. Wszystkie koszty, które generuje powstrzymywanie emisji CO₂, są zupełnie nieuzasadnione.

Czyli zmarnotrawione?

Nie zmarnotrawione. To jest szkodliwe, to działa wbrew gospodarce, wbrew

Badania, które pan opisał, przeprowadziło trzech naukowców WAT: dr inż. Jan Kubicki, dr hab. inż. Krzysztof Kopczyński, profesor WAT, i dr hab. inż. Jarosław Młyńczak, profesor WAT?

Tak. To są, w tych zagadnieniach, bardzo wysokiej klasy specjaliści. Ich prace zostały opublikowane w anglojęzycznych recenzowanych czasopismach, np. Jan Kubicki, Krzysztof Kopczyński, Jarosław Młyńczak, „Climatic consequences of the process of saturation of radiation absorption in gases”, „Applications in Engineering Science” 2024, nr 17.

Dlaczego nie wypowiadają się na ten temat w mediach?

To nie jest przedmiotem mojego zainteresowania. Mnie interesuje efekt naukowy. Czym innym są różne polityczne gry, które się odbywają nie na stronach czasopism naukowych, tylko gdzieś w gabinetach. Natomiast dla mnie

Teza, że CO₂ ogrzewa atmosferę, jest mitem.

Mitem, którego bardzo chętnie używają politycy do swoich celów, i opinia publiczna powinna być tego świadoma

potrzebom ludzkim. To jest po prostu irracjonalne. Wymyślono coś, czego nie przeanalizowano, bo myślę, że nie wszędzie była zła wola – pewnie gdzieś była niewiedza. Nie zbadano tego, podjęto decyzję i teraz nikt nie chce się z tego wycofać.

Dwutlenek węgla to wygodny pretekst do wprowadzania Zielonego Ładu, całego tego zamordyzmu, no bo ta polityka jest jednym wielkim zamordyzmem, na dodatek wbrew podstawowym zasadom ekonomii. A ludzie w to łatwo uwierzyli.

Ja na razie nie odnoszę się do tzw. aspektu politycznego, tylko mi chodzi o aspekt naukowy, ponieważ jest cisza ze strony, niestety, świata nauki. Ten świat nauki nie protestuje, kiedy rozpowszechnia się fałszywe hipotezy. A przecież świat nauki dysponuje narzędziami, żeby to obalić, żeby pokazać, że tak nie jest. Co więcej, znalazłem w literaturze wypowiedzi ludzi, którzy mają tytuły dłuższe niż nazwiska i którzy piszą po prostu brednie – rzeczy, których powinni się wstydzić.

najważniejsze jest to, co się mierzy, to, co się publikuje, gdzie można dyskutować na płaszczyźnie naukowej. Jeżeli jakiś fizyk wykona podobny eksperyment i wykaże, że panowie z WAT się mylą, że źle wykonali pomiar, to trzeba będzie to uznać. Ale nikt tego nie robi. Na razie to ich pomiary są najbardziej miarodajne. Są logicznie spójne, są opublikowane. To nie jest tak, że nie wiadomo, jakie są wyniki. Zostały opublikowane. Każdy może skonstruować swoją aparaturę, sprawdzić te wyniki i powiedzieć: „Mylicie się” albo: „Tak, macie rację”. I na tym poziomie powinna się odbywać debata naukowa, a nie na poziomie politycznym. Debata naukowa nie może się mieszać z debatą polityczną. Kto i do czego chce wykorzystywać wyniki badań, to jest inna sprawa. W sensie nauki mnie rozgrywki polityczne nie interesują, mnie interesuje wynik eksperymentu: czy zgadza się z teorią czy nie.

W takim razie skąd się to wszystko wzięło? Dlaczego w ogóle ogłoszono, że dwutlenek węgla powoduje globalne ocieplenie?

Myślę, że wzięło się to z pewnego niezrozumienia. Sprawą tą zajmowali się głównie klimatolodzy. Wykresy zmian temperatury i stężenia dwutlenku węgla w atmosferze rysowali na osi czasu wiele milionów, tysięcy lat. I tam ta korelacja jest bardzo wyraźna. Ale to jest uśrednienie na przestrzeni wielu lat. Jako że w widmie dwutlenku węgla jest to pasmo absorpcyjne w zakresie podczerwieni, to dla nich był – tak ja próbuję to zrozumieć – oczywisty dowód, że ta zależność między dwutlenkiem węgla a temperaturą istnieje. Tylko że pomylili kierunek, bo nie zbadali zjawiska dokładnie. Dopiero wspomniani Norwegowie zrobili dokładne badanie, gdzie uśrednili temperatury na poziomie miesięcy i wykazali, że przesunięcie stężenia CO₂ i temperatury jest takie, że to temperatura powoduje zmiany CO₂, a nie odwrotnie.

Czy nie widzi pan złych intencji tych klimatologów czy też działań lobbystów, żeby w ten sposób to głosić?

Rozdzielę działania naukowców od działań lobbystów. Ja próbuję zrozumieć tych, którzy próbowali naukowo badać te zależności. Natomiast lobbyści robią z tych wyników to, co uważają za stosowne. Politycy próbują z tego robić swoje narzędzie działania i to jest zupełnie odrębne zagadnienie. Jeżeli świat nauki powie, że nie wolno mówić, iż emisja CO₂ w wyniku spalania paliw kopalnych powoduje ocieplenie, to niech politycy z tego wyciągną wnioski, ale wara politykom od twierdzenia, że to CO₂ powoduje wzrost temperatury. Oni się na tym nie znają i niech nie gadają głupot.

Ale cały czas gadają te głupoty i ludzie w to wierzą.

Rozmawiamy właśnie po to, żeby pokazać opinii publicznej, że rzeczywistość fizyczna jest inna. Że teza, iż CO₂ ogrzewa atmosferę, jest mitem. Mitem, którego bardzo chętnie używają politycy do swoich celów, i opinia publiczna powinna być tego świadoma.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Doktor inżynier Tomasz Wójcik jest emerytowanym chemikiem z Politechniki Wrocławskiej.

Miniony rok w branży motoryzacyjnej nie był udany dla zachodnich graczy. Forsowane przez eurokratów w Brukseli pseudoekologiczne rozwiązania sprawiły, że koncerny od dekad będące filarami gospodarek takich krajów jak Niemcy, Francja czy Włochy z coraz większym trudem walczą o przetrwanie. Zwolnienia na masową skalę planują więc tacy giganci jak Volkswagen. Po ogromnych strajkach, w których udział brało ok. 100 tys. pracowników, pod koniec grudnia menedżerom koncernu udało się zakończyć trwające aż 70 godzin negocjacje ze związkami zawodowymi. Szefowie motoryzacyjnego giganta zgodzili się wprawdzie nie zamykać żadnej ze swoich fabryk. Jednocześnie zapowiedzieli znaczne zmniejszenie mocy produkcyjnych i redukcję zatrudnienia na masową skalę. Do 2030 r. wypowiedzenia pracy otrzymać ma aż 35 tys. (!) osób. Według menedżerów koncernu przyjęty plan działania do 2030 r. powinien pozwolić niemieckiemu koncernowi obniżyć koszty o 15 mld euro (równowartość 64 mld zł) rocznie, w tym koszty pracy o 1,5 mld euro rocznie. Zwolnienia mają dotknąć m.in. 8 tys. z 42 tys. osób pracujących dla Porsche, czyli ok. 20 proc. obecnie zatrudnionych.

WŁOSI W ROZPACZY

Kłopoty mają jednak nie tylko pracownicy Volkswagena, który w skali świata sprzedał w ubiegłym roku 4,8 mln samochodów (spadek o 1,4 proc. rok do roku), w Europie obronił pozycję lidera, sprzedając 1,254 mln aut (o 1,7 proc. mniej niż rok wcześniej), a w Chinach znalazł kupców na 2,198 mln pojazdów (spadek o 8,3 proc.). Wśród graczy, którzy w ubiegłym roku stracili najwięcej, znalazła się również grupa Stellantis. Do giganta motoryzacyjnego powstałego w wyniku fuzji Fiat Chrysler i PSA-Peugeot należą m.in. takie marki jak Alfa Romeo, Citroën, DS Automobiles, Fiat, Opel, Peugeot, Chrysler czy Ram. Sprzedaż na europejskim rynku od stycznia do listopada 2024 r. spadła do 1 843 335 samochodów i była o 7,4 proc. mniejsza niż w analogicznym okresie roku 2023.

Produkcja samochodów w fabrykach koncernu we Włoszech, będąca jednym z kluczowych filarów lokalnej gospodar-

Rewolucja na kołach



Jacek Przybylski

Na motoryzacyjnym rynku trwa walka o ustanowienie nowego światowego porządku. Podczas gdy chińskie koncerny szturmem podbijają kolejne kraje i szybko zwiększają sprzedaż, dotychczasowi giganci z Europy liczą straty, wstrzymują produkcję i zwalniają na potęgę. Do wielkiej batalii o klientów szykują się już również Amerykanie i Japończycy

Po gigantycznych protestach pracowników Volkswagena szefowie koncernu i związkowcy doszli do porozumienia, które ma zmniejszyć koszty pracy o 1,5 mld euro

FOT. JULIAN STRATENSCHULTE/GETTY IMAGES



ki, spadła w porównaniu z rokiem 2023 o 37 proc. Z taśm produkcyjnych należących do koncernu Stellantis fabryk w Italii zjechało zaledwie 475 090 samochodów. To najgorszy wynik od roku 1956. Jeszcze gorzej wyglądają statystyki, gdy wyłączymy z nich samochody użytkowe. Produkcja tych ostatnich zmalała jedynie o 17 proc., a tymczasem produkcja aut osobowych zmalała aż o 46 proc.

Największy spadek odnotowała fabryka Maserati w Modenie – spadek produkcji wyniósł tu aż 79 proc. Niewiele lepiej radziła sobie fabryka Mirafiori w Turynie, która w 2024 r. wyprodukowała o 70 proc. mniej pojazdów niż rok wcześniej. Brak popytu skutkował więc przymusowymi postojami w pracy.

Głównym powodem tak potężnych problemów europejskich koncernów jest kosztowna polityka Unii Europejskiej, nakładająca na producentów wyjątkowo wyśrubowane normy klimatyczne. Obowiązujące od 1 stycznia 2025 r. znów zaostrzyły normy średniej emisji CO₂ dla producentów pojazdów. Jak od kilku miesięcy ostrzega Luca de Meo, dyrektor generalny grupy Renault, w skali roku wartość kar nakładanych przez UE na producentów pojazdów może wynieść nawet 15 mld euro. Aby uniknąć tak wysokich kar, europejskie koncerny musiałyby zmniejszyć sprzedaż samochodów spalinowych o 2,8 mln egzemplarzy rocznie. Jeśli nie chciałyby zamykać fabryk, to musiałyby zapłacić kary od 9,2 mln samochodów, co oznacza, że tylko z tego powodu każde nowe auto spalinowe powinno zdrożeć o niemal 7 tys. zł. Gdyby ktoś więc szukał odpowiedzi na pytanie, dlaczego małe auta miejskie w ciągu dwóch dekad podrożały z 10 tys. do 25 tys. euro, to zagadkę ma już rozwiązana.

Luca de Meo jeszcze przed zeszłorocznymi wyborami do Parlamentu Europejskiego napisał „List do Europy”, w którym apelował o zmiany w europejskim przemyśle motoryzacyjnym i ostrzegał, że europejska motoryzacja traci na znaczeniu, przegrywając konkurencję z markami z Chin, Japonii czy Korei.

CHINCY DO GÓRY, TESLA W DÓŁ

Jak słusznie zauważył szef Renault, jedną z przyczyn tak dużych kłopotów europejskich producentów aut jest rosną-



Polacy coraz chętniej kupują chińskie samochody, takie jak np. Omoda 5

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

ca w szybkim tempie konkurencja spoza Starego Kontynentu.

Symbolem elektrycznej rewolucji na globalnym rynku motoryzacyjnym przez kilka ostatnich lat była amerykańska Tesla. Rok 2024 pokazał jednak wyraźnie siłę jej chińskich konkurentów. Koncern BYD nie tylko dogonił spółkę miliardera Elona Muska pod względem liczby sprzedanych egzemplarzy, lecz także dzięki wzrostowi sprzedaży na poziomie 41,3 proc. rok do roku stał się niekwestionowanym liderem na globalnym rynku „elektryków”. Różnica w wynikach jest kolosalna. Chiński BYD sprzedał w ubiegłym roku 4,27 mln samochodów. W tym samym czasie Tesli udało się sprzedać dwa i pół raza mniej: klientów znalazło bowiem „zaledwie” 1,79 mln pojazdów. Jednocześnie pierwszy raz w swej historii amerykańska spółka odnotowała niewielki, ale jednak spadek sprzedaży (była ona niższa o 1,1 proc.).

Samochody oferowane przez BYD podbijają kolejne rynki (w tym europejski) głównie ze względu na niskie ceny. Chiński producent jest w stanie atrakcyjnie wycenić swoje pojazdy, ponieważ sam wytwarza montowane w nich akumulatory. A przecież BYD to tylko jedna z chińskich firm szturmem wchodząca na globalny rynek motoryzacyjny. Beneficjentem trwającej rewolucji jest choćby należąca do chińskiego koncernu SAIC Motor brytyjska marka MG. W czerwcu ubiegłego roku MG zajęło 16. miejsce wśród najlepiej sprzedających się aut w Polsce. W listopadzie chińskie MG spadło jednak na 21. pozycję wśród producentów samochodów na polskim rynku ze sprzedażą na poziomie 5847 egzemplarzy. Auta MG podbijają serca klientów bardzo niską ceną, choć

niestety jednocześnie – według ankiety sporządzonej przez wydawany w Wielkiej Brytanii magazyn „What Car” – MG jest najbardziej awaryjną marką w Wielkiej Brytanii. Brytyjcy czytelnicy mocno narzekali w ankiecie m.in. na długi czas napraw w salonach marki. Dość napisać, że MG wśród najbardziej awaryjnych marek wypadło gorzej niż Alfa Romeo.

Świetnymi globalnymi wynikami chwali się również np. powstały w roku 1997 Chery International. Od tego czasu chińska firma w 100 krajach świata sprzedała już 15 mln aut. Od stycznia do listopada 2024 r. koncern sprzedał ponad 2,3 mln samochodów, czyli o 38 proc. więcej niż w tym samym okresie roku 2023. Chińczycy z Chery International kupili już fabrykę w Hiszpanii (niegdyś należąca do Nissana), w której do 2029 r. zamierzają produkować nawet 150 tys. samochodów rocznie. Firma jest też obecna nad Wisłą. W kilkudziesięciu salonach dealerskich w Polsce Chery International oferuje na razie jedynie dwa modele. Są to Omoda 5 oraz Jaecoo 7. Mimo to Omoda stała się w 2024 r. trzecią najpopularniejszą marką chińskich samochodów nad Wisłą (ustępuje miejsca jedynie MG oraz BAIC). Na czwartym miejscu znalazła się marka Jaecoo. W tym roku Chery International liczy na to, że łączna sprzedaż Omody i Jaecoo przekroczy 18 tys. egzemplarzy. Jak poinformował pod koniec 2024 r. prezes Chery Polska w rozmowie z Interią, Polska będzie zaś pierwszym krajem w Unii Europejskiej, w którym – w drugiej połowie 2025 r. – pojawi się rodzina modeli Chery Tiggo.

Po swój kawałek motoryzacyjnego rynku coraz śміiej sięgają również firmy, które przeciętnemu Kowalskiemu akurat z samochodami nigdy się nie kojarzyły.



SU7 Ultra, bestseller firmy Xiaomi, sprzedał się w zeszłym roku w ponad 135 tys. egzemplarzy. FOT. MATERIAŁY PRASOWE

■ Jedną z nich jest Xiaomi. Znany nad Wisłą producent smartfonów i hulajnóg elektrycznych zdołał z sukcesem rozszerzyć swoje portfolio o auto będące marzeniem wielu kierowców na świecie.

Chińska firma wypuściła na rynek pięknie wyglądające elektryczne auto o nazwie SU7 Ultra. Sportowy sedan od zera do 100 km/h przyspiesza w niecałe dwie sekundy od startu, a sprint od 0 do 300 km/h zajmuje mu zaledwie 15 sekund. Prędkość maksymalna wynosi 350 km/h. Sprzedaż auta kosztującego równowartość 460 tys. zł wystartowała w marcu 2024 r. Optymistyczne szacunki zakładały roczną sprzedaż na poziomie 100 tys. egzemplarzy. Chińska firma z łatwością pokonała jednak własny cel. Co prawda, sprzedaż w czerwcu wynosiła 14,3 tys. sztuk, ale w październiku wzrosła już do niemal 21 tys., a w listopadzie przekroczyła 23 tys. egzemplarzy. Łącznie w 2024 r. sprzedaż samochodów Xiaomi wyniosła ponad 135 tys. sztuk.

W roku 2025 Xiaomi zakończy więc drugą fazę budowy swojej fabryki w Pekinie i do końca grudnia planuje sprzedać już 300 tys. pojazdów. Firma w połowie roku chce wprowadzić na rynek swój drugi pojazd: elektrycznego SUV-a YU7, który ma już też być wyposażony w zwiększający zasięg auta silnik spalinowy. Jednocześnie Chińczycy pracują już nad trzecim modelem w swoim portfolio.

PRZETRWAJĄ TYLKO NAJSILNIEJSI

Błyskawicznie rozwijający się chiński przemysł pojazdów elektrycznych zagraża obecnie nie tylko Niemcom, Włochom czy Francuzom, lecz także Amerykanom, a nawet Japończykom. Pod koniec grudnia zeszłego roku Nissan, Honda i Mitsubishi „w obliczu dramatycznych zmian w otocze-

niu firm i branży motoryzacyjnej” podpisały tzw. protokół ustaleń w celu zbadania możliwości zaangażowania i synergii poprzez utworzenie wspólnego holdingu. Tłumacząc z marketingowego na polski: na globalnym rynku motoryzacyjnym szykuje się wielka fuzja. Negocjacje mają zakończyć się w połowie obecnego roku. I jeśli się powiedzie, to latem przyszłego roku powstanie trzecia największa grupa motoryzacyjna świata (po Toyocie i Volkswagencie).

Honda Motor Co. to bowiem obecnie drugi co do wielkości japoński producent samochodów. Jej wartość 8 stycznia 2025 r. rynek wycenił na 46,82 mld dol. Rynkowa wycena Nissana wynosiła z kolei 10,82 mld dol. Skąd więc pomysł na fuzję? W ciągu zaledwie jednego roku giełdowa wycena Hondy stopniała o 14,9 proc. Kapitalizacja rynkowa Nissana zmniejszyła się zaś w tym czasie o 34,01 proc. (dochód operacyjny spółki od marca do września 2024 r. spadł o 90 proc. w porównaniu z tym samym okresem roku 2023).

Planowana megafuzja ma na celu m.in. cięcie kosztów i walkę z coraz groźniejszą konkurencją na rynku samochodów elektrycznych. Japończycy mają podobny kłopot, co Europejczycy: jakość aut produkowanych przez chińskich producentów jest coraz wyższa przy wciąż dużo niższych cenach.

Nie wszyscy tradycyjni gracze mają powody do narzekania. Szwedzka marka Volvo (należąca do chińskiego koncernu Zhejiang Geely Holding Group) pochwaliła się wzrostem sprzedaży aut elektrycznych w 2024 r. na globalnym rynku aż o 54 proc. do 175 194. Biorąc pod uwagę wszystkie rodzaje napędu, Volvo pobiło swój rekord, sprzedając na całym świecie 763 389 samochodów (o 8 proc. więcej niż w roku 2023). Marka świetnie radzi sobie również

w Polsce – od stycznia do końca listopada 2024 r. nad Wisłą sprzedało się ponad 14 tys. samochodów tej marki (wzrost o ponad 20 proc. rok do roku) – najchętniej kupowane były modele XC60, XC40 oraz XC90. W pełni elektryczny EX30 (nasz test tego samochodu na str. 76) zajął już jednak czwartą lokatę.

POLACY KOCHAJĄ HYBRYDY

Z badania Barometru Nowej Mobilności, opracowanego przez Polskie Stowarzyszenie Nowej Mobilności (PSNM), wynika, że od 2020 r. ponadtrzykrotnie wzrosła liczba Polaków rozważających zakup samochodu na prąd. Mimo to w listopadzie 2024 r. zanotowano w Polsce drastyczny spadek rejestracji samochodów elektrycznych (o 37 proc. w porównaniu z listopadem ubiegłego roku). Po czasowym zawieszeniu naboru w ścieżce leasingowej programu „Mój elektryk” okazało się, że bez rządowego wsparcia popyt na tego typu pojazdy jest mizerny, więc nawet na pewno nie zbliżymy się do miliona samochodów na prąd jeżdżących po polskich drogach. Jeśli dobrze pójdzie, to „elektryków” nad Wisłą będzie nieco ponad 100 tys. Polscy kierowcy zamiast samochodów elektrycznych zdecydowanie wolą auta hybrydowe. I trudno się dziwić. Stan infrastruktury do szybkiego ładowania wciąż pozostawia bardzo dużo do życzenia.auta elektryczne wciąż są sporo droższe niż spalinowe. A poza tym przy obecnym tempie rozwoju samochodów elektrycznych auto dwuletnie wydaje się już dość przestarzałe, a trzyletnie jest już bardzo trudno komukolwiek odsprzedać za godziwe pieniądze.

Nawet w Chinach pojazdy hybrydowe cieszą się wciąż większą popularnością niż te zasilane wyłącznie prądem. W Państwie Środka auta elektryczne sprzedają się jednak o wiele lepiej, niż zakładały prognozy rządu w Pekinie. Jak zauważył dziennik „Financial Times”, w 2025 r. „elektryki” mają już pierwszy raz w historii Państwa Środka znaleźć większą liczbę nabywców niż samochody z silnikami spalinowymi. Sprzedaż „elektryków” ma wzrosnąć do ponad 12 mln sztuk (dla porównania: w roku 2022 wynosiła 5,9 mln egzemplarzy), a sprzedaż tradycyjnych aut spalinowych ma zmaleć o ponad 10 proc. do poziomu poniżej 11 mln sztuk. Kto wygra walkę o europejskiego klienta? Przekonamy się już wkrótce. © Wszelkie prawa zastrzeżone



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Reparacje za Zielony Ład!

Jeśli premier Morawiecki naprawdę, jak się zaklina, nie podpisał zobowiązania Polski do realizowania Zielonego Ładu, a i premier Tusk też się do niczego takiego nie przyznaje, to wychodzi na to, że Komisja Europejska narzuca nam to całe horrendum prawem kaduka. Całkowicie bezprawnie.

A w takim razie jeśli Bruksela bezprawnie (bez podpisu premiera Polski) zmusiła nas do zamknięcia wszystkich kopalni węgla, które z tego powodu już są powoli wygaszane i popadają w ruinę, i jeśli z tego samego powodu w ruinę popadają w taki sam sposób traktowane elektrownie i ciepłownie na węgiel, to właśnie od Brukseli powinniśmy zażądać reparacji za to wymierzone w Polskę skandaliczne działanie. W końcu czy reparaacje powinny należeć się tylko za straty poniesione podczas wojen „gorących”, a nie także „zimnych” – jak ta od lat toczona przez Polaków z Brukselą o Zielony Ład?

Powinniśmy od Brukseli żądać też reparacji za narzucony nam bezprawnie (bo bez podpisu premiera Polski), rujnujący nas tzw. system handlu emisjami CO₂, który sprawia, że płacimy za prąd i ogrzewanie najwięcej w Europie, co już doprowadziło wiele polskich rodzin do energetycznego ubóstwa. Tylko w ciągu ostatnich 10 lat ten rodzaj wyzysku kosztował Polaków ponad 100 mld zł, bo tyle w tym czasie musieli zapłacić za „emisję CO₂”. Repara-

cje powinny jednak dotyczyć również zwrotu reszty wydatków poniesionych przez nas na absurdy Zielonego Ładu, a więc np. na niemal przymusowe instalowanie pomp ciepła i inne wydatki związane z ETS1 i ETS2, czyli np. zakup kretyńskich, obowiązkowych świadectw energetycznych naszych domostw.

Kto powinien zapłacić nam te reparaacje? Wiadomo, że Bruksela jest tylko symbolem współczesnego neokolonializmu, w praktyce uprawianego przez państwa Europy Zachodniej – Niemcy, Francję, Belgię, Holandię, Włochy itd. – które postanowiły traktować państwa i narody Europy Środkowej tak, jak w czasach kolonializmu traktowały narody i państwa Afryki, Azji i obu Ameryk. I dlatego to właśnie one powinny zapłacić reparaacje za wyzysk prowadzony przez ich firmy w ramach neokolonialnego Zielonego Ładu, polegającego na zmuszeniu państw Europy Środkowej do zamknięcia opartych na węglu energetyki i ciepłownictwa, przymusowego ocieplania domów, wymiany pieców na węgiel i gaz na pompy ciepła, a aut spalinowych na elektryczne.

No, chyba że podpis/podpisy premiera Morawieckiego lub/i premiera Tuska pod zobowiązaniem Polski do realizowania Zielonego Ładu jakimś cudem jednak by się odnalazł/odnalazły – wtedy żądanie od Brukseli reparacji mogłoby stanąć pod znakiem zapytania. Od kogo byśmy ich w takiej sytuacji zażądali? ©©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Weryfikatorzy zatrzęśli portkami

Nie trzeba było długo czekać na reakcję na oświadczenie Marka Zuckerberga, który zapowiedział m.in., że Facebook (niestety tylko w USA na razie, a w Unii obowiązuje Akt o usługach cyfrowych) przestanie wykorzystywać weryfikatorów (zwanych z angielska fact checkerami), a zamiast tego wprowadzi notki społeczności, które stosuje X. Wrzask w Europie podniósł się natychmiast.

**Weryfikatorzy,
którzy mieli być
bezzstronni i rzetelni,
szybko stali się
obercenzorami**

Sążniste oświadczenie wypuściła Europejska Sieć Standardów Sprawdzania Faktów, w którym „wyraża rozczarowanie”, „zachęca UE do silnej postawy”, „sprzeciwia się” itd. Oświadczenie to w Polsce nagłośnił Demagog.pl – organizacja, która jest najdoskonalszym uosobieniem patologii tej branży. I która oczywiście żyje z takich programów jak współpraca z firmą Meta, właścicielem Facebooka. Meta jest wymieniona jako partner Demagoga w ramach programu weryfikacji – bez

podawania sumy, ale z zaznaczeniem, że jest ona większa niż 5 proc. przychodów.

Weryfikatorzy, którzy w zamierzeniu mieli być bezstronni i do bólu rzetelni, szybko stali się obercenzorami, których opinia – tak, właśnie opinia, a nie fakty – jest uznawana za finalnie rozstrzygającą. Polskiemu Demagogowi wytykano wielokrotnie, że jego źródła finansowania oznaczają wybiórczość w zajmowaniu się tematami. Wskazywano nierzetelności i manipulacje. Niezliczoną liczbę razy apelowałem do serwisu, żeby zajął się powielanym standardowo mitem o tym, że „99 proc. klimatologów zgadza się co do antropogenicznych przyczyn zmian klimatu”. Bez odzewu. Może dlatego, że od IFCN Climate Misinformation Grant Program Demagog zainkasował w latach 2022–2023, bagatela, 80 tys. dol. Z samych grantów Demagog w aktualnym sezonie 2024–2025 inkasuje 260 tys. dol. i 171 tys. euro. To po prostu ogromny i wygodny biznes.

I jeśli martwiło nas, że cyfrowi giganci wyrastają na potęgę, z którą nikt nie może się zmierzyć, to weryfikatorzy wyrosli na nadzwyczajną kastę opływającą w granatową i rządową kasę, której nikt nie weryfikuje. Nic dziwnego, że padł na nich błady strach. ©©



W reniferowych zaprzęgach na bieguna zimna

Przygotowanie kolacji: lód na wodę, udziec renifera i stroganina – zamrożona na kość nelmą, krojona w cienkie poskręcane wstążki. Pierwszy od lewej to Jacek Pałkiewicz FOT. JACEK PAŁKIEWICZ



Jacek Pałkiewicz

W 1989 r. mediolański „Corriere della Sera” donosił, że moja syberyjska wyprawa odegrała istotną rolę w ociepleniu relacji Wschód-Zachód w burzliwym okresie pierestrojki, punkcie zwrotnym w historii XX w.

Opowieść o mojej syberyjskiej wyprawie zacznę od bohatera mojego dzieciństwa, kiedy z zapałem rozczytywałem się w historiach najwspanialszych ekspedycji badawczych. Moi herosi, którzy w beznadziejnych sytuacjach toczyli legendarne boje o przetrwanie i wyróżniali się prawdziwą odwagą oraz determinacją, urosli do symbolu męstwa. Panteon odkrywców otwierał Ernest Shackleton, który po dwóch nieudanych próbach dotarcia do bieguna południowego w 1911 r. został wyprzedzony przez Amundsena, a następnie przez Scotta. Wtedy postanowił zmienić plany i przebyć

na czele wieloosobowej ekspedycji pieszo największą lodową pustynię świata – Antarktydę. Wyprawa, choć nieudana, została zapamiętana jako jedna z najwspanialszych w dziejach. Po uwięzieniu statku przez lody legendarny odkrywca podjął brawurową próbę ratowania swojej załogi. Wraz z pięcioma ludźmi przepłynął zwykłą szalupą 1,2 tys. km po otwartym oceanie. Próżno szukać większej determinacji i próby charakteru niż u tego Irlandczyka oraz jego współtowarzyszy. Ich historia jest przykładem niewyobrażalnej wytrwałości oraz heroicznej walki o życie i powrót do świata po prawie dwuletnim pobycie w labiryncie bez wyjścia.

WYSOKO ZAWIESZONA POPRZECZKA

Po wielu wizytach w Moskwie udało się w końcu przekonać dotkniętych paranoicznymi urojeniami biurokratów, dla których każdy przybysz z Zachodu to potencjalny szpion, aby udzielili mi zgody na przemierzenie zakątka Syberii, do którego wcześniej nie dotarł żaden obcokrajowiec. Dzięki temu krótko przed rozpadem sowieckiego imperium moja wyprawa mogła wyruszyć z Jakucka do niedostępnego Ojmiakon, światowego bieguna zimna,

gdzie swego czasu zanotowano najniższą temperaturę – minus 72 st. C – w miejscu stale zamieszkanym przez człowieka.

Przygotowania do ekspedycji „Syberia ’89” trwały ponad rok. Musiałem ustalić trasę przejazdu i listę ekwipunku. W Jakucku nadzorowałem produkcję specjalnej odzieży, załatwiałem wydzierżawienie sanek i reniferów. Nie mogłem przegapić ubezpieczenia i omówienia ze sponsorem strategii promocyjnej, a także ustalenia procedur na wypadek jakiegось nieszczęścia i ewakuacji.

Pierwsza zagraniczna wyprawa na intrygującą Syberię, korzystająca z dobrodziejstw głośności i pierestrojki, oprócz wymiaru sportowego miała stanowić dla nauki swego rodzaju laboratorium na syberyjskim poligonie. Profesor Akademii Nauk Medycznych Wasilij Prokopiewicz Aleksiejew, specjalista biologii człowieka jakuckiego Instytutu Medycyny Dalekiej Północy, szukał rozwiązań, które umożliwiłyby skrócenie okresu adaptacyjnego i uczyniły łatwiejszym życie w zimnym regionie. Twierdził, że nasza współpraca, poszerzona o fizjologów i psychiatrów, pozwoli mu zgłębić temat granicy przystosowania organizmów nawyklých do łagodnego klimatu Włochów do krańco-

wych obciążeń w warunkach długotrwałego zimna.

Przed kandydatami na każdą trudną wyprawę wysoko stawiam poprzeczkę. Nauczyłem się tego studiując Shackletona, który dzięki swoim umiejętnościom i określonym strategiom zarządzania potrafił zjednoczyć wokół siebie ludzi i oszukać antarktyczne przeznaczenie. Stał się dla potomnych wzorem przywództwa w beznadziejnych momentach. Zwracałem uwagę nie tylko na odporność fizyczną i psychiczną, lecz także na zrównoważenie emocjonalne, umiejętność współzycia w zespole, akceptację autorytetu, motywację, również na samodyscyplinę i... poczucie humoru. Ta ostatnia cecha okazuje się bowiem niezwykle przydatna w każdej trudnej sytuacji. Kiedy pytałem kandydatów o motywy, które zadecydowały o tym, że wyrazili chęć uczestnictwa w wyprawie, najczęściej odpowiadali, że chodzi o test odwagi, możliwość sprawdzenia się w krańcowych warunkach.

PRÓBA CHARAKTERU

Wyruszamy w drogę z centrum Jakucka. Karawana liczy 19 sań i 48 reniferów – po dwa na każde sanie i 10 rezerwowch. W razie potrzeby zajmą miejsce najbardziej zmęczonych zwierząt w zaprzęgu albo zastąpią te, które w nocy padną ofiarą wilków.

Termometr wskazuje minus 47 stopni. Co godzinę zatrzymujemy się na 10 minut, aby zapewnić odpoczynek zwierzętom, a sobie trochę ruchu, niezbędnego dla podtrzymania temperatury ciała.

Przemierzając rozległe tafle lodu na rzece, gramy koncert brzmiący jak stukot tysiąca sabotów lub wirtuozerski tip-tap wykonany w szaleńczym tempie przez Freda Astaire'a w gigantycznej balowej sali bez ścian. Tancerzami są ślizgające się renifery, które biegną na szeroko rozstawionych nogach, aby nie stracić równowagi. Czasem któryś upada. Jeśli nie uda mu się podnieść, to wlecze się dobrych kilkadziesiąt metrów po lodzie dopóty, dopóki przodownik nie zatrzyma konwoju.

Przygotowanie biwaku zajmuje ponad dwie godziny. Należy oczyścić teren ze śniegu, rozbić duży brezentowy namiot, zebrać całe naręczę wietek, modrzewiowych gałązek na warstwę izolacyjną podłogi. Na nie kładziemy karimaty ze skóry renifera i śpiwory. Każdy z nich jest dosto-

sowany do wymiarów jego właściciela. Nie może być za duży, aby zapewniał więcej ciepła. Ktoś już rozbija blok lodu wyciętego wcześniej w rzece, jeszcze przed zapadnięciem zmroku. Małe kawałki są już w wiaderku i po rozpaleniu ognia szybko się rozpuszczają. Jeden z dwóch poganiaczy reniferów wiąże zwierzętom nogi. Dyżurny rozpala zaś „burżujkę”, blaszany piecyk z rurą wylotową na zewnątrz namiotu. Wreszcie w powietrzu unosi się ciepki zapach dymu i robi się cieplej. Ogień oznacza ochronę przed chłodem, gorącą strawę i zasłużony odpoczynek. Jest już północ, kiedy zaczynamy pić herbatę. Wkrótce namiot wypełnia apetyczny zapach. Mięso renifera ugotowane najprościej, jak się da – bez jarzyn, tylko ze szczyptą soli – syci wszystkich. To smaczny kąsek, bo zwierzęta żyją pod gołym niebem i jedzą aromatyczne zioła. Dyżurny proponuje jeszcze wypicie rosołu. Przyjemnie pachnie, ale zapach, niestety, to nie wszystko, bo pływają w nim kłaki z naszych futer, odpryski drewna i jeszcze inne zanieczyszczenia. Nieludzko zmęczeni całodniową jazdą marzymy tylko o jednym – położyć się jak najszybciej i zasnąć.

Jazda ekscytuje. Rozkoszuję się nieuchwytnym majestatem nieskalanej przyrody. Cały konwój spowity jest przez obłok oparów wytworzonych przez zziębnięte zwierzęta. Także wokół naszych błyszczących od niedźwiedziego tłuszczu twarzy, którym się wysmarowaliśmy, by ochronić się przed trzaskającym mrozem, unosi się welon pary.

Srogi, niegościnny klimat wystawia nas na surową próbę charakteru. Codziennie dają się we znaki dotkliwy chłód i zmęczenie, zmęczenie i okrutny mróz. Pył śnieżny kłuje w oczy i policzki. Skostniały, unieruchomiony niczym mumia na trzęsących się nierównościach terenu sankach czuję, jak intensywne zimno przenika do szpiku kości. Instynkt, prosty zwierzęcy instynkt, nakazuje zmobilizować całą uwagę, żeby uchronić się przed odmrożeniem. Staram się jak najczęściej poruszać palcami nóg i rąk oraz w miarę możliwości wykonywać wszelkie ruchy.

Podczas krótkiego odpoczynku Igor szepcze mi, że Roberto ma jakieś kłopoty ze zdrowiem. Nie zwróciłem uwagi, że kiedy na postojach truchtaliśmy, on pozostawał na saniach. Zaniepokojony podchodzę do niego i nie mam wątpliwo-

ści, że wpadł w stan hipotermii, nagłego ochłodzenia organizmu spowodowanego długotrwałym oddziaływaniem niskiej temperatury. Jest apatyczny i ospały, ma spowolnione ruchy. Wygląda, jakby miał zaburzenia świadomości, a nawet był pijany. Ma sine wargi, bladą skórę i co chwila wstrząsają nim gwałtowne dreszcze. Na moje pytania odpowiada trochę bez sensu, to przedostatnie stadium wychłodzenia, temperatura jego organizmu spadła prawdopodobnie już do 30 stopni.

Polecam rozbić obóz, a sam, wraz z Grazianim, zajmuję się poszkodowanym. Podajemy mu gorącą słodką herbatę z termosu, po czym układamy go na sankach z podkurczonymi nogami, co powinno zapobiec dalszemu spadkowi temperatury ciała. Wychłodzona ofiara musi unikać zbędnych ruchów, żeby nie dopuścić do dodatkowej utraty ciepła. Organizm człowieka w takim stanie pracuje na zwolnionych obrotach, spowalnia się przemiana materii, serce przepompowuje mniej krwi do serca, mózgu i płuc. Każdy ruch powoduje, że ciepła krew ze środka ciała jest kierowana ku wyziębionym kończynom, a jej miejsce zajmuje krew zimna, której organizm nie ma siły ogrzać, co może doprowadzić do ostatecznego zalamania się krwioobiegu. Zdezorientowany mamrocze pod nosem, że nic mu nie jest i żeby zostawić go w spokoju. Nie możemy dopuścić, aby zasnął, bo utrata przytomności grozi śmiercią.

HERBATA I OKLASKI

Po 30 dniach na horyzoncie pojawiają się światła zagubionej w arktycznej pustyni osady, docieramy do kresu podróży. Jest już noc, kiedy wjeżdżamy do Ojmiakon. Za nami ponad 2 tys. km niełatwej drogi. Mamy powód do nieukrywanej dumy, bo przeszliśmy samych siebie, udowodniliśmy swoją wartość. Pierwszy napotkany przechoździń odprowadza nas do domu burmistrz Barbary Zabołodskiej, która przyjmuje nas dobrodusznie i częstuje gorącą herbatą. Prosi, abyśmy... powtórzyli wjazd nazajutrz rano, tak aby mogli nas powitać wszyscy mieszkańcy. Trochę mnie to śmieszy. Tyle dni trudu, a teraz taka powtórka przyjazdu dla zabawy. Miejscowi witają nas z proporczykami, dzieci trzymają transparenty wypisane cyrylicą, a dorośli opuścili miejsca pracy, aby nas okłaskiwać.



VOLVO EX30 TWIN MOTOR

Volvo stopniowo, ale konsekwentnie rozszerza swoją ofertę samochodów elektrycznych. Testowane EX30 to najtańszy „elektryk”, który w ciągu zaledwie kilku miesięcy od premiery wszedł do Top 3 najlepiej sprzedających się w Europie modeli aut, które energię do jazdy czerpią wyłącznie z elektrycznego gniazdka.

Przepis na sukces Volvo jest prosty. Futurystycznie wyglądający, z charakterystycznymi reflektorami w kształcie młota Thora, relatywnie tani kompaktowy SUV (mierzy 423,3 cm długości, 183,8 cm szerokości bez lusterek i 155 cm wysokości) połączono z minimalistycznym wnętrzem à la IKEA z wielkim kolorowym tabletem pośrodku deski rozdzielczej i wygodnymi fotelami. Do tego wszystkiego dołożono akumulator zapewniający

dość przyzwoity zasięg i napęd oferujący rewelacyjne w tej półce cenowej przyspieszenie.

Auto popularnej szwedzkiej marki, powstające na platformie SEA2 koncernu Geely (chińskiego właściciela Volvo), od zera do pierwszej setki potrafi rozpędzić się w zaledwie 3,6 s (sic!) w wersji Twin Motor albo 5,7 s w wersji Single Motor. W tej pierwszej odmianie EX30 ma dwa silniki o łącznej mocy 428 KM, maksymalny moment obrotowy wynosi zaś 543 Nm, co gwarantuje fantastyczne przyspieszenie niezależnie od tego, czy rusza się spod świateł czy wyprzedza ciężarówkę. Prędkość maksymalna to teoretycznie 180 km/h, ale jazda z taką prędkością szybko wydenowałaby baterię.

Auto z napędem Twin Motor zużywa średnio 17,5 kWh/100 km, a szacowany zasięg maksymal-

ny w cyklu mieszanym wynosi według producenta 450 km.

Single Motor w cyklu mieszanym zużywa oficjalnie 17,1 kWh/100 km, a maksymalny zasięg w cyklu mieszanym wynosi według Volvo 337 km (w wersji Single Motor Extended Range rośnie do 475 km). W naszym zimowym teście przy rozsądnej jeździe zasięg maksymalny EX30 Twin Motor wyniósł 449 km. Na pochwałę w praktyce zasługuje też szybkość ładowania do 80 proc. Wystarczyło 30 minut, by odzyskać ok. 300 km zasięgu. Aby „elektrykiem” dało się jeździć tak daleko, inżynierowie Volvo odchudzili niemal wszystko, co się dało, i stworzyli aerodynamiczny model o współczynniku oporu powietrza wynoszącym 0,28.

Auto prowadzi się pewnie. W środku panuje przyjemna cisza. Oczywiście są też wady. Choć z przodu miejsca jest dużo, to z tyłu jest ciasno. Bagażnik ma tylko 318 l pojemności. Da się to przeżyć. Osiwieć można za to z powodu nowego „kluczyka”, w którym próżno szukać przycisków „otwórz” czy „zamknij”. Powinien on działać tak, że czytniki NFC błyskawicznie identyfikują kierowcę i automatycznie otwierają samochód, gdy się do niego zbliża. Tyle teoria. W praktyce trzeba czasem dłużej poczekać, aby komputer łaskawie wpuścił nas do środka, co uczy cierpliwości zwłaszcza na mrozie lub w deszczu...

Ceny Volvo EX30 – w wersji Single Motor – zaczynają się od 176,99 tys. zł. Opcja Extended Range podnosi koszt zakupu do 201,99 tys. zł. Wersja Twin Motor Performance oznacza już zaś wydatek co najmniej 248,99 tys. zł. ©

FOT. JAP

TELEWIZOR SAMSUNG S95D

Fantastyczna jakość obrazu, dopracowany design, mnóstwo funkcji dla graczy oraz niezły dźwięk z wbudowanych głośników – to największe zalety jednego z najlepszych modeli telewizorów dostępnych obecnie na rynku.

Model S95D jest wyjątkowo smukły. Na pochwałę zasługuje nie tylko minimalistyczne wzornictwo samego telewizora, lecz także moduł One Connect, który pozwala uniknąć plątania kabli na ścianie salonu. Niewielką skrzynkę z telewizorem łączy tylko cienki, niemal przezroczysty kabelek. Kabel zasilania oraz wszystkie potrzebne urządzenia podłącza się zaś do modułu One Connect, który z powodzeniem można ukryć np. w szafce pod telewizorem (do dyspozycji są m.in. cztery porty HDMI 2.1). Bardzo praktyczne rozwiązanie.

Samsung S95D ma matrycę o rozdzielczości 4K (3840 x 2160 pikseli). Maksymalna częstotliwość ekranu wynosi 144 Hz, ale to, co wyróżnia model S95D, to niwelująca refleksy świetlne matowa powierzchnia. Dzięki technologii przeciwodblaskowej od powierzchni telewizora nie odbijają się ani słońce, ani lampy. Efekt jest fantastyczny. Kolory są żywe i soczyste,

a jednocześnie wyglądają naturalnie. Niezwykłe wrażenie robi także niezwykle wysoka jasność.

Zaletą testowanego modelu jest również wysokiej mocy procesor AI NQ4 Gen2, który pozwala sztucznej inteligencji błyskawicznie „upscalować” obraz do 4K i polepszać jakość wyświetlanych treści (co docenią m.in. fani wydarzeń sportowych). Producent dopieścił też graczy, oferując im dedykowane tryby, a także zaprzęgając do pracy algorytmy AI, które potrafią dobrać optymalne ustawienia dla poszczególnych tytułów.

Po stronie plusów można też zapisać jakość dźwięku przestrzennego (4.2.2), który wydobywa się z głośników o mocy 70 W. Zastosowana technologia Dolby Atmos rzeczywiście zdaje egzamin.

Minusy? Urządzenie działa w oparciu o system Tizen, który choć oferuje mnóstwo aplikacji, to niestety nadal nie jest wystarczająco szybki. Minusem jest też brak Dolby Vision. Przypadłby się też bardziej rozbudowany pilot.

Cena modelu S95D w przypadku ekranu o przekątnej 55 cali to 8399 zł. Za 65 cali trzeba zapłacić 9714 zł. Testowany telewizor w wersji 77-calowej to już zaś wydatek niemal 15 tys. zł. ©





JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Koszary Mirowskie

W Warszawie, przy zbiegu ulic Elektoralfnej i Chłodnej, znajdują się dwa ciekawe budynki otoczone chaosem nowoczesnej zabudowy i koszmarnie ciężkimi kłocami PRL-owskich bloków Osiedla Za Żelazną Bramą. Zabudowania owe prezentują się ciekawie – dwa prostokątne, jednopiętrowe gmachy po stronie północnej, połączone galerią. I dwa takie same obiekty wzniesione równolegle, kilka kroków dalej na południe, po drugiej stronie nieistniejącej już w tym miejscu ul. Chłodnej. Od strony al. Jana Pawła II połączone są współczesną, przeszkloną galerią. Dziś mieszczą się w nich jednostka straży pożarnej i kilka innych instytucji związanych z pożarnictwem. Budynki te, każdy

zwiększony unikalnym, pojedynczym kominem, są pozostałością po pierwszych na ziemiach dawnej Rzeczypospolitej stałych koszarach Regimentu Gwardii Konnej Króla Jego

Mości. Ich budowa

zaczęła się w roku 1730, według projektu Joachima Daniela Jaucha, który realizował w Warszawie koncepcję Osi Saskiej. Linii zabudowy, która zaczynała się od ówczesnego Pałacu Saskiego przez przylegający do niego ogród i dalej – do Żelaznej Bramy i obok pałacu Lubomirskich (dziś stoi na osi, jednak odbudowano go w innym miejscu po wojnie). Następnie do wspomnianych obiektów koszarowych i granic Warszawy. Koszary nazwano Mirowskimi, od nazwiska ówczesnego oberštera regimentu Wilhelma Miera. Składały się z trzech par budynków, z których

do dzisiejszego dnia przetrwała tylko ostatnia – zachodnia.

Koszary Mirowskie były jednym z pierwszych w Rzeczypospolitej stałych miejsc pobytu żołnierzy. Właściwe koszary – czyli izby mieszkalne żołnierzy i oficerów – znajdowały się w czworobocznych budynkach, natomiast tajnie i magazyny ryszunku – w łączących je pawilonach. Wcześniej wojsko koronne, a także gwardia królewska rozmieszczone były w królewskich szczytach, gdzie często dokonywały zniszczeń i rabunków, albo w obozach polowych. Dopiero król Jan III Sobieski nakazał wybudować dla wojska stancje na południowo-wschodnich kresach Rzeczypospolitej. Jedną z nich był pokazany w filmie „Pan Wołodyjowski” Chreptów. W Europie zaczynano już wznosić pierwsze obiekty koszarowe – aby uniknąć przykrych skutków kwatunku wojska u chłopów i mieszczan.

Regiment gwardii koronnej Jego Królewskiej Mości Augusta II był największym i najlepszym oddziałem w wojsku koronnym, z liczebnością określoną w konstytucji Sejmu Niemego w 1717 r. na 1 tys. porcji, co oznaczało, że po odliczeniu tzw. ślepych stawek dla oficerów liczył 575 żołnierzy. Był to regiment dragoński, żołnierze paradowali uzbrojeni w pałasze, karabiny z bagnetami; każdy woził przy siodle jeszcze dwa pistolety. Gwardia konna walczyła zarówno w siodle, jak i pieszo – zsiadając z wierzchołków i prowadząc ogień jak piechota, a w razie czego atakując wroga szarżą na białą broń. Wszyscy nosili czerwone mundury (rajtroki), a kamizelki i pludry różniły się kolorami w zależności od regimentu. W strukturze dragonii w armii koronnej pozostawiono pełne i skompletowane sztaby – tak

regimentów, jak kompanii, kosztem zmniejszenia liczby żołnierzy. Zakładano bowiem, że w razie wojny łatwiej będzie rozbudować jednostki o prostych żołnierzach niż oficerów. Były to więc regimenty kadrowe, skupiające w sobie, przynajmniej w teorii, najlepszych fachowców. I rzeczywiście piechota i dragonia koronna w czasach upadku Rzeczypospolitej w XVIII w. jako jedyna zachowywała dyscyplinę i była wyszkolona nie gorzej niż jej odpowiedniki w armiach pruskiej, austriackiej czy francuskiej. Kłopot w tym, że było jej śmiesznie mało – dragonii w siedmiu regimentach koronnych zaledwie 2366 żołnierzy, pieszych zaś ledwie ok. 5 tys. Tymczasem carowie moskiewscy mogli wystawić bez trudu 60 tys. samej tylko piechoty.

Regiment Gwardii Konnej Koronnej stacjonował w koszarach aż do powstania kościuszkowskiego. W latach 1784–1786 budynki przebudowane zostały w stylu klasycystycznym, po upadku I Rzeczypospolitej stały się zaś siedzibą kolejnych jednostek okresu napoleońskiego. W 1851 r. w istniejących do dzisiaj koszarach umieszczono jednostkę straży pożarnej, wzniesiono również wysoką wieżę – czatownię. Pod sam koniec XIX w. kompletnie zburzono wschodnie budynki, budując w tym miejscu istniejące do dzisiaj Hale Mirowskie, które czasem mylone są z dawnymi koszarami.

Pozostałe dwa zachodnie obiekty zostały spalone w czasie powstania warszawskiego. Po wojnie odbudowano północny, rozebrano też pozostałości wieży. Ostatecznie w latach 70. odtworzono także południowy budynek, który – połączony szklanym przechoodem z północnym – oglądać możemy dzisiaj. ©



RKS_QBA



ANNA POPEK Z D. CHRZUK
I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRZUK

SIOSTRY GOTUJĄ

Zwieńczyć słodkim



FOT. ADOBE STOCK

Od Trzech Króli do Środy Popielcowej, która w tym roku przypada 4 marca, mamy okres karnawału zwanego też mięsopustem – czas zabawy i szalonych imprez. Tak przynajmniej powinno być – powinniśmy się spotykać towarzysko, sąsiedzko i rodzinnie, ponieważ relacje w życiu są bardzo ważne.

Nasza znajoma pani kardiolog twierdzi, że wpływają one na cały organizm bardzo mocno i plasują się zaraz za zdrową dietą i wysiłkiem fizycznym. Tak więc karnawał powinien sprzyjać naszemu zdrowiu, bo to przecież i dobre jedzenie, i relacje, i ruch w tańcu.

Spotkań towarzyskich mamy już kilka w planach. A każdy posiłek zwieńczyć należy czymś słodkim. Ostatnio za sprawą Weroniki, córki Madzi, pojawił się na naszych stołach sernik baskijski.

Sernik San Sebastian pochodzi z Kraju Basków, jest lekko przypalony i robiony z serka śmietankowego (takiego do smarowania), śmietany, cukru i jajek. Pieczemy go w bardzo wysokiej temperaturze, ale za to bardzo krótko – 30 min, przez co po wyjęciu z pieca jest on trzęsący się w środku, a przypalony na zewnątrz. Dopiero po ostygnięciu i schłodzeniu przez minimum osiem godzin w lodówce sernik okazuje się idealny do zjedzenia – bardzo delikatny i kremowy w środku. Smakuje obłędnie. Jest idealny na karnawałowe przyjęcie.

Sernik baskijski

• 850 g serka śmietankowego – takiego, jak do smarowania (np. Cream Cheese lub Twój Smak) • 250 g śmietanki, minimum 30 proc. • 250 g cukru • 1 opakowanie cukru waniliowego

• 5 jajek • 3 łyżki mąki • 1/3 łyżeczki soli • 1 łyżka cukru pudru

Wszystkie składniki wyjmujemy wcześniej z lodówki, aby nabrały temperatury pokojowej. Piekarnik nagrzewamy do temperatury 240 st. C. Foremkę wykładamy papierem do pieczenia, tak aby papier wystawał minimum 5 cm poza foremkę. Ser wkładamy do miski. Dodajemy cukier, sól i cukier waniliowy. Delikatnie miksujemy ok. 3 min. Następnie dodajemy po jednym jajku. Dalej miksując, dodajemy śmietankę. I miksujemy, aż osiągniemy jednolitą masę. Przekładamy masę do foremki i wstawiamy do piekarnika już nagrzanego. Pieczemy 30 min, aby wierzch był mocno przypieczony. Sernik ma być wyrosnięty, ale nadal trzęsący się. Masa zastygnie dopiero po czasie spędzonym w lodówce. Tak więc sernik schładzamy i zimny wstawiamy do lodówki na minimum 8–10 godzin. Przed podaniem należy wyjąć go wcześniej, aby nabrał temperatury pokojowej.

Sernik ten tradycyjnie robi się bez spodu. Ale jeśli chcemy zrobić spód, to możemy zmiksować ciasteczka masłane z masłem i wyłożyć na dno formy.

• 200 g ciasteczek masłanych • 3 łyżki masła

Ciasteczka rozdrabniamy w blenderze. Dodajemy roztopione masło i wykładamy na dno blaszki. Podpiekamy ok. 10 min, a następnie wykładamy masę serową i pieczemy zgodnie z przepisem. ☺☺



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Zobaczyć Neapol

Nie zamierzam od razu umierać po zobaczeniu Neapolu (choć nie wiadomo, co komu pisane), jednak przez długi czas nie będę miała ochoty pojechać tam znowu. Może to się zmieni. Kontury się zatną i zostanie mętny dekadentcki obrazek pozbawiony wyraźnych cech. Brud, tłok, hałas i opętańczy ruch pojazdów wszelkiego kalibru odjadą w zapomnienie. Zostaną neapolitański błękit nieba i parę widoków z Wybrzeża Amalfitańskiego.

Byliśmy w Kampanii turystami, których – jak mówią statystyki – jest w Neapolu coraz więcej. Może w lecie, bo w zimie jakoś nie bardzo ich widać. I jeśli są, to raczej Włosi, jak współpasażerowie busa, który zawoził nas do Amalfi. Angielskiego czy niemieckiego się nie słyszy, zadufanych Francuzów, którzy uważają, że ich język powinien znać cały świat, także.

Podobno Neapol jest teraz modny na Instagramie. Nie wiadomo, czy dzięki Maradonie, który jest tu bohaterem wszystkich pomazanych graffiti murów, czy dzięki Elenie Ferrante, której powieść stała się światowym bestsellerem, a po niej serial. Jestem w stanie zrozumieć, dlaczego ulubionymi miejscami fotografów mody są brzydkie, zaśmiecone zaułki, pobliza śmietników – na ich tle luksus toreb Hermesa za 20 tys. euro, butów Prady itp. wybija się najwyraźniej. Powiewającej na sznurach bielizny jakoś nie było wiele,

widocznie pranie zostało zrobione i wyszło wcześniej.

Nie interesuje mnie piłka nożna, nie czytałam książki Ferrante, nie znam opartej na niej filmu „Genialna przyjaciółka”, którego akcja rozgrywa się w Neapolu. Zostanę z wyobrażeniem Neapolu jako domu Herlinga Grudzińskiego oraz krótkiego przystanku emigracyjnej wędrówki dla pisarza Sándora Máraiego, wygnańca z komunistycznych Węgier. Najnowszą pamiątką współczesności z tego miasta, którą zachowam, będą szopki neapolitańskie, dzieło rzemiosła, sztuki i wiary. Miła pamiątka.

Nie całkiem było miło, gdy w sylwestra artyleryjska kano-nada zaczęła się już o godz. 17. Uciekaliśmy ulicami jak na froncie, skacząc po polu minowym. Nasz zbudowany w XIX w. hotel miał mury na 60 cm i okno wychodzące na podwórze. Na szczęście. Miasto drżało od wybuchów.

Zabawa okazała się mniej zabawna i mniej niewinna, niż by się wydawało, bo naza-jutrz usłyszeliśmy w wiadomościach, że przy produkcji wybuchowych gadżetów zginęły dwie 14-letnie dziewczynki, Aurora i Sara Esposito, i 19-letni Samuel Tafciu, syn albańskich imigrantów. Wszyscy pracowali na czarno przy wyrobie fajerwerków, w jakimś baraczkach na przedmieściach bez elektryczności, bez toalety.

Tak się żyje w Neapolu. Nie tylko w hotelu ze śniadaniem. ☺☺



DEKAMERONKI

Cenzura nawrócona

JERZY KARWELIS

Swiat obieгло oświadczenie Marka Zuckerberga, właściciela Mety, która zarządza m.in. Facebookiem. To ważny tekst, tak jak ważne są oświadczenia polityka, który chcąc przedłużyć swą kadencję, mówi o tym, co zmieni. Wtedy bowiem możemy się dowiedzieć, o co mu naprawdę chodziło, co było w tym złego z jego perspektywy i jak to będzie lepiej w przyszłości. I tak samo jest z właścicielem Mety.

Ci, którzy bezkrytycznie uważali social media, wraz z wiodącym Facebookiem, za oazę wolności, mają teraz twardy orzech do zgryzienia. Okazuje się bowiem, że Zuckerberg uderzył się w pierś za... cenzurę. Trudno usprawiedliwić ten proceder ewidentnym wymuszaniem tego przez służby „państwa bidenowskiego”, ale najtrudniej uwierzyć, że po prostu szedł sobie Zuckerberg po chodniku i uderzyła go w pierś przemożna chęć – jak píše w oświadczeniu – „powrotu do korzeni”. Wydaje się, że kluczowe było tu raczej spotkanie z przyszłym prezydentem Trumpem. Na tym spotkaniu powinno paść kilka argumentów, które dały szansę na przetrwanie Mety, pod warunkiem pójścia do Canossy. Co mogło tak nagle nawrócić Zuckerberga?

Meta jest umoczniona w „moderowanie treści”, które chociażby w poprzednich wyborach na prezydenta USA mocno skrzywiwały przekaz w kierunkach przeciw-

nym trumpskim. Były to więc działania bezprawne i można za to pójść do więzienia. Drugim argumentem do nawrócenia jest groźba biznesowa. Meta jest za duża i – w świetle prawa anty-trustowego – może zostać przymusowo podzielona, jak kiedyś zrobiono to z gigantem AT&T. Trump jako prezydent ma więc trzymanie na Zuckerberga. Ono prawnie istniało i wcześniej, ale sprzyjający cenzurze Biden trzymał to pod dywanem.

Z oświadczenia wynika wiele rewelacji, wszak to sam właściciel uchylił kurtynę i zabrał widownię za kulisy. Tu, z wielu wniosków, ciekawy jest jeden wątek. Zuckerberg powiedział, że swoje centrum weryfikacji treści (czyli centrum cenzorskie) przeniesie z Kalifornii do Teksasu, by „budować zaufanie do wykonywania tej pracy w miejscach, w których istnieje mniej obaw o stronniczość naszych zespołów”. To szalenie ciekawe, gdyż rujnuje mit o „obiektywnych algorytmach”. Te, jak widać, zmieniają poglądy w zależności o stanowej lokalizacji.

Skoro tak, to warto zauważyć, że centra polskiej „weryfikacji faktów” znajdują się w rzecz jasna kulturowo nam bliskich Irlandii i Niemczech. Skoro to – jak utrzymuje właściciel – ma znaczenie, to ciekawe, gdzie zostaną teraz przeniesione? Można obstawiać. Ja bym obstawiał, żeby w ogóle zniknęły. ©©



#WARTO

Katolipa

JAN POSPIESZAŃSKI

Rozpanoszenie się sakralnego kiczu to odwet diabła triumfującego nad ludzką pobożnością! Tak mój śp. tata, architekt, oceniał nowe kościoły budowane i dekorowane w latach 80. Sztuka religijna – dziedzina, która przez stulecia zrodziła wspaniałe przykłady ludzkiego geniuszu (a nawet jeżeli dziś nie wszystkie przykłady tak oceniamy, to większość z nich jest przynajmniej świadectwem rzetelnego rzemiosła artystycznego) – po okresie oświecenia stopniowo ulegała degradacji. Wyemancypowani artyści, poszukując nieskrepowanej wolności twórczej, oddali pole nie zawsze pobożnym wyrobnikom. Epoka kultury masowej zamieniła sztukę sakralną w dewocyjną produkcję. A ponieważ w realiach komunistycznej Polski praca na rzecz Kościoła była aktem swoistej ideowej deklaracji, tym trudniej było o pozyskanie twórców wybitnych. Gdy pojawiały się pozwolenia na budowę nowych świątyń, polskie duchowieństwo było kompletnie nieprzygotowane na takie wyzwania.

Brak było kompetentnych architektów rozumiejących, do czego się biorą. Nie było uznanych punktów odniesienia i nadzoru nad radosnymi pomysłami proboszczów i projektantów. Powszechna ignorancja architektów w zakresie ideografii, ikonografii, liturgii i teologii nie została skonfrontowana z kompetencjami inwestora, bo księżą byli równie nieprzygotowani.

Przerost „twórczych” zapędów, ignorowanie funkcjonalności i jakaś obłądna przekora, żeby zerwać z tym, co tradycja przeniosła przez wieki, sprawiły, że Polska została „ubogacona” brzydkimi kościołami. Kościoły skocznie, kościoły bunkry, torty, rakiety itp. o fantazyjnych kształtach, których nie sposób ani ogrzać, ani przewietrzyć, za to z fatalną akustyką – są polskim ponurym standardem.

Architekci i dekoratorzy, bezradni w zakresie symboliki, utkali każdy fragment krzyżami, jakby katolicka tradycja nie знаła innych form. Nawet powstałe ostatnio sanktuaria (z wyjątkiem bardzo udanego sanktuarium św. Jana Pawła w Krakowie) przejdą niestety do historii jako przykłady architektonicznej zapaści.

Nie sposób obszernego tematu zamknąć w krótkim tekście, ale muszę na koniec przywołać osobę niezwykłą – już wybitnego architekta Stanisława Niemczyka, twórcę zaledwie kilku kościołów, które są przykładem dobrej architektury sakralnej. Najśłynniejszymi jego realizacjami są: kościół pw. Ducha Świętego w Tychach, kościół Jezusa Chrystusa Odkupiciela w Czechowicach-Dziedzicach, a także niewielki krakowski kościół pw. Miłosierdzia Bożego (nie mylić z fatalną bazyliką pod tym samym wezwaniem). Polecam odwiedzić wymienione miejsca, by się przekonać, że triumf diabła jednak nie jest zupełny. ©©

SŁAWOMIR
JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Ula i magiczne ustawy

Magdalena Biejat, kandydatka Lewicy na prezydentkę Polski (chyba tak to jest po lewacku) i wielka miłośniczka aborcji, przemówiła w radiu: „Bo dostęp do aborcji to także lepszy dostęp do badań prenatalnych”. Stop. Ponieważ pani Biejat jest tłumaczem literatury hiszpańskojęzycznej, poprosimy o przetłumaczenie na polski. Stop. Że jak? Zabijanie nienarodzonych dzieci łączy się pani z łatwiejszymi badaniami kobiet w ciąży? Stop. Pani Biejat, tego, co pani opowiada, nie da się przetłumaczyć na polski, zaręczam.

Dworują sobie ciągle ze wzrostu Rafała Trzaskowskiego, nie wiem z jakiego powodu. Stop. Znajomy dziennikarz, któremu nie wierzę w ani jedną głoskę, przekonywał, że do biura niedosłego prezydenta RP wysłał paskudne pytanie: „Czy to prawda, że pan Rafał ma 2 m wzrostu”. Według tegoż pismaka odpowiedź miała być taktowna, acz pryncypialna: „Dementujemy. Niecałe”. Stop.

Prawicowe telewizje podały komendę, która zmusza Jerzego Zbigniewa Owsiaka, lat 71, do truchtu. Stop. Zakłęcie brzmi: „Jurek, gdzie są pieniądze?”. Sprawdzone wielokrotnie, działa. Czasem Jurek nawet pobrykuje i parska.

Przedstawiciel kawiorowej lewicy, człowiek zamożny nie tylko wieloma nieruchomościami, Robert Biedroń, postanowił pobiczować zamożniejszych. „Miliarderzy nie powinni rządzić mediami

społecznościowymi. Miliarderzy nie powinni władać naszymi gazetami i telewizjami informacyjnymi. Miliarderzy nie powinni meblować nam polityki. Media miliarderów to nie są wolne media. Elon Musk jest niebezpieczny”. Przyczyną owej napaści jest wolność słowa, którą ceni sobie Musk, a Biedroń chce, aby społeczeństwo było na diecie wolnościowej. Kiedy lewacki miliarder Soros włada gazetami i miesza się do polityki, to przedstawiciel robotników Biedroń zapewne kupuje kolejne mieszkania i nie ma czasu przeciw miliarderowi stanowczo protestować. Stop.

Jest nowa jakość! Moja ulubienica intelektualna, Urszula Zielińska, wiceminister klimatu i środowiska, poinformowała o przełomowych działaniach jej resortu. „Przez Sejm przeprocedowaliśmy ponad 10 nowych ustaw legislacyjnych przyspieszających transformację energetyczną, zabezpieczających nas przed zmianami klimatu, przed przyszłymi powodziami i suszami”. Stop. Zacznę od tego, że zwrot „ustawy legislacyjne” to potwór, którym zabić można wrażliwe studentki polonistyki. Ula, naucz się prozę, legislacja to ustanawianie prawa, taki proces, więc ustawy nie mogą być legislacyjne, rany, Ula. Dobra tam, dalsza wypowiedź jest ciekawsza. Otóż ona twierdzi, że ustawami można nas zabezpieczyć przed powodzią i suszą. Albo nam się Ula prze-grzała, albo skradła Leszczynie czarodziejską różdżkę... ©©

DARIUSZ
WIERONIEWICZ

SPODE ŁBA

Dar niebios

Zaskakujący rezonans wśród obu wojujących w Polsce politycznych plemion wywołał niedawny wywiad prof. Antoniego Dudka udzielony „Kulturze Liberalnej”. Profesor ostrzegł słuchaczy przed „obywatelskim kandydatem” na prezydenta, Karolem Nawrockim. „Jest to jeden z bardziej niebezpiecznych ludzi, którzy się pojawili w polskiej przestrzeni publicznej. Mówię to z pełnym przekonaniem i odpowiedzialnością” – stwierdził historyk.

Opinia ta jest dla prezesa IPN darem niebios. Nikt dotąd nie przysłużył się wizerunkowi Nawrockiego tak bardzo, rozbijając najgroźniejsze jego słabości. Wiele prawicowych wyborców miało do kandydatury Nawrockiego wątpliwości, uważając go za polityka z castingu, człowieka wykreowanego i kontrolowanego przez prezesa PiS. Argumenty o „niezależności” i „apolityczności” Nawrockiego przyjmowali oni z niewiarą, pamiętając czcze zapewnienia ekspertów o politycznej suwerenności Andrzeja Dudy.

Czy oskarżenia Antoniego Dudka staną się dla wyborców rozstrzygającym argumentem, by Nawrockiemu zaufać? Ma on być przecież ambitny, „bezwzględny i zdeterminowany do odniesienia sukcesu”, zdolny do działań, do których Andrzej Duda nie śmiałyby się posunąć, niekontrolowalny i wskutek tego potrafiący urwać się ze smyczy Jarosławowi Kaczyńskiemu.

Jaki skutek mogą mieć takie zarzuty? Równie dobrze mogłaby zatroskana ciocia odradzać zadurzzonej dziewczynie kandydata do ożenku, wytykając mu „zwariowaną monogamiczność”, „nieprzystoite bogactwo” i „obsesję zajmowania się dziećmi”. Trudno narzeczonego skutecznie zareklamować.

Wodmiennym tonie wypowiadają się „sojusznicy” prawicowego kandydata. Rozmawiając z posłem Glińskim w TV Republika, redaktor Łukasz Jankowski opisał Karola Nawrockiego słowami: „Można powiedzieć, że wyszedł trochę spod pan rąk politycznych”. Elokwentny polityk PiS przywołał w tym wywiadzie postać Sergiusza Piaseckiego, chwalać pracę Nawrockiego wśród więźniów i szukając dla jego działań odpowiedniego porównania. Sergiusz Piasecki był przecież skazanym przez sąd II RP kryminalistą, uzależnionym od kokainy złodziejem, fałszerzem i przestępcą, który z rewolwerem w ręku rabował żydowskich kupców. Wielki talent literacki i późniejsze, niewątpliwie zasługi wojenne Piaseckiego nie zmieniają tego, że nawiązywanie do jego burzliwych losów w kontekście prezydenckiej kandydatury Karola Nawrockiego wydaje się kuriozalne i wyjątkowo nieroztropne. Z takimi „sojusznikami” prezydenturę kandydatowi prawicy wywalczyć mogą tylko jego wrogowie. ©©



JOANNA SIEDECKA

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Fatalne zauroczenie

Wisława Szymborska była ładna, wysoka, zgrabna. Zdystansowana, powściągliwa. Coraz lepsza jako poetka. Adam Włodek był wyjątkowym brzydalem o szerokiej twarzy, niższym od niej, grubym, brzuchatym, łysiejącym. Rubasznym i hałaśliwym bratem łątą. Miernym poetą i żarliwym komunistą. Mówiono więc o nich „piękna i bestia”, zastanawiając się, co w nim widziała. Nigdy się do tego szczerze nie przyznała i raczej nie było to zauroczenie, chyba że fatalne, ale niewątpliwie było to małżeństwo z rozsądku. Gdyby nie Włodek, w apogeum stalinizmu nie zaistniałaby jako poetka ze względu na swoje źle widziane po-

w konserwatywnym Krakowie, a jeszcze przed ślubem wprowadziła się do pokoju Władka w literackim kołchozie przy Krupniczej i mogła wreszcie palić, popijać, flirtować, bawić się.

W 1950 r. wstąpiła razem z mężem do partii, wydała dwa tomiki socrealistycznych, paskudnych wierszydeł, których się później wstydziła i nigdy nie wznawiała. O partii, Leninie, śmierci Stalina, wrogich imperialistach, wojnie w Korei, młodzieży budującej Nową Hutę. Nieoczekiwanie w 1954 r., po sześciu latach małżeństwa, małżonkowie rozwiedli się z jej inicjatywy. Sądono dotychczas, że zraziło ją

romansowe wyglądają w ten sposób, że nie mam po prostu na to czasu”. W jednym z listów z Zakopanego Szymborska pytała więc męża, czy może w sobotę wrócić bez przeszkód do własnego mieszkania, jakby spodziewając się zastać rywalkę.

Choć sam ją zdradzał, to był o nią bardzo zazdrosny. Zwłaszcza o sąsiada z Krupniczej, tłumacza Macieja Słomczyńskiego – przystojnego, błyskotliwego, który zaćmiewał go w towarzystwie. „Mętniak, pętał, pieprzyć go” – pisał o Słomczyńskim, a w 1953 r. złożył na niego donos na UB, podejrzewając o szpiegostwo, przyczyniając się do osaczenia go przez służby. Źle znosił też coraz większe sukcesy żony, tych, którzy ją chwalili, nazywał kutasami. Uważał, że robili to tylko dlatego, żeby mu „dogryźć”, śmiali się i mówili też, że jej słabsze wiersze to te, które on poprawiał.

Po rozwodzie z Wisławą ożenił się po raz drugi, rozwiódł, miał kolejne partnerki, nadal też uwodził młode, ładne dziewczyny, pomagając im dostać się na poetyczny parnas. Wykorzystywał w tym celu swoją funkcję opiekuna krakowskiego Koła Młodych – ułatwiał debiut, załatwiał stypendia, nagrody, pokój w domu literatów, oczywiście niebezinteresownie. Rezultatem były konflikty i bunt w kole, wizyty zaniepokojonych rodziców jego wybranek. W 1957 r. Zarząd Główny krakowskiego ZLP pozbawił więc casanową funkcję opiekuna koła i był on nim tylko nieformalnie. Zdumiewa więc, dlaczego Szymborska tak go namaszczała i szminkowała, uczyniła go – nie tylko donosiciela, seksistę, dwuznacznego „opiekuna” młodych – patronem stypendium dla nich. ©

Nazywał ją seksistowsko, podkreślał, że prawdziwy mężczyzna na chwilę nie powinien ustawać w łowach na atrakcyjne seksualne obiekty, i nie tylko ciągle ją zdradzał, lecz także wcale tego nie ukrywał

chodzenie. Jej ojciec był zarządcą dóbr wielkiego patrioty, hrabiego Władysława Zamoyskiego, endekiem, działaczem Narodowej Demokracji, kamienicznikiem, właścicielem kamienicy w Krakowie. Wisława była absolwentką gimnazjum siostr Urszulanek z nieukończonymi studiami.

Dzięki Włodkowi, któremu od razu wpadła w oko, naczelnemu „Walki” – dodatku literackiego do krakowskiego „Dziennika Polskiego” – od 1945 r. drukowała swoje debiutanckie wiersze, dostała etat w „Świetlicy krakowskiej”, potem w „Życiu Literackim”. Uwolnił ją też od mieszczańskiej rodziny, od matki pilnującej prowadzenia się córki. W 1948 r. wzięła z nim ślub, jeden z pierwszych cywilnych ślubów

jego coraz większe komunistyczne zaangażowanie, ale według nowej biografii poetki „Szymborska. Znaki szczególne”, autorstwa Joanny Gromek-Illg, miała dość jego babiarstwa – jak się wtedy mówiło. Mieli być małżeństwem partnerskim i otwartym, Włodek wyraźnie jednak przesadził. Nazywał ją seksistowsko Piżdzią lub Dzibdzią, podkreślał, że prawdziwy mężczyzna na chwilę nie powinien ustawać w łowach na atrakcyjne seksualne obiekty, i nie tylko ciągle ją zdradzał, lecz także wcale tego nie ukrywał. Pisał do niej, co słyhać na jego erotycznym odcinku, o zaliczonych kochankach. „Rozglądałem się za czymś, ale cholernie trudno” – przyznawał czasem. Albo: „Moje sprawy

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA



FOT. W. CEJROWSKI / LUDJANOWSKI

Cytat z sieci: „Kiedyś nie mogłem pojąć, jak te mendy z XVIII w. doprowadziły Polskę do rozbiorów. A teraz włączam telewizor i widzę”.

Bardzo trafne spostrzeżenie. Inne równie trafne znalazłem w listach – ktoś stwierdził, że kolejny rozbiór Polski będzie robiony przez Niemcy i Ukrainę. Oby nie, ale... bardzo prawdopodobne.

Przykład pierwszy z brzegu: miasto Poznań zakupiło od Niemców 30-letnie tramwaje za prawie 10 mln zł. Niemcy musieliby złomować gruchoty (a to kosztowne), ale znaleźli frajera, więc złomować nie muszą i jeszcze zarobią. Frajerów się nie szanuje, więc nas Niemcy szanować nie będą. Ukraina też znalazła sobie frajera – Polska dostarcza im darmowy prąd (za który płacą wszyscy Polacy w podwyższonych rachunkach za energię). Rozdaliśmy im też naszą broń, „żeby bronili Polski przed Ruskimi”, a oni masowo porzucają tę broń i dezertują z frontu. Frajerów się nie szanuje. Odsetek pozytywnych opinii Ukraińców o Polakach wynosił 83 proc. w roku 2022, a obecnie już tylko 41 proc. I nie ma się czemu dziwić, bo Polska zachowuje się jak dziwka, która daje darmo. Trudno jest szanować dziwkę. Wykorzystują chętnie, ale nie szanują.

Unia Europejska też nas szanować nie ma za co – wysyłają nam coraz bardziej absurdalne rozkazy („dyrektywy”), a my je wykonujemy. Przykład ekstremalny: na rozkaz UE Elektrownia Bełchatów przestanie istnieć do końca roku 2035. To jedna z największych elektrowni węglowych na świecie – za-

trudnia 18 tys. osób i dostarcza prąd co piątemu gospodarstwu domowemu w Polsce. 20 proc. prądu w Polsce – tyle jest wart Bełchatów. Decyzję o wygaszeniu podjęła Unia, a rząd Mateusza Morawieckiego przyjął to służalczo jak wasal. Ktoś pomyśli, że rok 2035 (całkowita likwidacja) jest daleko. Cóż z tego, skoro już w ciągu najbliższego roku Bełchatów ma zmniejszyć produkcję energii o połowę – czyli w ciągu roku stracimy 10 proc. krajowego prądu? Czy władza zacznie nam wtedy ograniczać dozwoloną liczbę żarówek? A może będą organizować „planowe wyłączenia” jak za komuny? Każdej doby w każdym domu po dwie i pół godziny przerwy w dostawie – to by pokryło te 10 proc. braku prądu z Bełchatowa. A może po prostu jako frajerzy będą kupować prąd z niemieckich elektrowni węglowych (które są rozbudowywane), aby skompensować zmniejszenie produkcji krajowej?

Bełchatów to 18 tys. miejsc pracy. W powiecie bełchatowskim mieszka 100 tys. mieszkańców. Na likwidacji elektrowni ucierpi tam każda rodzina. 25 km od Bełchatowa znalazłoby kolejne złożę węgla, które wystarczyłoby na 15 lat pracy elektrowni.

„Ludzie, którzy rządzą naszym krajem, albo są bardzo głupi, albo pałają nienawiścią do swojej ojczyzny, skoro podejmują tak szkodliwe decyzje” – ten cytat nie dotyczy Polski, choć pasuje jak ulał. To słowa Donalda Trumpa po tym, jak administracja Joe Bidena w ostatnich dniach urzędowania zakazała wydobycia

ropy naftowej wzdłuż całego Wschodniego Wybrzeża USA, a wcześniej wprowadziła przepisy o stopniowej likwidacji domowych pieców na gaz ziemny oraz przepis o przymusowym przejściu na samochody elektryczne, wyznaczając daty docelowe.

Amerykanie uznali, że „rozum im odjęło”, bo większość gospodarstw domowych w USA korzysta z kuchenek gazowych. Przymusowe przejście na ogrzewanie i gotowanie wyłącznie prądem elektrycznym w sytuacji, gdy ma się największe na kuli ziemskiej zasoby gazu, to idiotyzm i jeden z kluczowych powodów, dla których demokraci przegrali wybory. Dodatkowo Ameryka ma kolosalne zasoby ropy naftowej i węgla. Biden dążył do likwidacji kopalń i elektrowni węglowych oraz dotował przechodzenie na prąd z wiatraków i paneli, czyli to samo, co w Polsce.

Obecnie w USA do władzy powrócił zdrowy rozsądek. I nie chodzi o Trumpa, lecz o zjawisko szersze, także o sporą część demokratów oraz o takich aktywistów jak np. Zuckerberg, czyli twórca Facebooka. Ten konkretny policzył sobie, że mu się NIE OPŁACA cenzurować treści, bo ludzie uciekają na inne platformy, i ogłosił, że Meta przestaje cenzurować wpisy. Czy to będzie prawda, tego nie wiemy, ale utrata klientów zrobiła dużo dobrej roboty. Wiele rzeczy nienormalnych i absurdalnych zaczyna zniknąć. Właściciel największej gazety w Los Angeles wywalił całą redakcję, „bo nie dało się z nimi dogadać”. Wymienił wszystkich, ponieważ chce utrzymać gazetę w sprzedaży, a kolegium redakcyjne nie chciało zrezygnować

z publikowania idiotyzmów na temat zmian klimatu i konieczności stawiania większej liczby wiatraków.

Za stwierdzenia i dowody (naukowe!), że wiatraki są nieopłacalne, można w Polsce i Unii Europejskiej wylecieć z roboty lub przestać dostawać granty. O politykach nie mówię, mówię o inżynierach – oni są w stanie wziąć kalkulator i wykazać zgodnie z zasadami dowodzenia naukowego, że wiatraki nigdy nie były i nadal nie są opłacalne. Ekonomiści też są w stanie wykazać NAUKOWO, że wiatraki nie są opłacalne, że nigdy nie są w stanie na siebie zarobić, że prąd z wiatraków to najdroższe źródło energii i najbardziej niezdrowe dla środowiska.

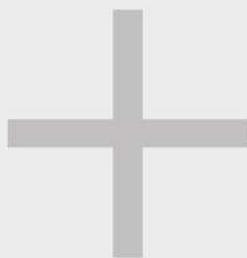
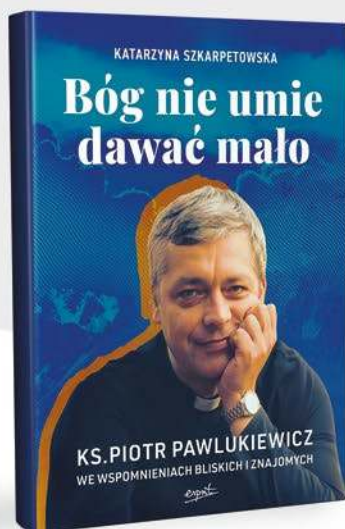
Unia Europejska i przy okazji Polska nadal bazują na klimatycznym szaleństwie, które powoduje wzrost cen energii. Ameryka zawróciła z tej drogi. Do powszechnego obiegu w USA wróciły takie fakty, że bez rządowych dotacji nikt nie jest w stanie produkować energii wiatrowej, bo bez dotacji jest ona zbyt droga. Wiatraki zaśmiecają środowisko. Śmigła są wykonane z włókna szklanego i nie ma sposobu na ich utylizację – jedyny znany to zakopać, a to nie jest dobre dla środowiska. Wysokość typowej wieży wiatraka to 30 pięter, po 10 latach śmigła trzeba zdjąć (zanim się same urwą), a wieże nie opłaca się demontować, bo jest zbyt wielka i ma pod sobą kolosalną „stopę” wylaną z betonu. Dlatego zużyte wieże się zostawia (bez śmigieł), a obok nich stawia nowe. Zaśmiecają środowisko i krajobraz, kosztują krocie, nigdy nie wyprodukowały dość prądu, by za siebie zapłacić. Wiatraki to była ślepa uliczka technologii i Ameryka już o tym wie, a Unia Europejska ciągle upiera się, że wie lepiej. ©©

Uwaga: nowe ceny na rok 2025

TYGODNIK LISICKIEGO

**DO
RZECZY**

ROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY”



W PREZENCIE

KSIĄŻKA

KATARZYNA SZKARPETOWSKA:
„BÓG NIE UMIE DAWAĆ MAŁO”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA



~~933~~ ZŁ

467,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 466 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

- Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania
- Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
- W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

ORLE PIÓRO S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: **SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL**

WIĘCEJ INFORMACJI | E-MAIL: prenumerata@mpg.pl | TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00) | INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl da76df8fbf

HISTORIA
DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



SKANDALIŚCI II RP

Ekscesy polskich gwiazd – alkohol łat się tu strumieniami, a rzadkie przypadki abstynencji tylko potwierdzały regułę. Elity artystyczne przedwojennej Polski szokowały swoimi ekscesami

Pożary serc – w obozie piłsudczykowski pełno było skandali obyczajowych, zaczynając od samego Marszałka, który miał spore doświadczenie w zarządzaniu równoległymi związkami

Czarni przeciw czarnym – gdyby nie współpraca afrykańskich pośredników z handlarzami z Europy, nigdy tak wielu ludzi zakutych w kajdany nie trafiłoby za Ocean Atlantycki

Poszukiwanie arcydzieł Matejki – latem 1945 r. grupa polskich muzealników przemierzała ówczesny polski Dzik Zachód wśród sowieckich maruderów i niedobitków z Wehrwofu

Drakula na tronie – życia Włada Palownika nie trzeba już niczym ubarwiać. Prawdziwa historia krwawego hospodara przeraża bardziej niż gotyckie opowieści o wampirach

Najdziwniejsza wojna świata – wysłanie wojsk na drugi kraniec świata wiązało się z wielkim ryzykiem, ale Margaret Thatcher nie mogła opuścić mieszkańców Falklandów

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**